TYLKO U NAS
SMOLEŃSK

PROF. PRZEMYSŁAW CZARNEK: W OBRONIE PRAWA W SZKOŁACH I NA UCZELNIACH BĘDĘ NIEUGIĘTY

AKCJA POD BEZDANAMI
JAK CZTERECH PREMIERÓW NAPADŁO NA POCIĄG

JAK BUDKA MŚCI SIĘ NA SCHETYNIE I JEGO LUDZIACH

SIECI

PYZA I WIKŁO PYTAJĄ, CO SIĘ DZIEJE Z DOCHODZENIEM DO PRAWDY

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 41 (410) 2020
5–11 października 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

DEMASKUJEMY

KŁAMSTWO O STREFACH WOLNYCH OD LGBT

WSTRZĄSAJĄCA OPOWIEŚĆ O TYM, JAK PRORODZINNE UCHWAŁY SAMORZĄDÓW PRZEDSTAWIANE SĄ JAKO RZEKOMA AGRESJA WOBEC MNIEJSZOŚCI. KIM JEST CZŁOWIEK, KTÓRY ZA TYM STOI?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
41
9 772544 269007

eprasa.pl 4d5a6e53a5

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII

Fot. Shutterstock

W PREZENCIE
KOLEKCJA NUMIZMATÓW
W OZDOBNYM BLISTRZE

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za 280 zł,
a kolekcję numizmatów Wielcy Polacy otrzymasz **GRATIS**!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Atak przyjdzie z zewnątrz

Po wyborach 2015 r. przegrani ogłosili się „opozycją totalną" i podjęli próbę obalenia rządu. Działali z poparciem zagranicy, ale jednak najpoważniejsze ataki wychodziły z kraju. To siły III RP miały rozhuśtać sytuację, mobilizując i swoje zaplecze, i możliwie dużą część społeczeństwa. Temu służyły zorkiestrowane kampanie medialne, budowa KOD, relatywnie duże demonstracje, ciągłe podważanie legitymizacji rządzących.

Ten plan wyraźnie nie wypalił. Zbudowana przez Jarosława Kaczyńskiego Zjednoczona Prawica nie tylko przetrwała pełną kadencję, lecz i ponownie wywalczyła większość parlamentarną. Drugą kadencję wywalczył także prezydent Andrzej Duda, choć miał przeciwko sobie i pandemię, i najsilniejszego możliwego kandydata, który dodatkowo dołączył do wyścigu tuż przed metą. Opozycja nie spełniła pokładanych w niej – także przez zagranicę – nadziei. Nic dziwnego, że dziś – można powiedzieć – poszła w odstawkę. Może tymczasową, ale jednak.

Nie oznacza to spokoju. Kolejne wydarzenia – nacisk na powiązanie praworządności z funduszami unijnymi, rezolucje Parlamentu Europejskiego, skoordynowane przypisywanie Polsce rzekomego prześladowania mniejszości seksualnych, mobilizowanie przeciwko nam – poprzez list ambasadorów – wszystkich chętnych i mniej chętnych, i tych ważnych, i tych nic nieznaczących – wskazują, że teraz plan jest inny. Teraz rząd ma zostać obalony albo zmuszony do kapitulacji głównie za pomocą presji zagranicznej. Presji potężnej, bo już dziś działania wymierzone w Polskę mają charakter bezprecedensowy. Np. próba powiązania funduszy z tzw. praworządnością, jeśli się powiedzie, może oznaczać skokową redukcję zakresu naszej suwerenności.

Trzeba widzieć las. Narastająca presja zagraniczna nie jest przypadkiem, ale wynikiem zmiany strategii ośrodków, którym asertywny i podmiotowy rząd w Warszawie bardzo zawadza. Imperium cierpi, gdy któraś z prowincji pokazuje, że sprawy prowadzi inaczej, niż nakazuje centrum. To może demoralizować pozostałe prowincje. Co ważne, nie jest to już presja mająca na celu przerażenie społeczeństwa, ale presja, która ma złamać naszą niepodległość w sposób strukturalny, niemalże formalny. Stawka jest naprawdę ogromna. Polska musi być gotowa na potencjalnie duże przechyły.

Dlatego dobrze, że negocjacje koalicyjne zakończyły się w miarę szybko, że nie ciągnięto ich w nieskończoność. Dobrze, że szybko powołano nowy rząd, z Jarosławem Kaczyńskim w roli wicepremiera. Mimo różnych interpretacji tego ruchu zmienia on położenie wszystkich uczestników gry. Obecność przywódcy w rządzie oraz to, że będzie on z bliska obserwował działania całej rady ministrów, nie jest sprawą błahą ani nic nieznaczącym posunięciem technicznym. To będzie nowy etap. Być może związany nie tylko z dążeniem do złagodzenia konfliktów, lecz również ze świadomością, że czeka nas okres ciężkich bojów i konieczna jest konsolidacja obozu władzy. To wrażenie jest tym silniejsze, że w rządzie znalazło się kilka ciekawych postaci, które w razie czego nie uchylą się, które podejmą wyzwania na różnych polach; można wskazać ministra spraw zagranicznych Zbigniewa Raua oraz ministra edukacji i nauki Przemysława Czarnka. Całość obrazu wskazuje, że będzie to ekipa bardziej waleczna niż poprzednia. Jeśli jeszcze się okaże, że nowa konstrukcja rządu, z mniejszą liczbą ministerstw, rzeczywiście działa sprawniej, to naprawdę będzie można ruszyć kilka trudnych spraw.

Kto wie, czy konflikt w ramach Zjednoczonej Prawicy nie okaże się finalnie korzystny. Być może przyniesie oczyszczenie atmosfery i przecięcie złych emocji po serii zwycięstw, na progu kluczowych trzech lat bez wyborów. Najważniejsze, że – jak wszystko wskazuje – Zjednoczona Prawica przetrwała i wychodzi z tej zawieruchy w pewien sposób silniejsza. Silniejsza, bo bardziej świadoma faktu, że innej Zjednoczonej Prawicy nie będzie.

Jacek Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 4d5a6e5

SIECI spis treści

36 *Miasto Trzaskowskiego* *Konrad Kołodziejski*

46 Szara myszka agresorka *Maja Narbutt*

49 Z Magdaleną Wolińską-Riedi *rozmawia Dorota Łosiewicz*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TELEDURNIEJ**
Krzysztof Feusette

9 **POCHWAŁA WIELODZIETNOŚCI**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **BRAWO GNIEZNO!**
Jan Pietrzak

13 **PRAWA CZŁOWIEKA JAKO NARZĘDZIE**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA AGNIESZKI MROZIŃSKIEJ**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **PRACA ZDALNA MA ZALETY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

TEMAT TYGODNIA

22 **STREFY LGBT. ANATOMIA MANIPULACJI**
Jakub Augustyn Maciejewski

24 **SZARŻA AMBASADORÓW**
Goran Andrijanić

KRAJ

26 **PRESJA**
Jan Rokita

30 **Z PROF. PRZEMYSŁAWEM CZARNKIEM**
rozmawia Michał Karnowski

34 **WYMAZYWANIE SCHETYNY**
Stanisław Janecki

36 **MIASTO TRZASKOWSKIEGO**
Konrad Kołodziejski

39 **CZAS NA SMOLEŃSK**
Marek Pyza, Marcin Wikło

46 **SZARA MYSZKA AGRESORKA**
Maja Narbutt

49 **Z MAGDALENĄ WOLIŃSKĄ-RIEDI**
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

52 **TRZĘSIENIE ZIEMI W WATYKANIE**
Grzegorz Górny

54 **TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA W KAWAŁKACH**
Piotr Słabek

56 **BÓG I AMMY BARRETT**
Aleksandra Rybińska

58 **KOKAINA, WALUTA ROSYJSKICH SŁUŻB SPECJALNYCH**
Marek Budzisz

SIECI KULTURY

61 **ZROZUMIEĆ GEPPETTA**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **TO JEST INWAZJA**
Robert Tekieli

65 **WOJNA ŚWIATÓW**
Robert Tekieli

66 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

HISTORIA

68 **NAPAD CZTERECH PREMIERÓW**
Wojciech Lada

NATURA DLA LUDZI

72 **ZEGAR APOKALIPSY**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

74 **MOJE SMAKI: RADOSŁAW PAZURA**
Jolanta Gajda-Zadworna

75 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

76 **STOP LEWACKIM IDEOLOGIOM**
Wojciech Reszczyński

77 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

78 **TEN CUDNY OBŁĘD**
Aleksander Nalaskowski

79 **DŻEMIK BABUNI**
Wiktor Świetlik

79 **Z ŻYCIA KOŚCIOŁA**
Agnieszka Ponikiewska

80 **DYPLOMATYCZNE FAUX PAS**
Ryszard Makowski

81 **JESZCZE JEDNA JESIEŃ**
Leszek Długosz

82 **A JEŚLI NARÓD SIĘ SKOŃCZY?**
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 51/0820/F

eprasa.pl 4d5a6e53a5

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com

eprasa.pl 4d5a6e5ad

Sygnalista nadaje

Niemieckie radio publiczne zaprezentowało reportaż pt. „Tramwaj o nazwie Danzig. Kampania PiS przeciwko Gdańskowi". Gwiazdą materiału była prezydent miasta ***Aleksandra Dulkiewicz***, jak zwykle w formie. „Obecna władza wykorzystuje swoją siłę – ustawy przepycha przemocą, nie szanuje praw człowieka. Moja mama płacze i mówi: »Boże, teraz jest gorzej niż za komuny!«" – stwierdziła, dodając: „Wolność jest zabierana po kawałku, to jest przerażające – przecież tak było w III Rzeszy". Dziwne, wydawało się, że Gdańsk ceni historyczne tradycje Niemiec, także z lat 30.

W końcu Wolne Miasto Gdańsk – do którego środowisko Dulkiewicz tak lubi się odwoływać – nazistów mocno wspierało. Ale prezydent Gdańska nie widzi belki w swoim oku. Oskarża media prawicowe: „Moi sąsiedzi pojechali samochodem na południe Polski i tam ktoś, kto zobaczył gdańską rejestrację, powiedział: »O! Niemcy z Gdańska przyjechali«. Czyli, że ta propaganda odnosi skutek". Czy nie o to chodziło w procesie odcinania się od Polski?

Prezydent Gdańska szuka rozwiązania. „Pytanie – jak temu przeciwdziałać? Nie mamy takich narzędzi, jak opłacana również z moich podatków tuba propagandowa nazywana mediami publicznymi". Może zacząć od refleksji, że jednak z tą miłością do niemczyzny to Gdańsk grubo przesadził? I że żadne pozwy sądowe – w tym te wytaczane tygodnikowi „Sieci" za rzetelne opisywanie problemu – tego nie zmienią?

Czy o korupcyjnych działaniach Sławomira Nowaka mógł wiedzieć Donald Tusk? A może nie nadzorował odpowiednio swojej prawej ręki w rządzie? Te wątki i hipotezy także badają funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Stanisław Żaryn, rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych, w rozmowie z telewizją wPolsce.pl, stwierdził: „Mogę powiedzieć, że tego typu wątki i tezy oraz hipotezy są badane w śledztwie. Na tym etapie nie zamykamy się na żaden scenariusz i analizujemy dowody". Czyżby system Tuska był dużo prostszy, niż wszyscy sądziliśmy?

Aktor Adam Ferency dołączył do grona analityków naszej rzeczywistości. „Jest w nas połączenie kompleksu niższości z kompleksem wyższości, rzecz nie do zniesienia i nie do rozwiązania, co w Unii już dawno zauważono" – stwierdził. Trudno się z nim nie zgodzić. To zjawisko rzeczywiście szeroko rozpowszechnione w świecie aktorskim.

Ferency liczy na pandemię: „Ta władza może jeszcze tego nie czuje, ale napięcie rośnie. W ludziach jest rozedrganie, które pandemia jeszcze wzmacnia. Obawiam się, że czeka nas wybuch" – prorokuje. I dodaje: „Ludzie tracący pracę będą się gniewać na tych, którzy im obiecywali dobrą zmianę, i wyobrażam sobie, że mogą rzucać kamieniami". To możliwe. Nie jest jednak pewne, w którą stronę polecą kamienie. Może w stronę tych, co gardzą narodem?

Aktor Ferency pokłada nadzieję w Brukseli: „Unia nas ostrzega i ostrzega, jestem ciekaw, kiedy wreszcie zrobi to, co zapowiada, czyli że nie będzie pieniędzy, jeżeli nie będzie praworządności. Marzę o tym". O podobnym scenariuszu marzy niemiecka wiceszefowa Parlamentu Europejskiego Katarina Barley, która proponuje: „Państwa, takie jak Polska i Węgry, trzeba finansowo zagłodzić. Dotacje unijne stanowią skuteczną dźwignię". Ciekawe, czy Ferency zbuduje bramę powitalną wzorem poprzednich pokoleń?

Najnowsza propozycja prezydencji niemieckiej (umieją pięknie zwodzić, prawda?) zakłada, że to Komisja Europejska będzie oceniała rzekome

eprasa.pl 4d5a6e53a5

naruszenia praworządności; decyzje w sprawie ewentualnego zawieszenia funduszy będzie z kolei podejmowała Rada Unii Europejskiej, ale nie jednomyślnie, lecz większością głosów. Dla Polski to czerwona linia, może ona oznaczać samozaciskającą się pętlę na szyi. Za chwilę złamaniem praworządności okaże się wszystko to, co nie jest zgodne z programem lewicy. W relacjach z Unią robi się gorąco. Możliwe stają się scenariusze wcześniej niewyobrażalne.

Np. zdaniem europarlamentu łamaniem praworządności są przepisy dopuszczające karanie za obrazę symboli państwowych i religijnych, ujawnianie przynależności sędziów do stowarzyszeń i partii politycznych przed 1989 r., instytucja skargi nadzwyczajnej, powołanie Narodowego Instytutu Wolności, a także... krytykowanie Rzecznika Praw Obywatelskich przez polityków PiS i media. Czy nie prościej byłoby napisać, że złamaniem praworządności jest istnienie suwerennego, aktywnego państwa polskiego?

Z propozycji niemieckiej niezadowolony jest Włodzimierz Cimoszewicz. „To jest niezwykle rozczarowujące. Co prawda oni proponują wprowadzenie mechanizmu uzależnienia wypłat od stanu praworządności, ale w niezwykle wąskim zakresie" – ocenił. I wyjaśniał: „Chodzi o takie naruszenia, jak oszustwo i korupcję, które mają styk z funduszami unijnymi. Być może będzie można ze złodziejami rządowymi w Bułgarii walczyć (w ten sposób). Być może coś się znajdzie na kumpli Orbána, ale jak będą w Polsce tworzyli kolejne strefy wolne od LGBT, to ten mechanizm będzie dla nas nie do zastosowania". Gdyby PRL nie upadła, ten człowiek doszedłby do stanowiska I Sekretarza. To pewne. Radzieccy byliby zadowoleni.

Viktor Orbán oświadczył tymczasem, że wiceszefowa Komisji Europejskiej Věra Jourová powinna ustąpić ze stanowiska z powodu obraźliwych wypowiedzi pod adresem Węgier i Węgrów. Czeska komisarz publicznie nazwała Węgry „chorą demokracją". „Jej wypowiedzi są niewłaściwe i niedopuszczalne, rażące naruszenie zasady lojalnej współpracy, niezgodne z jej obecnym mandatem, dlatego jej rezygnacja jest niezbędna" – podkreślił premier Węgier. Są chwile, gdy trzeba mówić jasno. Choćby w celach wychowawczych.

W wywiadzie dla „Spiegla" Jourová stwierdziła m.in.: „Viktor Orbán mówi, że buduje nieliberalną demokrację. Ja bym powiedziała, że buduje chorą demokrację". Dodała, że w węgierskich mediach niemal nie pojawia się krytyka rządu.

„Obawiam się, że mieszkańcy Węgier pewnego dnia stwierdzą, że poprzednie wybory były ostatnimi wolnymi wyborami" – podsumowała. To i tak lepiej niż w wielu krajach zachodnich, w których obywatele mieli realny wybór jakieś dwie, trzy dekady temu. Później wszyscy stali się do siebie tak podobni, że wynik wyborów ma minimalne znaczenie.

Ambasador Stanów Zjednoczonych ***Georgette Mosbacher*** do Polaków: „Musicie wiedzieć, że w kwestii LGBT jesteście po złej stronie historii. Mówię o postępie, który się dokonuje bez względu na wszystko". Czy my już kiedyś tego nie słyszeliśmy? W 1920 r.? W 1939 r.? W latach 40. i 50.? Madame Mosbacher, w kwestii tego, co jest postępem, a co totalitarnym zagrożeniem, warto słuchać Polaków. Mają dobre wyczucie. Może nawet najlepsze na świecie.

List w sprawie LGBT, który wypromowała ambasador Mosbacher, podpisało 43 ambasadorów oraz siedmioro przedstawicieli regionów i instytucji międzynarodowych. Nie brakuje krajów, które w sferze praw człowieka są za nami lata świetlne (Albania, Serbia, Meksyk, Indie), nie brakuje też nominalnych przyjaciół (Czech, Ukrainiec, Słoweniec, Litwin – wstyd). Ale są też tacy, którzy oparli się presji i nie podpisali (ambasadorzy Węgier i Słowacji). W sumie: zapisać, zapamiętać, wykorzystać. W sprawach dużych i małych, teraz i za parę lat.

Trwa zbiórka podpisów pod ustawą Stop LGBT. W akcję włączyła się Krucjata Młodych. Młodzi ludzie modlą się, prowadzą akcję informacyjną, rozdają ulotki. W Warszawie, przy wejściu do metra, zaatakowali ich bojowcy lewicy. „Aktywiści LGBT szczekali i ujadali, by pokazać swoją pogardę w stosunku do Krucjaty Młodych i ich inicjatywy. Ludzie zachowujący się jak zwierzęta. To już zdziczenie" – czytamy na portalu wPolityce.pl. A przecież oni dopiero się rozpędzają...

Wojciech Mann: „Pomyśleć tylko, jak wszystko jest relatywne. Jarosław Kaczyński ogłosił światu radosną nowinę. Polega ona na tym, że Zjednoczona Prawica znowu się zjednoczyła. Tymczasem dla mnie radosną nowiną byłaby informacja, że całe to towarzystwo, z beznadziejną opozycją włącznie, znika bezpowrotnie ze świata polityki. A już pełnię radości odczułbym, gdyby na ich miejscu pojawili się kompetentni zawodowcy, którzy wydobyliby nas z ksenofobicznego grajdoła, panicznie uchwalającego kolejne strefy wolne od rozumu". W sumie wróg demokracji, zwolennik platońskiej wizji państwa. Widoczne ciągoty autorytarne. Niebezpieczne.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Odrw25 / Shutterstock

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Teledurniej

KRZYSZTOF FEUSETTE

Prowadzący: Dzień dobry, heloł, majne damem, herren i nisztfersztejen, madamze mesje, panie, panowie, ale przede wszystkim osoby binarne i niebinarne, po prostu – kochani widzowie naszego teleturnieju pod tytułem „Czy go jeszcze pamiętasz?". To co, kochani? Głupka rżnięcie...
Publiczność: ...też zajęcie!
Prowadzący: I o to chodzi! By żyło się lepiej! Witam zatem naszych finalistów. Czy panowie są gotowi? Pan Donek?
Donek: Jestem. Nawet powiem żartem, że...
Prowadzący: Niestety, muszę przerwać, gdyż na odpowiedź mają panowie tylko pięć sekund. Pan Bronek?
Bronek: Słucham?
Prowadzący: Czy jest pan gotowy?
Bronek: W jakim sensie?
Prowadzący: Widzę, że wszystko w porządku. A zatem zaczynamy. Przypominam, że prawidłowe odpowiedzi wyświetlą się po zakończeniu programu. Pierwsze pytanie: jak nazywa się i z jakiej partii wywodzi się polityk, który w latach 2007–2009 był sekretarzem stanu w Kancelarii Premiera oraz szefem jego gabinetu politycznego, następnie w latach 2010–2011 – sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta do spraw kontaktów z rządem i parlamentem, a w latach 2011–2013 ministrem transportu, budownictwa i gospodarki morskiej? Jako pierwszy odpowiada pan Donek...
Donek: Nie mam pojęcia. Serio. Nie pamiętam w ogóle czegoś takiego jak ministerstwo gospodarki morskiej. A czym ono się zajmowało?
Prowadzący: Pan Bronek?
Bronek: Nie rozumiem pytania. Będę strzelał. Brudziński?
Prowadzący: Pytanie kolejne. Kto był prezydentem RP w latach 2010–2015?
Bronek: Andrzej Duda?
Donek: Bronisław Komorowski.
Prowadzący: A kto był premierem w latach 2007–2014?
Donek: Ewa Kopacz?
Bronek: Donald Tusk. Na siebie.
Prowadzący: To nie ten teleturniej, kochany. Lecimy dalej. Proszę wymienić trzech Sławomirów o nazwisku rozpoczynającym się na „N", którzy lubią rozporządzać cudzą własnością...
Bronek: A na ile liter?
Prowadzący: Co na ile liter?
Bronek: No, te Sławomiry? Sławomirzy...
Prowadzący: Pan Donek?
Donek: Nitras, Neumann i... nie pamiętam.
Prowadzący: Proszę podać, ile razy można zmienić zeznania w sprawie jednego zegarka, aby wciąż pozostać godnym zaufania?
Donek: W ogóle nie można zmieniać.
Bronisław: Proszę o powtórzenie pytania...
Prowadzący: Ile razy można zmienić...
Bronek: Bigosowanie? No, nie wiem...
Prowadzący: To może teraz pójdzie łatwiej. Kto miał w ostatnich latach umacniać na Ukrainie...
Bronek: Wały powodziowe! Albo drogi...
Donek: Drogi, transport oraz demokrację.
Prowadzący: Co zarzucają mu ukraińskie i polskie służby?
Donek: Nie znam ukraińskiego. Znam kaszubski, niemiecki, europejski, brukselski i angielski. A polski jest nienormalny.
Bronek: Chodzi chyba o to, że się spóźnił z zapłatą... Nie! Że jemu się spóźnili!
Prowadzący: Wśród osób, które poręczyły w sądzie za polityka oskarżonego o kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą czerpiącą korzyści z korupcji, były takie postacie, jak wicemarszałek Sejmu Małgorzata Kidawa-Błońska, prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz czy posłanka Henryka Krzywonos...
Bronek: Powtarzam: nie znam tych osób! Skąd macie te nazwiska?!
Prowadzący: Pan Donek?
Donek: Przykra sprawa, nie lekceważę jej.
Prowadzący: Jaki majątek, zdaniem CBA, zgromadził słynny „Lolo Pindolo"?
Donek: Nie wiem, strzelam: 6 mln zł, w tym land rover i dwa mieszkania?
Bronek: Jeśli dobrze pamiętam, to zegarek. Od żony, którą potem „chciała trzepać" skarbówka.
Prowadzący: A gdzie „Lolo" ukrywał pieniądze?
Donek: Właśnie! Dobre pytanie!
Bronek: To nie były jego pieniądze. Mógł ktoś zostawić w szafie niechcący, bo zapomniał, że tam ma skrytkę. Rozgrzany sędzia zrozumie to od razu...
Prowadzący: Kogo kilka dni temu aresztowano w związku z tą sprawą?
Donek: Powinno się Ziobrę. Ale, jak znam życie, to pewnie Neumanna...
Bronek: Wydaje mi się, że jakiegoś krawca. Chyba też szewca. I niech będzie, że kapelusznika...
Prowadzący: Ostatnie pytanie: o kim były szef Rady Europejskiej, a obecnie przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej mówił niedawno, że „nie wydaje mu się człowiekiem o przestępczych skłonnościach"?
Donek: O Bronisławie Komorowskim.
Bronek: Potwierdzam. To mogło być o mnie. W każdym razie na pewno nie o Sławku.
Donek: Jakim Sławku?
Bronek: A skąd mam wiedzieć? Ja nawet nie wiedziałem, że takie imię jest.
Donek: Jakie?
Bronek: No, przecież mówię, że zapomniałem. Proszę o telefon do przyjaciela. Ostatecznie.
Donek: A tylko spróbuj...

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Pochwała wielodzietności

Odnoszę wrażenie, że dzieci w przestrzeni publicznej przeszkadzają coraz częściej. Bo głośne, bo ruchliwe, bo ciekawskie. Gdyby niektórzy dorośli mogli, to wysłaliby je na Marsa

W blokach na jednym z warszawskich osiedli pojawił się nietypowy komunikat. Administracja poprosiła rodziców, by zwracali uwagę na to, jak bawią się ich dzieci.

Okazało się, że w ostatnich miesiącach, gdy za oknami szalał koronawirus, a większość pracujących ludzi została w domach, by pracować zdalnie, do jednej ze spółdzielni mieszkaniowych zaczęły napływać skargi od mieszkańców, że dzieci bawią się zbyt głośno, przez co osoby pracujące zdalnie nie mają odpowiednich warunków do wykonywania swoich obowiązków zawodowych.

Co więcej, okazało się, że dzieci (o zgrozo!) bawią się też na zwykłym osiedlowym placu. Władze spółdzielni potraktowały sprawę poważnie i nakazały rodzicom, by ich dzieci bawiły się tylko na placu zabaw. I to jeszcze najlepiej bezszelestnie.

Tak sobie myślę, że zapomniał wół, jak cielęciem był, a dzieci mają swoje potrzeby i wybiegać się muszą. Odnoszę jednak wrażenie, że dzieci w przestrzeni publicznej przeszkadzają coraz częściej. Bo głośne, bo ruchliwe, bo ciekawskie, bo mogą ubrudzić. Gdyby niektórzy dorośli mogli, to wysłaliby je na Marsa.

Jednym przeszkadza hałas, a innym dzieci w ogóle. W Kanadzie w Vancouver pojawiły się billboardy z hasłem: „Most loving gift you can give to your first child is not to have another", czyli „Najpiękniejszy prezent, jaki możesz dać swojemu pierwszemu dziecku, to nieposiadanie kolejnego". Za kampanią stoi proaborcyjna i proekologiczna organizacja One Planet, One Child. Według tej organizacji nasza planeta jest przeludniona, a ludzie ponoszą odpowiedzialność za kryzys klimatyczny. Działacze chcą przekonać rodziców, by zrezygnowali z posiadania więcej niż jednego dziecka, by ocalić Ziemię. Akcję One Planet, One Child wsparli m.in. liderzy aborcyjnego biznesu, jak: Marie Stopes International czy Planned Parenthood Federation, która działa w 160 krajach i dokonuje rocznie ponad 345 tys. aborcji. Na plakacie widać uroczego ciemnoskórego dzidziusia, ale jeszcze nie słyszałam protestów środowisk walczących z rasizmem. Bez wątpienia jednak tak nachalna promocja aborcji, zniechęcanie do rodzicielstwa i atak na rodzinę to sygnały, że ludzkość stoi nad przepaścią i jeśli ktoś jej nie zatrzyma, to w nią runie. Dzieci to największe dobro, a promocja ich zabijania, to już zwykła zbrodnia przeciw ludzkości.

A największym prezentem, jaki rodzice mogą dać swojemu pierwszemu dziecku, jest rodzeństwo. W ten sposób dzieci, mając siebie, nigdy nie będą się nudzić. Od małego wchodzą w relacje społeczne, uczą się troszczyć o innych, rezygnować z egoizmu, dzielić się z innymi, kochać, rozwiązywać konflikty, prowadzić negocjacje. Posiadanie rodzeństwa wpływa na poczucie własnej wartości. Bo jest ktoś, kto w chwili słabości doda otuchy lub wesprze dobrym słowem. Samoocena starszego rodzeństwa wzrasta, gdy obok jest młodsza siostra czy brat, który stara się do niego upodobnić. Starsze rodzeństwo to także motywacja do pracy, samorozwoju, podnoszenia kwalifikacji. Zdrowa konkurencja między dziećmi może popchnąć je do odnajdywania ukrytych talentów. Z badań wynika też, że osoby, które mają starsze rodzeństwo płci przeciwnej, wchodzą jako osoby dorosłe w bardziej satysfakcjonujące interakcje z osobami płci przeciwnej. Ponadto dzieci, które wzrastały w towarzystwie rodzeństwa, są mniej skłonne do rozwodów w dorosłości. A i rodzice z każdym kolejnym narodzonym człowiekiem zwiększają swoje szanse na to, że ktoś na starość poda im szklankę wody i pochyli się nad nimi z uwagą.

I wreszcie każde kolejne dziecko to nowa miłość, więcej miłości, bo tylko miłość się mnoży, gdy ją dzielisz.

Dorota Łosiewicz

Azerbejdżan

Zakaukaski kocioł wrze

Fot. Shutterstock

Na Kaukazie wojna. Jak powiedział ambasador Armenii w Moskwie Wardan Toganjan, różni się ona od starć z lipca oraz z kwietnia 2016 r. przede wszystkim skalą i otwartym wsparciem udzielonym Azerbejdżanowi przez Turcję. Walki z użyciem ciężkiej artylerii, wojsk pancernych oraz dronów bojowych toczą się na całej długości linii rozgraniczenia, a Stepanakert, stolica Górskiego Karabachu, nazywanego przez Ormian Arcachem, jest bombardowana po raz pierwszy od 1992 r.

Premier Armenii Nikol Paszynian ostrzega, że konflikt może się przekształcić w regularną wojnę regionalną. Ankara – jak zapowiedział turecki szef MSZ – jest gotowa wspierać Azerbejdżan również w boju, „jeśli zajdzie taka potrzeba". Po stronie Azerbejdżanu mają też walczyć protureccy „ochotnicy" z syryjskiego Idlibu, a nawet przybysze z Czeczenii. Z kolei Armenię może poprzeć Grecja, która jest historycznie poróżniona z Turcją (ostatnio na tle sporów o wydobycie ropy naftowej i gazu we wschodniej części Morza Śródziemnego).

Kiedy piszę te słowa, w Erywaniu pojawiają się groźby, że jeśli Azerowie zaatakują tereny znajdujące się w granicach Armenii (Górski Karabach jest nieuznawanym formalnie przez nikogo samozwańczym państwem), to w odpowiedzi jej siły zbrojne mogą zaatakować azerskie pola naftowe, używając w tym celu otrzymanych od Rosji systemów Iskander. Warto też przypomnieć, że w trakcie lipcowych walk Azerowie grozili atakiem na armeńską elektrownię atomową Metsamor, a Ormianie na znajdujące się na terenie Azerbejdżanu tamę i Zbiornik Mingeczaurski o powierzchni 620 km^2.

Powściągliwie na razie reaguje Rosja. Konflikt Armenii i Azerbejdżanu stawia Moskwę w niezręcznej sytuacji, bo Kreml starał się utrzymywać dobre relacje z obydwoma państwami. Co prawda rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow powiedział, że Rosja jest gotowa udzielić sojuszniczej Armenii pomocy w ramach Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, ale do tego potrzebny jest formalny wniosek Erywania, którego – jak dotąd – nie ma. Niektórzy eksperci sądzą, że powściągliwość władz Armenii może być wywołana obawą przed możliwą ingerencją kontyngentu rozjemczego w wewnętrzne spory polityczne w tym kraju. Jeszcze inną kwestią jest, czy organizacja byłaby w stanie podjąć jednomyślną decyzję w tej sprawie. W jej skład wchodzą państwa „języka tureckiego", takie jak Kazachstan czy Kirgistan, utrzymujące dobre relacje z Ankarą, oraz Białoruś, której w przeszłości znacznie bliżej było do Baku niż do Erywania. Skądinąd warto dodać, że prezydent Turcji Erdoğan bez zastrzeżeń uznał niedawny wybór Aleksandra Łukaszenki na prezydenta.

Mamy zatem do czynienia z kolejnym kaukaskim węzłem problemów, w który angażuje się coraz więcej państw i który coraz trudniej będzie rozwiązać.

Marek Budzisz

USA

Sędzia katolik? To niedopuszczalne

Kobieta, profesor Uniwersytetu Notre Dame, sędzia Sądu Apelacyjnego, przeciwniczka aborcji i matka siódemki dzieci, w tym dwójki adoptowanych z Haiti. Amy Coney Barrett została nominowana przez prezydenta Donalda Trumpa na sędzię Sądu Najwyższego w miejsce zmarłej w wieku 87 lat liberałki Ruth Bader Ginsburg. Jeżeli Senat zaakceptuje tę nominację, a republikanie mają w nim większość, to przewaga konserwatystów w Sądzie Najwyższym wyniesie 6:3. To fatalna sytuacja dla lewicy, walka ideologiczna w USA rozstrzyga się bowiem właśnie w Sądzie Najwyższym, w którym sędziowie pełnią swoje funkcje dożywotnio. Tymczasem Barrett ma dopiero 48 lat, a więc przez długie lata może być mocnym głosem sprzeciwu wobec najbardziej progresywnych pomysłów.

Pisałem w tym miejscu tydzień temu o protestach demokratów, którzy oczekiwali, że prezydent wstrzyma się z nominacją i nowy sędzia zostanie wskazany dopiero po wyborach prezydenckich. Trudno było jednak się łudzić, że Trump nie wykorzysta tak wielkiej szansy kilka tygodni przed wyborami. Jego decyzja o nominowaniu Amy Coney Barrett utwierdzi konserwatywnych wyborców w przekonaniu, że Trump jest obrońcą obyczajowego ładu. Ponadto sędzia Barrett jest katoliczką, a to pozwala Trumpowi sięgnąć po tradycyjnie sprzyjający demokratom elektorat katolicki. Co więcej, Barrett jest katoliczką o wyraźnie konserwatywnych zapatrywaniach i jej nominacja nie wzbudza sprzeciwu konserwatywnych ewangelików stojących za Trumpem. Trzeba bowiem wiedzieć, że katolicyzm w amerykańskiej polityce ma zwykle twarz liberała, jakim jest m.in. nominalny katolik Joe Biden.

Tymczasem media liberalne – jak można się było spodziewać – ostro atakują nominatkę Trumpa. Lewicowi publicyści zarzucają sędzi Barrett, że w życiu kieruje się zasadami wiary, a to w państwie świeckim nie powinno wpływać na prawo. Warto zauważyć, że to samo mówili ci, którzy 60 lat temu odmawiali Kennedy'emu prawa do prezydentury, przekonując m.in., że jako katolik będzie podlegał papieżowi, a więc głowie obcego państwa. I wtedy, i teraz te zarzuty są całkowicie absurdalne.

Łukasz Adamski

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Francja

Macron mediator

„Musimy wspierać Białorusinów" – powiedział w miniony wtorek prezydent Francji Emmanuel Macron po spotkaniu w Wilnie z przywódczynią białoruskiej opozycji Swiatłaną Cichanouską.

Jak podkreślają francuskie media, o interwencję miała go poprosić sama Cichanouska. Jej zdaniem Macron ma dobre relacje z Władimirem Putinem, które mógłby wykorzystać, „aby wpłynąć na rosyjskiego prezydenta", który z kolei miałby wpłynąć na Łukaszenkę. „Pan Macron to jeden z najpotężniejszych przywódców w Europie i na świecie" – podkreśliła Cichanouska. Macron zaznaczył w odpowiedzi, że Łukaszenka „musi odejść", i obiecał, że Unia Europejska nałoży sankcje na białoruski reżim. Mówił także o mediacji pod auspicjami OBWE, na którą miał się zgodzić Putin. „Będziemy współpracować z Rosją i społecznością międzynarodową" – zaznaczył Macron.

Rosyjski prezydent odnosi się jednak z rezerwą do inicjatyw dyplomatycznych z Paryża. Także Łukaszenka nie jest nimi zainteresowany. Jak więc twierdzi „Le Figaro", spotkanie Macrona z Cichanouską powinno się odczytywać w kontekście francuskiego rozczarowania dotychczasową współpracą z Rosją. Dialog z Kremlem, rozpoczęty przez Macrona latem ub.r. w Bregancon, nie dał wymiernych rezultatów, zatem wizyta w państwach bałtyckich stanowi drobny przytyk wobec Rosji. Nie oznacza to oczywiście, jak podkreśla dziennik „Le Nouvel Observateur", że Macron zamierza z dialogu zrezygnować. Według gazety, która powołuje się na źródła w Pałacu Elizejskim, Macron „przybył do państw bałtyckich, aby poznać ich punkt widzenia na Rosję i dowiedzieć się, jak ten dialog dalej z Kremlem prowadzić". Tak aby uwzględnić także ich interesy. Krótko mówiąc: jak wpiąć Litwę, Łotwę i Estonię w swoją grę z Moskwą. Chciał też zatrzeć, jak pisze „Le Figaro", wrażenie, że Francję nie obchodzi Europa Środkowo-Wschodnia. Była to bowiem pierwsza wizyta francuskiego prezydenta w regionie od 2001 r., gdy odwiedził go Jacques Chirac.

Zdaniem „Le Figaro" państwa bałtyckie uważają postawę Macrona wobec Rosji za „naiwną" i obawiają się, że forsowana przez niego autonomia strategiczna Europy osłabi jej więzi z NATO. Mimo to Macron podczas występu na uniwersytecie w Wilnie, gdzie otrzymał doktorat honoris causa, nadal bronił gaulistycznej idei „zwiększenia dystansu do Stanów Zjednoczonych". „Nie możemy żyć na dłuższą metę pod ochroną kraju oddalonego o tysiące kilometrów, którego agenda niekoniecznie pokrywa się z naszą (...). Musimy sami chronić naszych granic" – podkreślił. A w kwestii Białorusi najważniejsze jest, jego zdaniem, uniknięcie dalszych represji wobec opozycji oraz powstrzymanie rosyjskiej interwencji, która „nie jest wcale wykluczona".

Aleksandra Rybińska

Fot. Frederic Legrand - COMEO/Shutterstock.com

Ekwador

Lenin przeciw aborcji

Prezydent Ekwadoru ma na imię Lenín. Tak nazwał go ojciec na cześć wodza bolszewickiej rewolucji. Twórca państwa sowieckiego był pierwszym przywódcą na świecie, który (w 1920 r.) usankcjonował aborcję, czyniąc ten proceder legalnym w świetle prawa. Sto lat później w Ekwadorze prezydent Lenín Moreno sprzeciwił się legalizacji aborcji, wetując Kodeks zdrowia, nazywany potocznie Kodeksem śmierci.

Prace nad stworzeniem nowego prawa bioetycznego rozpoczęły się w parlamencie w Quito jeszcze w 2012 r. Choć zdecydowaną większość mieszkańców kraju (85 proc.) stanowią katolicy, to jednak w projekcie pojawiło się wiele punktów sprzecznych z podstawowymi zasadami chrześcijaństwa. Duży wpływ na to miały różne organizacje międzynarodowe, w tym agendy oenzetowskie, uzależniające pomoc ekonomiczną dla ubogiego państwa od przyjęcia narzuconych rozwiązań. W tym roku naciski powiązane zostały z dostawami środków potrzebnych do walki z pandemią koronawirusa. W efekcie 25 sierpnia parlament zatwierdził Kodeks zdrowia, przewidujący m.in. liberalizację aborcji, eutanazji, in vitro, surogacji czy wprowadzenie do ekwadorskich szkół edukacji w zakresie „zdrowia reprodukcyjnego" oraz ideologii gender.

Decyzja posłów wywołała mobilizację społeczną i masowe protesty w całym kraju. Lenín Moreno podzielił zdanie protestujących i w całości odrzucił kodeks. Prezydenckie weto ma obowiązywać przez rok – do 25 września 2021 r. Żeby je odrzucić, zwolennicy „reform" muszą zebrać po tym terminie 2/3 głosów w parlamencie. Odbędzie się to już jednak w innej sytuacji politycznej niż dziś, ponieważ na początku przyszłego roku przewidziane są w Ekwadorze wybory zarówno parlamentarne, jak i prezydenckie. Można się więc spodziewać, że Kodeks śmierci zdominuje przebieg kampanii. Zapewne uaktywnią się też różne środowiska lobbystyczne finansujące hojnie kandydatów proaborcyjnych. Stawką tych wyborów będzie więc coś więcej niż tylko wygrana polityczna jednej z partii.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 4d5a6e53a5

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Brawo Gniezno!

Jan Pietrzak

W Gnieźnie, pierwszej polskiej stolicy, przy ul. Chrobrego 5, postawiono pomnik Bitwy Warszawskiej, Kolumnę Zwycięstwa. Wielkie gratulacje dla budowniczych tego dzieła od Towarzystwa Patriotycznego, które przez kilka lat zachęcało władze Warszawy, by w obecnej stolicy zrobić to samo. Niestety, tu władze są zbyt zajęte, a to wydalaniem ścieków do Wisły, a to dziką reprywatyzacją kamienic, a to stawianiem stref relaksu w spalinach... by zajmować się historycznymi potrzebami miasta. Znajomi cwaniacy z Czerniakowskiej podpowiadają, że mamy dwa wyjścia: zmienić władze Warszawy albo przenieść stolicę na powrót do Gniezna. To komentarz ironiczny.

Wariant optymistyczny jest taki, że rocznice Cudu nad Wisłą są co roku. Wystarczy długo żyć, by doczekać. Mamy doświadczenie, ostatnio na Niepodległość czekaliśmy od 1939 do 2015 r. Przedostatnio od 1795 do 1918. Jak wiadomo, nie czekaliśmy biernie, lecz walecznie, skutecznie. Jednak nie mieliśmy przez dwa stulecia okazji, by upamiętniać bohaterów wojen, powstań i buntów, bez których nie byłoby wolnej Polski. Ten czas właśnie nadszedł, lecz za ulice, place, skwery w wolnej Polsce odpowiadają samorządy. Niektóre z nich prowadzą osobną politykę zagraniczną i historyczną. No i mamy problem. Dlatego w Warszawie jedynym pomnikiem zwycięstwa jest pałac Stalina, od kilkudziesięciu lat symbolizujący sylwetkę miasta. Został nawet wpisany na listę zabytków przez stalinowską większość miejskiej rady.

W tym kontekście wyłania się szerszy problem, mianowicie potrzeba odzyskania dużych miast dla polskiej tożsamości. Tocząca się na naszych oczach wściekła wojna kulturowa sprawia, że w pewnych miastach wszystkie teatry, wszystkie domy kultury, wszystkie estrady na wolnym powietrzu służą kolonizatorom. Pod kolorową flagą znowu pojawił się upiorny kulturtrager. Pół setki ambasadorów, zapominając o dyplomacji, postanowiło nauczyć Polaków nowoczesnego rozumienia płci, bo nie nadążamy za postępową ludzkością. Jest wiele państw, które uważają, że powinny nas pouczać i zawstydzać. Nie wiedzą, kim jesteśmy, z kim mają do czynienia. Budujmy w każdym mieście pomniki chwały bohaterów. Na Warszawę też przyjdzie pora.

Show zza kulis

Z Anną Wieczur-Bluszcz, reżyserem filmowym i teatralnym, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy można wejść do show-biznesu i pozostać sobą?

Anna Wieczur-Bluszcz: Odpowiedź na to pytanie pozostawiam do rozważenia każdemu z widzów filmu „Jak zostać gwiazdą". Wiele zależy od psychicznej konstrukcji, systemu wartości, sposobu, w jaki odnosimy się do tego, co nas spotyka w życiu codziennym i czego możemy doświadczyć w show-biznesie, jeśli do niego wejdziemy.

Żaden „show" nie istnieje dziś poza mediami społecznościowymi. Doświadcza tego również 18-letnia bohaterka „Ostra", gdy decyduje się wziąć udział w telewizyjnym programie?

Medialna sfera jest dzisiaj oczywistą częścią naszej rzeczywistości. Powstaje pytanie, jak się poruszać i jak budować własną tożsamość w świecie wyposażonym w tak skuteczne manipulacyjne i kreacyjne narzędzia. Bohaterka naszej opowieści doświadcza zarówno dobrych, jak i złych stron tej rzeczywistości. To, czy pozostaniemy sobą, opierając własne „ja" na wirtualnej czy medialnej przestrzeni komunikacji, zależy od tego, czego tak naprawdę potrzebujemy. Jeśli to, czego doświadczamy i jak doświadczamy siebie w takiej przestrzeni, jest spójne z nami, wtedy może to być dobre, spełniające doświadczenie. Jeśli jednak tak nie jest, wtedy zaczyna się problem.

Fot. Gałązka / AKPA

Osiem lat temu, debiutując jako kinowy reżyser i jednocześnie scenarzystka, zabrała pani widzów w czasy PRL i pokazała, co znaczy „Być jak Kazimierz Deyna". Dziś wchodzi pani w medialną teraźniejszość...

...w obu przypadkach pokazując, jak być sobą [uśmiech]. Teraz w znakomitym, nie tylko aktorskim, towarzystwie [w obsadzie jest m.in. Urszula Dudziak – przyp. red.] weszliśmy za kulisy. Wiele się tam dzieje.

eprasa.pl 4d5a6

BRONISŁAW WILDSTEIN

Prawa człowieka jako narzędzie

Obrona LGBT w naszym kraju połączyła 50 ambasadorów, w tym przedstawicielkę Donalda Trumpa z reprezentantem nieuznawanego przez niego prezydenta Wenezueli Nicolása Maduro. Nie tylko pełnomocnik RPA był na tyle wstrząśnięty stanem praw człowieka w Polsce, że postanowił dać temu publiczny wyraz, lecz zrobili to także jego odpowiednicy z Albanii i Malty. Brakuje wprawdzie oburzenia rzecznika Łukaszenki czy Xi Jinpinga, a także głosu Iranu czy Sudanu, ale wszystko jeszcze przed nami.

A tak na poważnie, chociaż trudno. Co nam mówi ów kuriozalny dokument, który stanowi naruszenie wszystkich reguł dyplomatycznych, choć sygnowany jest przez 50 najwyższych przedstawicieli swoich krajów? Właściwie to, co już wiemy. Żądania lobby LGBT traktowane są w nim jako tak oczywiste, że ambasadorowie opisują je jako „uświadamianie opinii publicznej". Propaganda zostaje zrównana z informacją. Ideologia, której ona służy, przedstawiana jest jako wyraz praw człowieka.

Opakowane jest to w patetyczny język godności i równości, chociaż zestawienia te jawią się jako co najmniej kontrowersyjne.

„Uznajemy przyrodzoną i niezbywalną godność każdej jednostki [...] Szacunek dla tych fundamentalnych praw [...] zobowiązuje rządy do ochrony wszystkich swoich obywateli przed przemocą i dyskryminacją oraz do zapewnienia im równych szans. Aby to umożliwić, a w szczególności, aby bronić społeczności wymagających ochrony przed słownymi i fizycznymi atakami oraz mową nienawiści, musimy wspólnie pracować na rzecz niedyskryminacji, tolerancji i wzajemnej akceptacji. Dotyczy to szczególnie sfer takich jak edukacja, zdrowie, kwestie społeczne, obywatelstwo, administracja publiczna oraz uzyskiwanie oficjalnych dokumentów".

Jakich praw pozbawione są w Polsce jednostki o innej orientacji seksualnej? Czy przestępstwa przeciw nim nie są karane jak przeciw każdemu innemu? Jednak to, czego domagają się ambasadorowie, wykracza poza rejestr praw. Wezwanie do obrony LGBT przed tzw. mową nienawiści w istocie oznacza cenzurę, która uniemożliwi krytykę tej ideologii.

Oczekiwania, aby związki ludzi „nieheteronormatywnych" były sankcjonowane jako małżeństwo, jest jego unicestwieniem. Małżeństwo nie jest prawem, ale wyjątkową, elementarną instytucją, która winna cieszyć się szczególnymi przywilejami. Dzieje się tak dlatego, że ludzie zawierający je zobowiązują się do wychowania swojego potomstwa, a więc podejmują się najważniejszej funkcji społecznej. To, że nie wszystkie małżeństwa dzieci mają, niczego nie zmienia. Tak jak brak wojny nie zmienia statusu żołnierza i wynikających z tego uprawnień.

Do praw człowieka nie należy także możliwość adopcji. Reprezentanci państwa, na których spoczywa obowiązek zajmowania się pozbawionymi rodziców dziećmi, muszą bardzo gruntownie rozważyć potencjalnych opiekunów dla swoich podopiecznych. Jest oczywiste, że ludzie cechujący się nienormalnymi („nienormatywnymi") postawami seksualnymi i żyjący w takich właśnie układach rodzicami być nie powinni. Naturalna rodzina to matka i ojciec. Przekazywanie dzieci do innego typu związków, czyli eksperymentowanie na nich, uznać trzeba za rzecz absolutnie niedopuszczalną. A jeśli uznamy inne niż heteroseksualne układy za małżeństwa, to nieprzyznawanie im prawa do adopcji byłoby dyskryminacją. Pod szyldem praw człowieka prawa dzieci poświęcane są na rzecz kaprysów dorosłych.

Ambasadorowie domagają się, aby roszczeniom lobby LGBT podporządkować edukację, a nawet państwo. Przypuszczalnie nie do końca zdają sobie sprawę z konsekwencji swoich deklaracji, ale niczego to nie zmienia. Żądają, aby to grupy LGBT definiowały normę, a więc aby przeprowadzić w naszym kraju cywilizacyjną rewolucję, która dokonuje się dziś na Zachodzie.

Ambasadorowie odwołują się do praw człowieka, odsłaniając tym samym ich zupełną destrukcję. Okazuje się, że wszystko może być za nie uznane, jeśli tylko stoi za tym wystarczająco wpływowe lobby. Niedawno MSZ Danii, której ambasador oczywiście list podpisał, zażądało od Komitetu Praw Człowieka ONZ, aby nie używał on określenia „kobieta w ciąży", gdyż ma ono charakter wykluczający w stosunku do „osób transgenderowych". Dodatkowo Duńczycy domagają się, aby organizacja ta nie stosowała sformułowania „prawo do życia", ponieważ zdarza się, że jest ono łączone z „łamaniem praw człowieka".

Jakim cudem fundament praw człowieka, jakim jest prawo do życia, może wchodzić z nimi w konflikt? Naturalnie chodzi o aborcję, a wprawdzie jej rzecznicy nie chcą przyznać, że jest ona uśmierceniem, ale kwestionując „prawo do życia", pośrednio to deklarują.

Żyjemy w świecie totalnego zakłamania. List 50 ambasadorów jest tego doskonałą ilustracją.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Fot. Andrzej Wiktor

Walizka Agnieszki Mrozińskiej

aktorki, wokalistki, tancerki, producentki filmowej

Przynajmniej raz do roku wyjeżdżam na wakacje. Jest to wyjazd z rodziną na czas totalnego wypoczynku – opalanie się, basen. Najczęściej wybieramy hotel all inclusive, gdzie są zagwarantowane atrakcje dla dzieci, tak żeby moja Nadia mogła się wybawić i wyszaleć. Oczywiście nie zapominamy o zwiedzaniu ciekawych miejsc i sportowych aktywnościach.

TOREBKA

To ważny element w moim życiu. Miłość do torebek odziedziczyłam po babci. Każdy model mam co najmniej w dwóch kolorach. Wiem, że wystarczyłyby mi trzy eleganckie torebki – mniejsza, średnia i większa, ale nie jestem w stanie odmówić sobie kolejnego zakupu, bo po prostu je kocham.

PERFUMY

Lubię ciężkie, słodkie zapachy z dodatkiem piżma. Dla mojego mężczyzny, który ich nie lubi, używam też lżejszych.

NOTESIK OD MOJEJ CÓRCI

Napis na okładce brzmi: „Troskliwa, mądra, urocza, wyrozumiała, niezwykła Moja Mama". Nadia sama mi go kupiła, gdy miała siedem lat, dlatego ten notes jest dla mnie szczególnie ważny i stale mi towarzyszy.

KOSMETYCZKA

Obowiązkowo dla każdej kobiety, a w niej m.in. szminka, tusz do rzęs, serum do twarzy. To ostatnie jest niezbędne, ponieważ często mam na twarzy „tapetę", która na planie lub spektaklu jest dokładana. Jeżeli chcę zachować cerę w dobrej formie, muszę używać dobrych kosmetyków.

SZAMPON

Jest to istotne, ponieważ od zawsze miałam słabe włosy. Obecnie są zagęszczone i pielęgnowane przez mojego anioła – Kasię Ciołkowską, a tym preparatem jeszcze je wzmacniam. Polecam go także moim kolegom.

LEKTURA

Uwielbiam modę, dlatego książka o nowych trendach jest konieczna. Zresztą zamiłowanie do mody podziela także mój narzeczony, dla którego – w przeciwieństwie do wielu panów – wyjście na zakupy nie jest karą.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

SŁUCHAWKI

Z racji tego, że od ponad 20 lat śpiewam, to muzyka towarzyszy mi przez całe życie. Ona mnie relaksuje i sprawia, że jestem szczęśliwa. Ostatnio odkryłam, że jest także lekarstwem na moje gorsze dni. Wystarczy, że słycham jej naprawdę głośno i muzyka rozpuszcza wszelkie troski.

ŻAKIET I SPODENKI

Mój ukochany chanelkowy komplet Alex Caprice. Dobry na wyjście w dzień i na wieczór. Po prostu uniwersalna klasyka, w której dobrze się czuję.

KOSTIUM KĄPIELOWY

Kiedy jadę na wakacje, ta część garderoby jest obowiązkowa. Nawet jeżeli uda nam się wyjechać tylko na weekend, to też go zabieram, bo w większości hoteli są baseny. Zresztą przez pięć lat pływałam, brałam udział w różnych zawodach i miłość do sportu pozostała.

BUTY

Uwielbiam szpilki, choć nie mogę ich zbyt często zakładać. Potwierdza się przysłowie, że żeby być pięknym, trzeba cierpieć. Od tańca mam halluksy i chodzenie w wysokich butach wymaga ode mnie dużego poświęcenia. Ale na co dzień lubię sportowe obuwie zwłaszcza do szortów, dresów itp.

BRANSOLETKI

Biżuteria mojego autorstwa, którą wykonuję z kamieni szlachetnych. Praca przy jej tworzeniu relaksuje mnie, a zarazem daje dużą satysfakcję.

Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3)

Reklama | 53/0920/F

Miesięcznik, który uzależnia od czytania i podróży

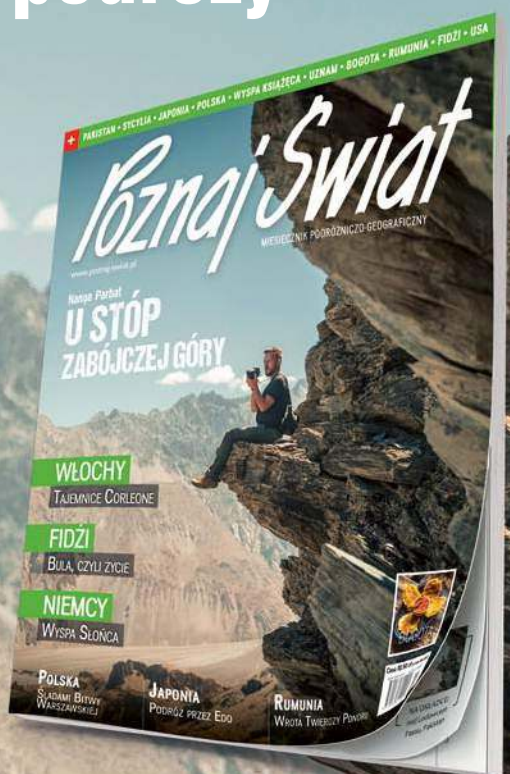

JUŻ OD 70 LAT NA RYNKU

PRENUMERATA 12 NUMERÓW W CENIE 10

KSIĄŻKI DOSTĘPNE Z PRENUMERATĄ

FOT. ALEKSANDRA I ANDRZEJ WIŚNIEWSCY

Jak zamówić prenumeratę?
Telefonicznie: 583508464 lub przez stronę internetową www.poznaj-swiat.pl/prenumerata.
Numer konta: 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004. Przy przelewach tradycyjnych w tytule przelewu prosimy podać: imię i nazwisko + adres + okres prenumeraty.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

OGNIEM NA WPROST

Tramwaj z napisem „Danzig”

Taki tytuł nosiła audycja niemieckiego publicznego radia Deutschlandfunk, w której gwiazdami były: prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz i jej psiapsiuła, wdowa po Pawle Adamowiczu – Magdalena Adamowicz. Kobiety dały taki popis antypolskiej propagandy, że przez kilka dni sprawa nie schodziła z pierwszych stron gazet. Bo jak przejść do porządku dziennego nad stwierdzeniami „Prinzessin von Danzig”, że w dzisiejszej Polsce „wolność jest zabierana po kawałku, to jest przerażające – przecież tak było w III Rzeszy!” czy „Moja mama płacze i mówi: »Boże, teraz jest gorzej niż za komuny!«”. Mama rzeczywiście ma powody do zmartwień zapewne dlatego, że piastowała do emerytury ważną funkcję na gdańskim dworze, czyli dyrektora w urzędzie miasta. Siostra Izabela też jest dręczona przez pisowski reżim, dalej pracuje bowiem w spółce miejskiej. Jednym słowem „Undique terror, undique lethum” („Wszędzie terror, wszędzie śmierć”). Choć z Westerplatte rządy Adamowicz/Dulkiewicz zrobiły śmietnik, oddały deweloperowi za przysłowiowe parę groszy teren historycznej Gedanii – ostoję polskości w Wolnym Mieście Gdańsku, to po szynach grodu nad Motławą kursuje zabytkowy tramwaj z czasów rządów NSDAP, pomalowany w ówczesne barwy i opatrzony tablicą kierunkową „Danzig”. Przed niemieckim radiem i jego słuchaczami pani prezydent nie widzi w tym żadnej niestosowności. Słuchając uważnie całej audycji, odnosi się wrażenie, że mentalnie „Prinzessin von Danzig” jest w zasadzie gotowa do podpisania volkslisty.

Na Twitterze ujawniono wpisy dziennikarza z TVN (tego od „Drugiego śniadania mistrzów”) Marcina Mellera o szefie portalu TVP Info Samuelu Pereirze, z pochodzenia Portugalczyku. „Wasza propaganda głosi, że tacy jak Ty gwałcą kobiety. Wracaj tam, gdzie PiS Ci mówi, że masz żyć. Portugalia? Gdzie lubisz zboczeńcu gwałcić polskie kobiety?”. Konkretów żadnych. Jak piszą internauci komentujący wpis, nie do końca wiadomo, czy „Mistrz” był po czy przed śniadaniem. Jedno jest raczej pewne. Wpis wygląda tak, jakby śniadanie zakropiono co najmniej pół litrem alkoholu. Pewno z tej radości, że ten pełen kultury i taktu dziennikarz, jakim jest bez wątpienia Marcin Meller, zostaje od listopada szefem portalu wp.pl.

Gdańsk to miasto otwarte – podkreśla często prezydent Aleksandra Dulkiewicz. Po grodzie Neptuna jeździ od tygodnia auto Fundacji Pro-Prawo do Życia i ostrzega mieszkańców przed deprawacją seksualną dzieci. W szkołach na terenie Gdańska prowadzona jest bowiem, z pełnym poparciem władz miasta, wulgarna edukacja, za pomocą której oswaja się uczniów z perwersjami seksualnymi. Oczywiście w ramach programu WHO. W pewnym momencie obok furgonetki fundacji zatrzymał się inny samochód, z którego wyskoczył agresywny mężczyzna. Zablokował on przejazd, wbiegając przed maskę furgonetki, po czym wyłamał lusterko i wyrwał z pojazdu tablicę rejestracyjną. Po chwili wyłamał drugie lusterko i wyrwaną tablicą rejestracyjną zaczął uderzać w szybę furgonetki. Chwilę po tym kopnięciami pogiął maskę auta. Na koniec z dużą siłą uderzył w szybę, która popękała, a w miejscu uderzenia pozostał krwawy ślad! Dzień wcześniej aktywiści LGBT próbowali w otwartym i tolerancyjnym mieście Gdańsku zerwać z rzeczonej furgonetki plandekę. Kierowca nie wytrzymał i potraktował napastników gazem. Chyba to jasne, że obie panie z Deutschlandfunk: Aleksandra Dulkiewicz, która w kółko powtarza „Gdańsk miastem otwartym i tolerancyjnym”, oraz Magdalena Adamowicz w koszulce „Imagine no hate”, siedzą cicho jak myszy pod miotłą. Ale jak przyjedzie Niemiec, to buzie obu pań są zawsze pełne frazesów.

À propos napaści na furgonetki. Drogą krajową nr 222 wiodącą przez wieś, w której mieszkam, jechał bus na elbląskiej rejestracji z wymalowanymi hasłami w dość wulgarnym stylu. Składały się m.in. ze słów „kurwizja”, wymierzonych w telewizję publiczną. Skręcając w lewo (staliśmy w korku, a bus jechał prosto), odkręciłem szybę i wyraziłem do kierowcy busa swoje zdanie na temat jego oblepionego propagandowymi hasłami samochodu. Po krótkiej, acz coraz dosadniejszej wymianie argumentów słownych, z szoferki wyskoczyło dwóch podstarzałych mężczyzn sprawiających wrażenie gitów, z czego jeden trzymał w ręku siekierę. W tej sytuacji, by nie dopuścić do eskalacji konfliktu, wyciągnąłem przymocowaną do bocznego siedzenia mojego terenowego auta maczetę (pomocna przy wycinaniu krzaków w jeździe offroadowej), mówiąc: „Siekierę też mam. Wyciągać?”. To powstrzymało elbląskich kodziarzy przed fizycznym atakiem i po krótkiej jeszcze wymianie ostrych epitetów wcisnąłem gaz, skręcając na skrzyżowaniu w lewo. Ot, takie podzielonych Polaków na drodze rozmowy.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Praca zdalna ma zalety

Marta Kaczyńska-Zielińska

W związku z utrzymującym się od pół roku stanem pandemii pracodawca może polecić pracownikowi realizowanie obowiązków zawodowych poza stałym miejscem pracy.

Od 5 września br. można kierować do pracy zdalnej w okresie obowiązywania stanu zagrożenia epidemicznego albo stanu epidemii, ogłoszonego z powodu COVID-19, oraz trzech miesięcy po ich odwołaniu. Wykonywanie pracy zdalnej może zostać polecone, jeżeli pracownik ma umiejętności i możliwości techniczne oraz lokalowe do wykonywania takiej pracy i pozwala na to rodzaj pracy. Pracodawca może zapewnić pracownikowi inne miejsce wykonywania pracy niż jego prywatny lokal, jeśli ten ostatni nie spełnia warunków do wykonywania w nim obowiązków służbowych. Praca zdalna może być wykonywana przy wykorzystaniu środków bezpośredniego porozumiewania się na odległość lub dotyczyć wykonywania części wytwórczych lub usług materialnych. Pracownikowi może zostać powierzona np. analiza dokumentów lub ich opracowanie, weryfikacja informacji, podtrzymywanie kontaktów z klientami i współpracownikami oraz szereg innych czynności, które mogą zostać zakwalifikowane jako usługi. Polecenie wykonywania pracy zdalnej może dotyczyć tylko określonych dni tygodnia lub niektórych tygodni – zmiennie z pozostawianiem na terenie zakładu pracy.

Pracownik musi zostać uprzednio poinformowany o zasadach pracy zdalnej, a w szczególności o konieczności przestrzegania zasad bhp. Trzeba pamiętać, że wypadek w trakcie wykonywania pracy zdalnej jest uznawany za wypadek przy pracy. Pracodawca ma obowiązek zapewnienia pracownikowi narzędzi i materiałów niezbędnych do realizacji obowiązków pracowniczych oraz odpowiedniej obsługi logistycznej. Obowiązujące przepisy nie wykluczają jednak, by pracownik korzystał ze swoich prywatnych narzędzi lub materiałów, o ile nie spowoduje to zagrożenia ujawnienia informacji poufnych, tajemnicy przedsiębiorstwa lub danych osobowych. Pracownik, który według pracodawcy ma kwalifikacje i odpowiednie warunki techniczne oraz lokalowe do świadczenia pracy zdalnej, nie może odmówić polecenia dotyczącego wykonywania swoich obowiązków we wspomnianej formie.

W ostatnich tygodniach pojawiła się inicjatywa nowelizacji Kodeksu pracy, która pozwoli na stałe wprowadzić instytucję pracy zdalnej do polskiego systemu prawnego. Zmianę przepisów, której według sondaży oczekuje blisko 90 proc. Polaków, zapowiedziała minister rodziny, pracy i polityki społecznej Marlena Maląg. Praca zdalna ma zastąpić obecnie obowiązujące regulacje dotyczące telepracy. Wykonywanie zatrudnienia na opisanych warunkach następowałoby za zgodą pracownika i pracodawcy z inicjatywy tego ostatniego lub na wniosek osoby zatrudnionej. Jedynie w szczególnych przypadkach pracodawca mógłby skierować poleceniem do pracy zdalnej – całkowicie lub częściowo poza siedzibą firmy lub poza innym stałym miejscem świadczenia pracy, określonym w umowie o pracę lub wskazanym przez pracodawcę. Pracownik wykonujący swe obowiązki poza zakładem pracy korzystałby ze środków bezpośredniego porozumiewania się na odległość, np. e-maila, telefonu czy komunikatorów wskazanych przez pracodawcę albo – w zależności od zakresu swoich obowiązków – także bez użycia takich środków. Zakłada się możliwość wykorzystania prywatnych materiałów i narzędzi, ale tylko za zgodą pracownika i na zasadach z nim uzgodnionych. Nowym rozwiązaniem legislacyjnym miałoby być wprowadzenie ekwiwalentu pieniężnego z tytułu wykorzystywania podczas pracy zdalnej prywatnych narzędzi pracowników. Wysokość należności podlegałaby uzgodnieniu z pracownikiem dokonanym zgodnie z zasadami określonymi w porozumieniu ze związkami zawodowymi albo w regulaminie zatrudnienia.

Wykonywanie obowiązków pracowniczych w ramach pracy zdalnej przyczynia się do ograniczenia rozprzestrzeniania się COVID-19 i zapewniło przetrwanie wielu podmiotów w trakcie lockdownu. Warto jednak zwrócić uwagę, że stanowi to również instrument ułatwiający godzenie obowiązków zawodowych z życiem rodzinnym, co w dłuższej perspektywie może znacząco wpłynąć na rynek pracy i relacje społeczne.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 24 września 2020 roku zmarł w Białymstoku

ŚP.

KPT. DR TADEUSZ WAŚNIEWSKI
PS. „SOBIESKI"

urodzony 25 października 1936 roku w Goniądzu.

W 1953 roku współorganizator młodzieżowej organizacji niepodległościowej „Wolny Orzeł Polski".
W marcu 1954 roku aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa, następnie skazany na cztery lata więzienia.
W listopadzie 1956 roku zwolniony warunkowo.
Od września 1980 roku przewodniczący Uczelnianego Komitetu Założycielskiego „Solidarności" Politechniki Białostockiej.
W październiku 1980 roku współorganizator Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego „Solidarność" Regionu Białystok.
Od września do października 1981 roku przewodniczący delegacji Regionu Białystok podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów.
Od 13 grudnia 1981 do 31 marca 1982 roku internowany w ośrodkach odosobnienia w Białymstoku i Suwałkach.

Wieloletni pracownik naukowy Politechniki Białostockiej, Prezes Białostockiego Oddziału Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego oraz członek Zarządu Głównego ZWPOS.

Uhonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Wolności i Solidarności, Medalem Komisji Edukacji Narodowej oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

45/0920/F

eprasa.pl 4d5a6e53a5

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaria

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: OMAR MARQUES/GETTY IMAGES, BARTOSZ STASZEWSKI/EAST NEWS, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER, ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER, RADEK PIETRUSZKA/PAP, ŁUKASZ KACZANOWSKI/POLSKA PRESS, SHUTERSTOCK x2

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

Czy interesuje się Pani/Pan negocjacjami i sporami między liderami Zjednoczonej Prawicy?

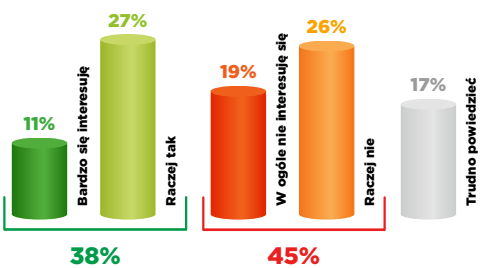

Jak ocenia Pani/Pan umiejętności Rafała Trzaskowskiego w radzeniu sobie z sytuacjami kryzysowymi?

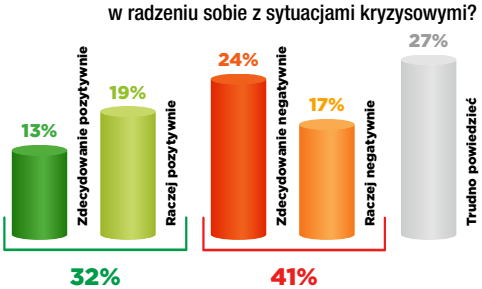

Czy popiera Pani/Pan zaostrzenie działań i surowsze zwalczenie piratów drogowych, czyli kierowców, którzy swoim zachowaniem na drodze narażają na niebezpieczeństwo innych?

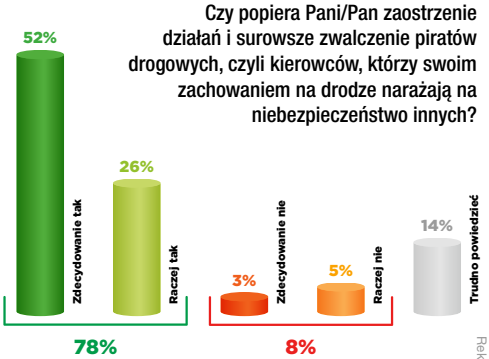

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1067.

Zakres czasowy badania 25–28 września 2020 r.

Reklama | 43/0820/F

eprasa.pl 4d5a6e53a5

PWPW

POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

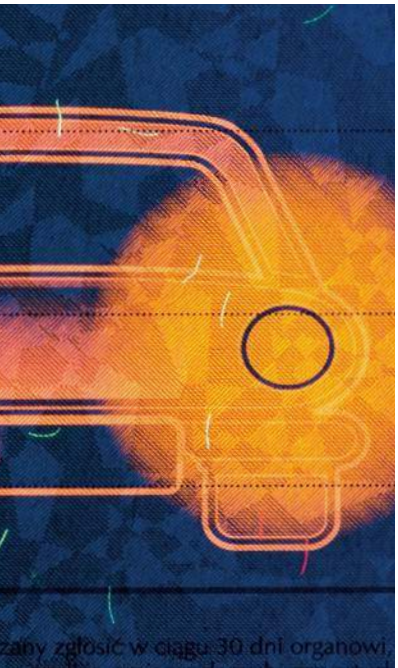

PROJEKTUJEMY

PRZYSZŁOŚĆ BEZPIECZEŃSTWA

www.pwpw.pl

zany zgłosić w ciągu 30 dni organowi,
casa.pl 4d9a6e53a5

Strefy LGBT. Anatomia manipulacji

Bartosz Staszewski wywołał w zachodnich mediach falę fake newsów na temat Polski. Jego akcja polegająca na zawieszaniu tabliczek o „strefach wolnych od LGBT" pod nazwami miejscowości posłużyła jako dowód rzekomego prześladowania homoseksualistów w Polsce. Tęczowy aktywista zyskał popularność, pieniądze i uznanie Fundacji im. Baracka Obamy. Widać, że szkalowanie własnego kraju się opłaca

Bartosz Staszewski

Fot. Andrzej Wiktor

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Tego sierpniowego dnia przechodnie mieli co oglądać. Aktywiści LGBT oblegali samochód z zatrzymanym Michałem Sz. Margot. Jeden z nich, Linus Lewandowski, starał się nie dać ściągnąć z dachu pojazdu, w którym siedział Margot, ostatecznie jedynie urwał antenę, został później zatrzymany przez policję. Znany także z ataku na furgonetkę pro liferów, tańca podczas „tęczowego disco" przed Pałacem Prezydenckim i promowania sportowej grupy Homokomando, Lewandowski udziela się w tęczowym ruchu z gorliwością człowieka przekonanego o słuszności swojej sprawy. Nie tylko on dokładał starań, by policyjny samochód

eprasa.pl 4d5a6e53a5

utknął na Krakowskim Przedmieściu – dziesiątki kolejnych aktywistów siedziało naprzeciw auta, inni nagrywali zdarzenia, wznosili wulgarne okrzyki, potem szarpali się z policją, wyzywając funkcjonariuszy od gestapo i faszystów. Bartosz Staszewski – najbardziej rozpoznawalny z nich, który woli, by mówić do niego Bart – zachowywał się jednak inaczej. Nie szarpał się, nie rzucał pod auto, nie krzyczał, przy interwencji mundurowych szybko zniknął z pola widzenia. Pojawił się kilka minut później, gdy policji już nie było, za to na Krakowskim Przedmieściu zaroiło się od telewizyjnych kamer i lewicowych parlamentarzystów, także tych z Koalicji Obywatelskiej, jak np. Magdalena Filiks czy Klaudia Jachira. Wyłonił się z niebytu wprost przed kamerą TVN, tłumacząc, że geje i lesbijki chcą w Polsce tylko żyć i kochać, ale reżim nie pozwala. Męczeństwo na pokaz?

> Mówienie, jakobym „dorabiał się na homofobii", to podobnie jakby mówić, że policjant dorabia się na złodziejstwie, a strażak na podpaleniach – odpiera zarzuty Staszewski w rozmowie z tygodnikiem „Sieci"

SPOSÓB NA ŻYCIE

9 sierpnia, po aresztowaniu Margot, internauci szybko znaleźli zbiórkę pieniędzy, jaką Staszewski założył na portalu Patronite. 6 tys. zł miesięcznie (!) z samych regularnych, dobrowolnych wpłat od 289 osób – tyle aktywista miał zapewnione dzięki datkom. Najwięcej, bo aż 155 osób, ustawiło sobie stały przelew na kwotę 10 zł – ale było to zaledwie 27 dni po założeniu profilu na portalu pozyskującym sponsorów. Ile tych przelewów ustawione jest dziś, po blisko trzech miesiącach? Tego nie wiemy, bo Staszewski po zainteresowaniu internautów zablokował możliwość podglądu wysokości datków na swoje konto.

Zapytany, dlaczego nie pozwala na wgląd we wpłaty, jak to robi przytłaczająca większość użytkowników Patronite, Staszewski nie odpowiada wprost.

– Prowadzę działalność gospodarczą i produkuję filmy. Natomiast dzięki temu, że jestem freelancerem, mogę poświęcić czas na drugą pracę, czyli aktywizm, i za tę pracę dla społeczności jestem przez tę społeczność wynagradzany – stwierdza Staszewski w rozmowie z tygodnikiem „Sieci". Aktywista nie uważa, by korzystał z atmosfery napięcia politycznego wokół LGBT. – Retoryka, którą stosuje pańskie środowisko, jest błędna. Mówienie, jakobym „dorabiał się na homofobii" (od dwóch miesięcy), to podobnie jakby mówić, że policjant dorabia się na złodziejstwie, a strażak na podpaleniach – dodaje Staszewski. Nie do końca możemy się z tym zgodzić – tutaj mamy do czynienia bardziej ze strażakiem, który nie gasi pożarów, tylko nawołuje do wsparcia za ich wskazywanie – nawet gdy nie są prawdziwe.

Do stałych przelewów dochodzą wpłaty jednorazowe, a wcześniej także wpływy z udostępniania filmu dokumentalnego „Artykuł osiemnasty". Był on prawdziwym skokiem w tęczowej karierze aktywisty. Dokument wyprodukowany w 2017 r. opowiada o tym, jak na społeczność LGBT ma wpływać art. 18 Konstytucji RP. Przypomnijmy, że mowa o kluczowym dla pojęcia rodziny zapisie prawnym: „Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej". W dokumencie wypowiadają się sami lewicowi zwolennicy małżeństw homoseksualnych, m.in. prof. Monika Płatek, Agnieszka Holland, Renata Kim, Adam Bodnar, a także kilka par homoseksualnych. Nie mogło zabraknąć także prof. Ewy Łętowskiej, tej samej, która wiosną tego roku potrafiła wyczytać z ustawy zasadniczej, że w przypadku przełożonych wyborów, po 6 sierpnia obowiązki prezydenta powinien przejąć marszałek Tomasz Grodzki. W dokumencie prawniczka nazywa art. 18 „rzekomą przeszkodą instytucjonalizacji związków jednopłciowych". W filmie nie zabrakło także prof. Jacka Kochanowskiego, socjologa queer i gender, wykładowcy Uniwersytetu Warszawskiego, który ostatnio w mediach społecznościowych pochwalił się swoją gejowską inicjacją seksualną, którą miał odbyć w wieku... 11 lat. Agresywne wypowiedzi prof. Kochanowskiego, których nie szczędzi on w internecie, w samym dokumencie nie padają, natomiast nie ulega wątpliwości, że przesłanie filmu jest jasne: jedyną drogą do legalizacji małżeństw homoseksualnych jest zmarginalizowanie Kościoła katolickiego. Pada nawet sugestia, że w USA wystarczyło, by geje zaczęli udawać rodziny, zamiast popierać rewolucję seksualną, bo panowało tam przekonanie, że „małżeństwo jest tam podstawą stabilności społecznej". A co w Polsce stanowi tę podstawę? „No Kościół katolicki" – słyszymy w filmie. „Umarł w butach. Nie mamy szans".

Produkcje Staszewskiego (wcześniej realizował m.in. dokument o emigrantach, teraz pracuje nad minitrylogią o aktywistach kolektywu Stop Bzdurom, z którym związany jest

Fot. Bartosz Staszewski / East News

eprasa 5a6e53a5

Fot. Zuzanna Kruszewska

Margot) są zrobione w jednym schemacie – cukierkowa historia o miłości i smutku z powodu opresyjnego państwa i społeczeństwa polskiego opowiadana jest przez różne postaci, przy muzycznym akompaniamencie melancholijnej wokalizy. W takiej tonacji to każda wypowiedź zabrzmiałaby rozrzewniająco. Reżyser unika odpowiedzi na pytanie, ile na tych filmach zarabia, za to chętnie wylicza koszty. – Utrzymuję się z produkcji filmowej. Łatwo wycenić moją działalność, którą teraz finansuję dzięki Patronite. Jeden dzień zdjęciowy operatora kosztuje między 600 a 800 zł netto. Stawka dniowa montażysty to około 500 zł netto. Stworzenie jednego odcinka na YouTube to 1,5–2 tys. zł – przekonuje aktywista.

POTRZEBA HISTERII

Staszewski świetnie wyczuł koniunkturę społeczną przy rosnącym napięciu pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami legalizacji małżeństw homoseksualnych. Mechanika sporu została uruchomiona przez Rafała Trzaskowskiego, który w lutym 2019 r. podpisał warszawską Kartę LGBT+, zakładającą m.in. edukację seksualną w szkołach. Błyskawiczna reakcja Instytutu Ordo Iuris umożliwiła innym samorządom przyjęcie Samorządowej karty praw rodzin, przygotowanej przez prawników tej fundacji. „To sprytne zagranie ze strony prawników Ordo Iuris" – komentował Staszewski w rozmowie z noizz.pl. W Samorządowej karcie praw rodzin prawnicy ani razu nie wspomnieli o gejach czy lesbijkach, bo też jedynym celem dokumentu jest skuteczniejsze egzekwowanie tak znienawidzonego przez lobbystów LGBT art. 18 konstytucji.

Niektóre gminy uzupełniały swoje stanowiska ponad treści zaproponowane przez Ordo Iuris, ale nawet wtedy nie było mowy o dyskryminacji. Radni Kraśnika, który stał się celem ataków lewicowo-liberalnych komentatorów, nie uchwalili nic ponad deklarację zachowania wpływu rodziców na edukację swoich dzieci. „Nie możemy dać narzucić sobie wyolbrzymianych problemów i sztucznych konfliktów, które niesie z sobą ideologia LGBT" – czytamy w załączniku do uchwały Rady Miasta z 30 maja 2019 r. „Nie zgodzimy się na sprzeczne z prawem instalowanie funkcjonariuszy politycznej poprawności w szkołach (tzw. latarników). Będziemy strzegli prawa do wychowania dzieci zgodnego z przekonaniami rodziców" – stwierdzili radni Kraśnika. Sprzeciw wobec seksualizacji dzieci wyraziły także rady czterech województw, 18 powiatów i 16 gmin.

Bezpośrednim pretekstem do eskalacji działań aktywistów LGBT i samego Staszewskiego stała się naklejka, jaką tygodnik „Gazeta Polska" dołączył 31 lipca 2019 r. do numeru pisma, z przekreśloną tęczą i napisem „Strefa wolna od ideologii LGBT". Lewicowych publicystów i zagranicznych dziennikarzy zelektryzowała już sama zapowiedź ukazania się naklejki, która w pierwotnej wersji miała zawierać napis „Strefa wolna od LGBT". Treść naklejki została skorygowana, lont został jednak już podpalony. Dwa tygodnie później na angielskiej Wikipedii pojawiło się hasło „LGBT-free zone", co jak na tę internetową encyklopedię odbyło się w sprinterskim tempie. Uaktywnił się również Staszewski. Zaczął montować przy znakach z nazwami miejscowości, które przyjęły Samorządową kartę praw rodzin, metalowe tablice z napisem „Strefa wolna od LGBT" (także po niemiecku i angielsku) i publikować ich zdjęcia w mediach społecznościowych.

Dopiero ten happening dał mu więcej sławy i wykreował na bohatera mainstreamowych mediów.

– Nigdy nie jeździłem do miejscowości, które wprowadziły Samorządowe karty praw rodzin, a jedynie stanowiska przeciw ideologii – twierdzi Staszewski. W szczegółowych opisach projektu czy w mediach społecznościowych sam przyznawał, że wiesza kontrowersyjne tabliczki. – To są tablice wzorowane na znak ostrzegawczy, a nie znak zakazu – dodaje aktywista. – Nigdy nie twierdziłem, że gminy wieszają tablice, w każdym wywiadzie i reportażu jasno wypowiadałem się co do moich intencji i tego, na czym polega projekt – przekonuje z pewnością siebie Staszewski.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że aktywista wykorzystuje płytką kulturę obrazkową – zdjęcia sugerujące, że to same miejscowości zakazują wstępu do nich homoseksualistom, obiegają

eprasa.pl 4d5a6e53a5

świat, a tylko co wnikliwsi mogą przeczytać w didaskaliach, że rzeczywistość jest inna. Relatywistyczna kultura współczesna ani jednak myśli, by się w ten szczegół zagłębiać – są tęczowe ofiary, są polscy oprawcy, więc tyle wystarczy do spłaszczonego przekazu.

KLASYCZNY FAKE NEWS

Wrażenie, że w Polsce są miejsca, gdzie homoseksualiści nie mają prawa wstępu, stało się mocnym fake newsem i przyniosło konsekwencje. W lutym 2020 r. niektóre unijne samorządy zerwały partnerstwo z polskimi gminami, w lipcu komisarz UE ds. równości stwierdziła, że niektóre z tych jednostek nie otrzymają pieniędzy w ramach projektu „Partnerstwa miast", podobną decyzję podjęto przy tzw. funduszach norweskich, które wspierają mniej zamożne regiony Unii Europejskiej. Łagodne deklaracje o wspieraniu polskiej rodziny zostały zobrazowane jako niemalże nazistowskie sankcje dotykające mniejszości seksualnych. Do chóru krytyków dołączyło 43 ambasadorów akredytowanych w naszym kraju, którzy w liście otwartym wezwali Polskę do poszanowania prawa osób homoseksualnych. Wisienką na torcie były słowa ambasador Stanów Zjednoczonych Georgette Mosbacher skierowane do Polaków w wywiadzie z wp.pl. „Musicie wiedzieć, że w kwestii LGBT jesteście po złej stronie historii. Mówię o postępie, który się dokonuje bez względu na wszystko. Używanie tego typu retoryki wobec mniejszości seksualnych jedynie wyobcowuje Polskę, przekładając się też na konkretne decyzje biznesowe" – napomniała i ostrzegła Mosbacher.

> Wrażenie, że w Polsce są miejsca, gdzie homoseksualiści nie mają prawa wstępu, stało się mocnym fake newsem i przyniosło konsekwencje

Aktywiści LGBT nie ukrywają radości z konsekwencji finansowych, jakie ma ponieść Polska za ich fake newsy. „Cała Polska wolna od Ideologii Funduszy Norweskich" – drwił Bartosz Staszewski na Facebooku.

Instytucje Unii Europejskiej oraz fundusz norweski odpowiedziały konsekwencjami, ale państwo polskie może odpowiedzieć swoimi. Instytut Ordo Iuris zaoferował pomoc prawną dla wspólnot, które zostały ofiarami oszczerstw aktywisty LGBT. – Konkretne jednostki samorządu, gminy czy powiaty mogą wystąpić z powództwem o ochronę dóbr osobistych – mówi tygodnikowi „Sieci" dr Bartosz Lewandowski, adwokat, współpracownik instytutu, który zajmuje się tą sprawą. – W ramach postępowania cywilnego można się domagać zarówno zakazania naruszania dobrego imienia, ale również przeproszenia czy nawet zapłaty zadośćuczynienia na wskazany cel społeczny albo na rzecz poszkodowanego – tłumaczy Lewandowski.

Pierwsze gminy już korzystają z tej ścieżki prawnej. Pozwy przeciwko Staszewskiemu za zniesławienie i dezinformację złożyły gminy Zakrzówek i Tuszów Narodowy.

– Pan Staszewski co prawda w pewnym momencie przyznał publicznie, że sam zamieszcza te tabliczki, ale stało się to po doniesieniach medialnych wykazujących manipulację i oburzeniu w sieci – kontynuuje mecenas Lewandowski. – Dodatkowo te tablice wskazują na istnienie porządku prawnego, którego nie ma – dodaje. Happening pozornie więc jest transparentny, ale jego celem jest wywołanie wrażenie, że w polskich samorządach istnieje prawo przewidujące zakaz poruszania się czy wjazdu, a także sankcje za naruszenie tego zakazu. – Rady czy sejmiki podjęły uchwały, które nie mają wymiaru normatywnego, stanowią jedynie deklarację polityczną koncentrującą się nie na osobach LGBT, ale na wolności rodziny do decydowania o swoich dzieciach – komentuje prawnik z Ordo Iuris.

Zatem unijne instytucje chcą ukarać polskie samorządy za... odmienne poglądy polityczne.

KILKASET TYSIĘCY ZŁOTYCH?

Mecenas Lewandowski twierdzi, że rozmiar krzywdy z powodu dezinformowania na temat sytuacji homoseksualistów w Polsce jest potężny, jego skala może decydować o wysokości zadośćuczynienia. – W mojej ocenie kwoty zadośćuczynień mogłyby wynosić nawet kilkaset tysięcy złotych – podsumowuje dr Bartosz Lewandowski.

Bartosz Staszewski nieszczególnie się tym przejmuje. W mediach społecznościowych zdaje się chwalić kolejnymi pozwami, a tygodnikowi „Sieci" mówi: – Nie mam obaw, jeśli chodzi o procesy sądowe wytoczone mi przez te dwie gminy, chociaż z pewnością będą żmudne i długotrwałe. Mam już doświadczenie w podobnych sprawach.

Aktywista wymienia sprawy, które już wygrał: wspomina o sporze z radnym Tomaszem Pituchą z Lublina czy posłem (wówczas wojewodą) Przemysławem Czarnkiem.

Tymczasem Staszewski został wyróżniony przez zagranicę nie tylko cytowaniem go w światowej prasie – ostatnio Fundacja im. Baracka Obamy zaprosiła go do programu dla europejskich liderów, polegającego na półrocznym szkoleniu, rozwoju i sieciowaniu progresywnych aktywistów w Europie. Drugą osobą z Polski, która dostała się do tej szkoły liderów, jest Zuzanna Rudzińska-Bluszcz, lewicowa kandydatka na urząd Rzecznika Praw Obywatelskich. Udział w projekcie bezpośrednio nie przynosi żadnych pieniędzy, ale daje prestiż, rozpoznawalność i sieć międzynarodowych kontaktów.

Tak wygląda los mniejszości seksualnych w Polsce, rzekomo prześladowanych. Bartosz Staszewski żyje z progejowskich produkcji filmowych i happeningów, kosztem zniekształcania obrazu swojego kraju w świecie. Jana Pawła II w swoich materiałach potrafi skojarzyć z obrońcą pedofilów, Kościół zaś – z klasą wyzyskiwaczy. Z równym zapałem o ciemiężeniu LGBT opowiadają inni zdeklarowani homoseksualiści: Jacek Dehnel, Tomasz Raczek, Robert Biedroń. Wszyscy dobrze prosperujący w mainstreamie, ulubieńcy mediów, świetnie uposażeni materialnie – niejedna mniejszość chciałaby być tak prześladowana.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Szarża ambasadorów

Już wcześniej zdarzały się takie listy w obronie środowisk LGBTI, miały podobną treść, ale nigdy nie spotkały się z takim odzewem jak ten

GORAN ANDRIJANIĆ

43 ambasadorów oraz siedmioro przedstawicieli regionów i instytucji międzynarodowych złożyło swoje podpisy pod listem, w którym poparli przesunięte na inne terminy parady równości, jakie ruch LGBTI miał zorganizować w kilku polskich miastach, oraz wezwali Polskę do poszanowania praw osób homoseksualnych.

Takie poparcie dla parad równości z placówek dyplomatycznych to nic nowego i dzieje się tak już od 2013 r. Co zatem sprawiło, że tym razem o liście ambasadorów dyskutuje cała Polska?

WSPARCIE DLA IDEOLOGICZNEJ OFENSYWY

Po pierwsze, tekst listu opublikowała na swoim Twitterze amerykańska ambasador w Polsce Georgette Mosbacher, dopisując komentarz: „Prawa człowieka to nie ideologia – one są uniwersalne".

Kiedy przedstawiciel dyplomatyczny jednego z najważniejszych państw na świecie popiera swoim autorytetem (nawet tym internetowym) jakąś inicjatywę – wszyscy muszą wyostrzyć słuch.

Po drugie, list został opublikowany w momencie, gdy w Polsce trwa prawdziwa ofensywa ruchu LGBTI przeciwko rządowi PiS. Jesteśmy jednak świadomi, że jest to także wojna przeciwko kulturowemu i społecznemu systemowi wartości, który (jeszcze wciąż) pozostaje w mocy w naszym kraju. List ten i jego intencje warto zrozumieć właśnie w tym kontekście.

„Uznajemy przyrodzoną i niezbywalną godność każdej jednostki, zgodnie z treścią Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka" – piszą ambasadorzy w taki sposób, jakby zwracali się do reżimu Korei Północnej lub innego autorytarnego państwa. Dodają później: „Szacunek dla tych fundamentalnych praw zobowiązuje rządy do ochrony wszystkich swoich obywateli przed przemocą i dyskryminacją oraz do zapewnienia im równych szans".

Dyplomaci nie podali jednak ani jednego przykładu. Nie wiemy więc, o jaki rodzaj przemocy i dyskryminacji im chodzi.

To nie wszystko. W sytuacji gdy aktywiści LGBTI rozprawiają się pięściami na ulicach polskich miast ze swoimi przeciwnikami, w momencie gdy zdezorientowanego i agresywnego młodego chuligana (mówimy oczywiście o Michale Szutowiczu) ogłaszają bohaterem, ambasadorzy piszą tak: „Wyrażamy uznanie dla ciężkiej pracy społeczności LGBTI... jak również dla pracy wszystkich ludzi, których celem jest zapewnienie przestrzegania praw osób LGBTI oraz innych osób stojących przed podobnymi wyzwaniami, a także zapobieganie dyskryminacji, w szczególności tej motywowanej orientacją seksualną czy tożsamością płciową".

Podpisani pod listem dyplomaci nie napisali ani słowa o agresywnych zachowaniach, które w ostatnim czasie coraz częściej okazują aktywiści LGBTI w Polsce. W ani jednym zdaniu nie pojawiła się informacja, że śledzą wydarzenia w Polsce, ani nie ostrzegli przed wspomnianą wyżej agresją. Mamy tu pospolite frazesy, powtarzane co roku przy okazji podobnych wystąpień „przeciwko dyskryminacji".

Chociaż w liście pada stwierdzenie, że całą inicjatywę w tym roku zapoczątkowała ambasada Belgii, to jasne, że stoi za nią sama amerykańska ambasador. Po prostu jest zbyt wielu sygnatariuszy państwa, dla których „prawa LGBTI" są tak naprawdę ostatnim dołkiem do rozegrania.

Nawiasem mówiąc, w niektórych z tych krajów homoseksualiści do dziś doświadczają przemocy fizycznej (inaczej niż w Polsce).

Tutaj jednak chodzi o to, że kiedy przedstawicielka jednej ze światowych potęg politycznych wzywa do podpisania czegoś, nie wolno tego odrzucić. Ani z punktu widzenia państwa, które się reprezentuje, ani z perspektywy osobistej kariery dyplomatycznej.

POLITYCZNA MACZUGA

List jest dowodem również na to, że niestety kwestia orientacji seksualnej stała się poważnym tematem w kręgach dyplomacji. Lobby LGBTI, które przemyca ideologię gender jako nową religię, jest po prostu związane z centrami politycznej i społecznej mocy, i to z tymi najważniejszymi. Co ważne, zawsze gotowe jest wykorzystać tę przyjaźń.

W tym przypadku chodzi o kombinację interesów środowisk LGBTI z interesami określonych kręgów politycznych,

eprasa.pl 4d5a6e53a5

których celem jest „trzymać Polskę na krótkiej smyczy". Po tym, jak próbowali wykorzystać problem reformy sądownictwa i nie odnieśli sukcesu, teraz robią to, posługując się mitem „zagrożonych" mniejszości seksualnych. Zagrożenie „bezbronnych" ma znacznie większy potencjał motywowania ludzi pod względem psychologicznym i emocjonalnym niż zawiła historia instytucji prawnych i przepisów. I z pewnością przyniesie Polsce więcej problemów. Co już dziś możemy zobaczyć.

Mimo pewnych przykrych niespodzianek (podpisy ambasadorów Litwy, Czech, Chorwacji i Ukrainy) wśród sygnatariuszy listu nie ma Węgrów ani Słowaków. Widzimy na tym przykładzie, że większość państw Grupy Wyszehradzkiej dalej rozumie stanowisko Polski.

„PO ZŁEJ STRONIE HISTORII"

Ważniejsza od listu jest rozmowa, którą ambasador przeprowadziła po jego publikacji. Ci, którzy myśleli, że jej celem będzie wyjaśnienie poparcia ambasador dla listu lub złagodzenie jego tonu, mocno się zdziwili. Zamiast tego Mosbacher wzmocniła swoją tezę.

„Musicie wiedzieć, że w kwestii LGBT jesteście po złej stronie historii. Mówię o postępie, który się dokonuje bez względu na wszystko. Używanie tego typu retoryki wobec mniejszości seksualnych jedynie wyobcowuje Polskę, przekładając się też na konkretne decyzje biznesowe" – powiedziała.

Ten nauczycielski ton i doradzanie w kwestii, co jest dobre, a co złe, to pouczanie, jak mamy budować swoje społeczeństwo, kulturę, relacje do seksualności człowieka, nie ma to już nic wspólnego z dyplomacją. To fundamentalne pytania dotyczące przyszłości Polaków, o której mogą decydować tylko oni sami.

> Dyplomaci w swoim liście nie podali ani jednego przykładu łamania prawa czy agresji. Nie wiemy więc, o jaki rodzaj przemocy i dyskryminacji im chodzi

Choć Georgette Mosbacher jest przedstawicielką ogromnego państwa, naszego sojusznika, to mówienie Polakom, że znaleźli się po złej stronie historii (narodowi, który poniósł największą ofiarę ze strony dwóch totalitaryzmów), jest naprawdę niegrzeczne, głupie i niedopuszczalne. Zła strona historii większości ludziom kojarzy się właśnie z tymi totalitaryzmami. Twierdzenie, że Polacy są po złej stronie, oznacza stawianie ich w jednym rzędzie z nazistami i zwolennikami Stalina.

Fot. Andrzej Wiktor

Co takiego definiuje, co jest złe, a co dobre? Jaki „postęp", o którym wspomina ambasador, decyduje o tym, czy kraj znalazł się po złej lub dobrej stronie?

Właśnie w tym momencie dyskusji pojawia się element ideologii. Niektórzy jednak twierdzą, że nie ma o niej mowy. A jednak jest, i to w swojej najczystszej formie – określone spojrzenie na świat, które w większości przypadków jest narzucane siłą autorytetu. Jeśli wasze społeczeństwo odrzuci ideologię gender, ucierpi na tym wasza ekonomia i współpraca wojskowa. Czym innym są takie słowa jak nie szantażem? To typowy przykład tego, co papież Franciszek nazywa „ideologicznym kolonializmem".

Następne niebezpieczeństwo polega na tym, że nie chodzi tu o fakty, tylko o ideologiczne i polityczne projekcje. Kiedy dziennikarz Marcin Makowski wyjaśnił w wywiadzie pani ambasador, że w Polsce nie ma żadnych „stref wolnych od LGBT", ta odpowiedziała, że to nawet nie ma znaczenia, ważna jest symbolika.

Jeśli musimy polemizować z polityką, która opiera się na fake newsach, mamy poważny problem.

Rozwiązanie nie leży, jak sugerują niektórzy nasi publicyści, piszący w ostatnim czasie o Polsce jak o „europejskim Iranie", w przyjęciu kłamstwa o Polsce jako prawdy. Z powodu szerzenia kłamstw i fake newsów nie możemy zrezygnować z walki o naszą tożsamość i tradycyjne wartości.

Bo powtórzymy to jeszcze raz, tu nie chodzi o prawa człowieka, które w Polsce są przestrzegane. Tutaj chodzi o ideologię gender, która chce opanować fundamenty naszej kultury i zmienić całkowicie nasze społeczeństwo. Walka z nią będzie ciężka i bardzo kosztowna, bo taka musi być.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Presja

JAN ROKITA

Dość nieoczekiwanie pod koniec września wzmogła się zewnętrzna presja wywierana na państwo polskie. Prawdę mówiąc, nie jest wcale łatwo zidentyfikować ani dlaczego akurat teraz następuje takie ześrodkowanie nacisków z kilku stron i w różnych kwestiach, ani też jakie realne cele chcieliby osiągnąć inicjatorzy owych nacisków. Może być tak, jak w końcu często dzieje się w polityce, że ów czasowy zbieg politycznego ostrzału z różnych kierunków jest skutkiem przypadkowej koincydencji, mającej źródło w początku jesiennego sezonu politycznego i wynikającego zeń rutynowego kalendarza politycznego. Na czas powakacyjny przygotowują zawsze swoje inicjatywy instytucje europejskie, a od jakiegoś czasu we wrześniu wygłaszane jest celebrowane orędzie szefa Komisji Europejskiej, wzorowane na amerykańskiej tradycji prezydenckiego „orędzia o stanie Unii". Jednak taka hipoteza, choć zapewne po części prawdziwa, nie wyjaśnia jednoczesności presji na kilku polach, zwłaszcza ze strony rządu w Berlinie, który sprawuje w tym półroczu tzw. prezydencję, oraz niemieckiej szefowej Komisji Europejskiej, dotąd na skutek swoistej politycznej „wdzięczności" wobec Morawieckiego starającej się wykazywać pewną oględność wobec Polski.

Fakty są w zasadzie znane, ale dopiero ich uporządkowanie pozwala zobaczyć trend. 16 września von der Leyen w swoim „orędziu" zapowiedziała dwie inicjatywy Komisji, zmierzające do prawnego usankcjonowania w całej Unii znanych postulatów środowisk libertyńskich. Pierwszy projekt to obowiązek uznawania przez wszystkie państwa za prawnych rodziców dwóch kobiet lub dwóch mężczyzn („jeśli jesteś rodzicem, to jesteś nim w każdym kraju"). Drugi to przepisy karne, które w całej Unii zakazałyby krytyki tego typu rozwiązań, uznanej za formę werbalnej nienawiści i podlegającej sankcji karnej. Von der Leyen ani razu w swej mowie nie wymieniła Polski, jednak kontekst wskazywał jednoznacznie, iż polityczną intencją ma być wymuszenie radykalnej zmiany prawodawstwa rodzinnego w naszym kraju. Szefowa Komisji starała się ująć swe zapowiedzi w formę ideowej walki o ludzką godność i prawa, czyniąc „patronem" swych projektów zmarłego w sierpniu irlandzkiego socjalistę i laureata pokojowego Nobla (za tzw. porozumienie wielkopiątkowe)

Fot. East News

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Obserwując obecne „impasowanie" Polski na kilku polach jednocześnie, trudno nie odnieść wrażenia, że to w Berlinie musiała zapaść decyzja o takim podniesieniu poprzeczki i przetestowaniu odporności rządu w Warszawie. I stąd presja

Johna Hume'a. Dzień później – 17 września – Parlament Europejski uchwalił dziesiątą rezolucję w sprawie Polski, najbardziej radykalną jak dotąd, gdyż stawiającą trzy żądania: wznowienia procedury karnej w Radzie Europejskiej, uruchomienia nowych procesów w trybunale luksemburskim i nałożenia sankcji gospodarczych na nasz kraj. Atmosferę podczas sesji parlamentu zdominowały głosy takie jak holenderskiej liberalnej deputowanej Sophie in 't Veld, która ostro krytykowała politykę Komisji, mówiąc, że „już nie chce więcej słuchać o dialogu z Polską". Na Twitterze poparcia szefowej Komisji, gdy idzie o solidarność z żądaniami polskich libertynów, udzielił także kandydat demokratów do prezydentury Joe Biden.

W tym samym czasie niemiecka prezydencja podjęła zakulisowe starania o przeforsowanie przygotowanej w Berlinie nowej wersji rozporządzenia „pieniądze za rządy prawa". Treść projektu zrelacjonował szczegółowo dobrze poinformowany korespondent „Gazety Wyborczej", zanim niemiecki minister ds. europejskich Michael Roth rozesłał go do europejskich stolic. Istotą projektu jest wprowadzenie uproszczonego mechanizmu sankcji gospodarczych nakładanych przez Radę Unii na kraj członkowski, jeśli Komisja Europejska uzna, iż narusza on zasady rządów prawa. Gestem wobec naszego kraju miałaby być konieczność wykazania, iż owa „niepraworządność" ma wpływ na złe zarządzanie funduszami europejskimi. Polska co prawda ma dobrą reputację, jeśli chodzi o sposób zarządzania funduszami, ale wiadomo dobrze, że arbitralne uznanie związku pomiędzy np. nominacją polskich sędziów przez KRS a groźbą dla właściwego korzystania z funduszy nie stanowi żadnego problemu dla instytucji europejskich, jeśli takie byłoby akurat polityczne zapotrzebowanie. Co kluczowe w tej sprawie, decyzja o sankcjach miałaby już nie zapadać jednomyślnie (jak zapisano w traktacie), ale „podwójną większością", czyli podejmowałoby ją 15 krajów mających co najmniej 65 proc. ludności Unii. Jeśli przełożyć to na obecne realia unijnej polityki, oznacza to, że uchwałę taką miałaby szansę podjąć jakakolwiek koalicja, w której uczestniczyłyby Niemcy. W praktyce zatem faktyczna decyzja o obłożeniu sankcjami Polski, Węgier, Rumunii lub Bułgarii (to są dziś hipotetyczne kraje „kandydackie") zależałaby od tego, czy rządy tych krajów dogadają się z Berlinem, czy też nie. Naturalny „patronat" Niemiec nad Europą Środkową uległby w ten sposób umocnieniu.

23 września von der Leyen ogłosiła nowy pakt migracyjny, w którym następuje faktyczny powrót do idei przymusowej relokacji imigrantów, tyle że nie na co dzień, lecz tylko w warunkach jakiegoś kolejnego kryzysu. Z racji znanych kontrowersji w całej Europie pakt jest mocno zredukowany wobec niegdysiejszych planów komisji Junckera, gdyż zakłada

REKLAMA

44/0920/F

eprasa.pl 4d5a6e53a5

wymóg „oceny" ze strony Rady i Parlamentu Europejskiego, a także wprowadza regułę (prawdę mówiąc – nonsensowną, bo praktycznie niewykonalną), iż kraj zamiast „brać" imigrantów, może równie dobrze zorganizować deportację z innych państw unijnych takiej liczby imigrantów, jaką byłby obowiązany przyjąć. Rzecz jednak w tym, że powraca sama zasada „relokacji", którą cała Europa Środkowa chciałaby zastąpić zasadą „ochrony granicy zewnętrznej Unii". Znów jak na dłoni widać tu berlińską inspirację, gdyż Niemcy są ciągle jedynym unijnym państwem, które nie bez racji obawia się, iż polityczna wojna, jaką Francuzi, Grecy i Włosi wypowiedzieli Turcji, skończy się któregoś dnia kolejną próbą przebicia się miliona Murzynów i Azjatów przez Bałkany do Niemiec. A mimo daleko posuniętego zaangażowania w próby wypracowania kompromisu z Erdoğanem kanclerz Merkel jest tu na razie zupełnie bez sukcesu.

25 września „Rzeczpospolita" opublikowała wywiad z nowym niemieckim ambasadorem, który w kulturalnych słowach (jak przystało na arystokratę), ale nietworzących żadnych złudzeń, zasygnalizował polityczny zamiar presji na Polskę. Dwa dni później ambasadorzy państw demokratycznych (od Nowej Zelandii po Argentynę) wystąpili, skądinąd nie po raz pierwszy, ze słowami życzliwości dla walki polskich libertynów przeciw rządowi, co ambasador USA skwitowała już dziś sławnym bon motem, iż my Polacy jesteśmy „po złej stronie historii". Listu, co wielce ciekawe, nie sygnowała dyplomacja Słowacji, Węgier, Rumunii i Estonii ani Brazylii, za to przyłączyły się Litwa, Łotwa i Ukraina, co zapewne jest skutkiem postawy ambasady amerykańskiej.

29 września pokazał się jeszcze jeden list, tym razem profesorów akademickich z wielu krajów, sygnowany także przez czterech Polaków (profesorowie Balcerowicz, Koncewicz, Matczak i Sadurski), zawierający frontalny atak na kunktatorską politykę Komisji Europejskiej wobec Polski i domagający się nie tylko sankcji gospodarczych, lecz przede wszystkim rysujący nową koncepcję komasacji wszystkich zarzutów wobec państwa polskiego w jedno oskarżenie, które miałaby wytoczyć Komisja przed unijnym trybunałem. Efektem miałby stać się wielki „proces luksemburski" przeciw Polsce, inspirowany w jakimś sensie powojennym „procesem norymberskim" przeciw władzom niemieckim, w którym dowiedziono by „kompleksowego i zaplanowanego charakteru ataku polskiego rządu" na wolność, prawo i demokrację. Zaledwie dzień po publikacji tego listu Komisja ogłosiła pierwszy przegląd stanu praworządności w Unii, w którym oprócz znanych zarzutów dotyczących reformy sądów i niespełniania przez Warszawę żądań libertynów pojawiły się nowe: niepraworządne łączenie funkcji ministra sprawiedliwości z prokuraturą generalną oraz podporządkowanie rządowi CBA. Oba – trzeba przyznać – nietypowe, zważywszy, że model ministra-prokuratora był w 1989 r. uważany za odejście od tzw. sowieckiej koncepcji prokuratury i chwalony w całej liberalnej Europie. Podobnie jak w całym liberalnym świecie jeszcze niedawno uważano, iż jakakolwiek policja bez cywilnego nadzoru demokratycznie obranych władz to nic innego jak relikt państwa totalitarnego. I znów trudno uniknąć wrażenia, że raport pisano pod polityczne zapotrzebowanie na pomnożenie zarzutów wobec Polski, a tym samym wzmożenie politycznej presji na Warszawę.

Jak na tak krótki czas, to zaiste imponujący kalendarz nacisków wywieranych na jakiś kraj. Prawdę mówiąc, porównywalny, jeśli nie bardziej stanowczy, w zestawieniu z aktywnością demokratycznego świata wobec zrewoltowanej Białorusi. Zapewne może być jakiś ułamek racji w opinii niektórych ideologów władzy pisowskiej, iż wzrost nacisku zewnętrznego bierze się z utraty w europejskich kancelariach rządowych nadziei na zmianę polityczną w Polsce, przeprowadzoną siłami polskiej opozycji. Słabością takiej interpretacji jest jednak oczywistość, iż w owych kancelariach rządowych, zwłaszcza zaś w berlińskim Kanzleramcie, nikt zapewne nie jest tak nierozsądny, aby liczyć, czy to na obalenie władzy PiS w Polsce za pomocą zewnętrznej presji, czy to na zmuszenie Kaczyńskiego do likwidacji zreformowanego Sądu Najwyższego i KRS, czy to wreszcie na skuteczne wywrócenie przez libertynów polskich konstytucyjnych norm prawa rodzinnego. Ani jedno, ani drugie, ani trzecie oczywiście nie nastąpi. Na czym zatem polega polityczna kalkulacja, która stoi za takim – przyznać trzeba – nie całkiem spodziewanym wzmożeniem zewnętrznej presji na nasz kraj?

Lwia część odpowiedzi na to pytanie musi dotyczyć intencji i interesów Berlina, który jeszcze przez trzy miesiące trzyma formalną „prezydencję" w Unii. U schyłku swych rządów kanclerz Merkel nie może już chcieć niczego innego, aniżeli dowieść, pewnie po raz ostatni, że tylko Berlin dysponuje siłą przełamującą różnice zdań oraz interesów w Unii, a także zdolnością budowania kompromisów, choćby nawet bardzo ułomnych. Na europejskiej agendzie Merkel ma do przełamania wieloletni spór o unijne prawo imigracyjne i uzyskanie zgody Parlamentu Europejskiego na nowy budżet oraz pakt odbudowy. Zapewne liczy także na listopadowy sukces Bidena w Ameryce, co w ostatniej chwili pomoże jej ocalić niedokończoną drugą rurę bałtycką. Pomimo ostrych krytyk owej rury wśród czołowych chadeków rzecz przeciął ostatnio minister Peter Altmaier (pełniący wobec przywódczyni funkcję podobną jak Joachim Brudziński w Polsce wobec prezesa PiS), oznajmiając, że druga rura ma być dokończona. Tak się akurat składa, że w każdej z tych trzech ważnych teraz dla Berlina kwestii Polska jako przeciwnik wymaga pewnego wyimpasowania. Oczywiście nie wolno bagatelizować tego, że spór o żądania libertynów dla coraz liczniejszej części zachodniego establishmentu ma wymiar ideowej walki o nowy, antychrześcijański model panującej religii. W takim kierunku podążyć może zarówno administracja demokratów w USA, jeśli za chwilę Biden (niegdyś konserwatywny, dziś skrajnie oportunistyczny) wygra wybory, jak i Komisja Europejska z von der Leyen oraz jej zastępczynią Czeszką Věrą Jourovą, która odgrywa w Brukseli rolę ideologicznego betonu. Jednak obserwując obecne „impasowanie" Polski na kilku polach jednocześnie, trudno nie odnieść wrażenia, że to w berlińskim Kanzleramcie musiała zapaść czysto polityczna decyzja o takim podniesieniu poprzeczki i przetestowaniu odporności rządu w Warszawie. I stąd presja, której cierpliwe zniesienie nie będzie w najbliższych tygodniach próbą łatwą dla Morawieckiego, Dudy i Kaczyńskiego.

Reklama | 33/0920/F

eprasa.pl 4d5a6e53a5

POLSKA WIELKI PROJEKT

NOWE POKOLENIE

X KONGRES POLSKA WIELKI PROJEKT

9-11 października 2020

W tym roku tylko transmisja online.
Zapraszamy do oglądania na stronę www.polskawielkiprojekt.pl

Paneliści:

Zbigniew Stawrowski • Andrzej Zybertowicz • Antoni Łepkowski • Antoni Libera • Andrzej Nowak • Andrzej Rychard • Bronisław Wildstein • Krzysztof Szczerski • Przemysław Żurawski vel Grajewski • Michał Łuczewski • Justyna Orłowska • Michał Łukasz Kamiński • Paweł Lisicki • Maciej Urbanowski • David Engels • Mateusz Werner • Krzysztof Noworyta • Sławomir Mazurek • Grzegorz Górny • Bolesław Stelmach • Krzysztof Ingarden • Kazimierz Łatak • Hubert Trammer • Andrzej Szczerski • Włodzimierz Bolecki • Dariusz Wieromiejczyk • Patryk Kencki • Piotr Bernatowicz • Maciej Mazurek

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Partnerzy

Patronat medialny

eprasa.pl 4d5a6e53a5

W mojej ocenie na uczelniach dyskryminowani są dziś naukowcy i studenci, którzy mówią prawdę opartą na trzeźwej ocenie rzeczywistości, którzy kierują się wartościami chrześcijańskimi, którzy odwołują się do konstytucji. Sam tego doświadczyłem

W tej sprawie będę nieugięty

Michał Karnowski rozmawia z prof. Przemysławem Czarnkiem, posłem PiS, prawnikiem, przyszłym ministrem edukacji i nauki

Czy jest jakiś pociąg historii, który nieubłaganie gna ku panowaniu ideologii LGBT, jak kiedyś pędzić miał komunizm? Taka teza wynika z wypowiedzi ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher, która promując firmowany przez siebie list ambasadorów z okazji nieodbytej tzw. parady równości, stwierdziła: „Musicie wiedzieć, że w kwestii LGBT jesteście po złej stronie historii. Mówię o postępie, który się dokonuje bez względu na wszystko".

prof. Przemysław Czarnek: Nie ma żadnej nieuchronności. Ona pojawia się wtedy, kiedy ludzie dobrzy są bierni i wtedy rzeczywiście zło się panoszy i rozprzestrzenia po świecie. Nie ma więc żadnego pociągu historii, jest tylko bierność tych, którzy mówią: „Zostawcie, niech się dzieje, niech przejdą, niech paradują, niech wieszają, potem im to przejdzie". Otóż nic samo nie przejdzie.

Fot. PAP / Wojciech Pacewicz

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Pragnienie, by udawać, że to się nie dzieje, można spotkać też na prawicy. Słychać, że należy zejść z tematu, że kiedy o tym mówimy, to nakręcamy drugą stronę. Ale czy to na pewno by coś dało?

Tak tę walkę w wielu miejscach przegrał Zachód. Ale co najważniejsze – to nie strona konserwatywna jest agresorem, ale ci, którzy w Gdańsku wraz z panią prezydent Aleksandrą Dulkiewicz wychodzili na paradę z transparentem przedstawiającym żeńską część ciała i udawali procesję Bożego Ciała. To nie my przerabiamy wizerunki czyichś świętych, ale nasze są profanowane. To nie my odprawiamy prześmiewcze msze, nie my obrzydliwie przeszkadzaliśmy w czasie Marszu Powstania Warszawskiego. Każdego dnia możemy dodać do tej listy nowe przykłady. Nikogo nie atakujemy, chcemy tylko bronić porządku prawnego, bo te zachowania są sprzeczne z polskim prawem. W państwie prawa trzeba przestrzegać przepisów, wszyscy są równi w odpowiedzialności prawnej. I każdy: hetero, bi czy homo, jest poddany takiej samej odpowiedzialności prawnej. Zacznijmy od artykułu 13 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, który zakazuje propagowania rasizmu, nazizmu, komunizmu. Nie muszę wyjaśniać, że wszystkie te ideologie swoje źródło mają w marksizmie.

Prasa lewicowo-liberalna przywitała zapowiedź pana nominacji na szefa resortu edukacji i nauki zaciekłymi atakami. Stwierdzeniami, że odrzuca pan prawa człowieka, nie szanuje mniejszości. Przywoływane są wyrwane z kontekstu pańskie słowa, np. „ci ludzie nie są równi ludziom normalnym". Jak będzie pan na to odpowiadał?

Będę mówił prawdę, z którą na szczęście zgadza się większość Polaków. Jeżeli ekshibicjonista w biały dzień wychodzi na ulicę z szampanem w ręku i spaceruje z przyrodzeniem na wierzchu, na oczach także dzieci, to nie jest to zachowanie normalne i taki człowiek mianem normalnego cieszyć się nie może. Tego dotyczył przywołany cytat i nie sądzę, by większość moich współrodaków uznała, że powiedziałem coś skandalicznego. Podobnie jest z tym cytatem o prawach człowieka. Taki ekshibicjonizm nie ma nic wspólnego z prawami człowieka, za to dużo z demoralizowaniem. Prawo do demoralizowania nie istnieje, nie jest zatem prawem człowieka. Nie mam więc sobie nic do zarzucenia. Odwrotnie – miałbym poczucie zaniechania, gdybym nie mówił głośno o tym, do czego prowadzą w konsekwencji ideologia LGBT, ideologia genderowska i neomarksizm.

> Straceni będziemy wtedy, gdy zaprzestaniemy walki, gdy pozwolimy, by wielkość sił przeciwnika nas przeraziła. Że i nawet do kościoła będziemy chodzić po ciemku, by nie denerwować wojujących ateistów, czy powycinamy krzyże przy drogach

Prawa człowieka są jednak używane jako główny argument na rzecz przymusowego wdrożenia na całym świecie ideologii LGBT.

Nie próbuje się nam tego wmówić nawet na siłę, bo dyskusji nie ma. Proszę o konkrety: jakie prawa człowieka? Które? Mnie kompletnie nie interesuje orientacja seksualna innych osób, w tym pana, a pana nie powinna interesować moja. Przecież to jest prywatna, intymna sfera życia człowieka i musimy o tym głośno mówić, bo inaczej ucierpią na tym nasze dzieci.

Mówi pan o prawie, o naturalnym wstydzie człowieka, jego godności, które są często przez te nowe ruchy łamane. Ale tak jak w rewolucji bolszewickiej decydował browning, brutalna siła Czeka, tak dzisiaj też ma decydować siła: medialna, unijna, establishmentu, struktur ponadnarodowych, wielkich korporacji. Czy to nie podważa pana przekonania, że odwołanie się do zdrowego rozsądku, opinii większości, konstytucji, może coś zmienić?

W pana pytaniu czuję sugestię, że przewaga strony przeciwnej, łamiącej zasady współżycia społecznego, powinna nas skłaniać do poddania się. Nie, bo to byłaby właśnie bierność dobrych, która sprzyja złu. Czy – odwołując się do przykładu Bitwy Warszawskiej 1920 r. – marszałek Józef Piłsudski powinien wykonać kontruderzenie na siły sowieckie, czy też uznać, że przewaga agresora jest zbyt wielka? Straceni będziemy właśnie wtedy, gdy zaprzestaniemy walki, gdy pozwolimy, by wielkość sił przeciwnika nas przeraziła. Wiem, że siła medialna po tamtej stronie jest potężna i że przez pięć lat nie udało nam się zbudować względnej choćby równowagi w tym obszarze. Ale to nie oznacza, że mamy teraz nic nie robić i nawet do kościoła chodzić po ciemku, by nie denerwować wojujących ateistów, czy powycinać krzyże przy drogach. Jeżeli chcemy cokolwiek w Polsce zmienić, musimy z tą biernością skończyć. A w porządku chrześcijańskim, do czego zawsze się odwołuję, „prawdę zawsze głosić trzeba, jak się chce iść do nieba". To mówili mi rodzice, babcie, dziadkowie i to każdego chrześcijanina obowiązuje. Pan Bóg w moim przekonaniu nie będzie usprawiedliwiał bierności.

Mówi pan: „Jeżeli chcemy cokolwiek zmienić". Nie boi się pan scenariusza, że gdy pojawią się polityczne koszty oporu wobec ciągle rosnących żądań potężnych grup stojących za ideologią LGBT, obóz się cofnie?

Rozumiem, że przechodzimy w rozmowie ze sfery cywilizacyjnej na obszar polityki, gdzie każde działanie, podkreślam, że nie bierność, musi być roztropnie wyważone, podjęte w odpowiednim momencie, przy użyciu

eprasa.pl 4d5a6e53a5

właściwych metod. W polityce skuteczność jest ważnym kryterium i nie ma tutaj sporu.

Na świecie atakuje się Polskę kłamstwami na temat „stref wolnych od LGBT". Jak powinniśmy reagować?

Musimy mówić prawdę. Szkoda, że nie od początku podawano do sądu tych, w tym pana Bartosza Staszewskiego, którzy rozpowszechniają bezczelne kłamstwa na temat rzekomych stref. Te uchwały samorządów lokalnych są reakcją na Kartę LGBT+, którą podpisał w Warszawie Rafał Trzaskowski. Jemu wolno taką kartę promować, a innym – demokratycznie wybranym przedstawicielom mieszkańców – nie wolno się temu sprzeciwiać i stać po stronie art. 18 konstytucji? Nie wolno podkreślać wagi rodziny, którą chroni konstytucja? Nie ma zgody na taką dyskryminację. I na kłamstwa – bo w tych uchwałach nie ma słowa o żadnych strefach wolnych od osób innej orientacji seksualnej, od osób LGBT.

Z obozu III RP już lecą wobec pana obelgi. Przewodniczący SLD Włodzimierz Czarzasty nazywa pana „homofobicznym świrem". Jak w ogóle z takim sformułowaniami polemizować?

To, co robią panowie Czarzasty, Rozenek, Sikorski, jest wystawieniem przez nich świadectwa samym sobie. Debata polityczna nie polega przecież na rzucaniu obelg w kierunku kogokolwiek. Nie polega też na tym, żeby odstąpić od jakiejkolwiek argumentacji merytorycznej i posługiwania się epitetami. To jest przykre, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z politykiem, a więc osobą, która powinna roztropnie działać na rzecz dobra wspólnego. Nie ma tutaj ani dobra, ani roztropności. Sami się wykluczają z poważnej debaty i ja na tym poziomie rozmawiać nie zamierzam. Obiecuję za to, że będę się za nich modlił.

Jakie narzędzia do realizacji tego planu obrony przestrzegania prawa spodziewa się pan znaleźć w nowym Ministerstwie Edukacji i Nauki, obejmującym także szkolnictwo wyższe? Jakie plany?

Nie chciałbym jeszcze mówić o konkretach, bo nadal jeszcze nie zostałem powołany przez prezydenta. Ale mam silne przekonanie, że sojuszników wzmacniania polskiej edukacji mi nie zabraknie. Mamy świetne kadry nauczycielskie w Polsce, w wielu miejscach może uśpione. Na pewno musi zostać zdecydowanie wzmocniony etos zawodu nauczyciela, bo to są ludzie kluczowi dla wychowania naszych dzieci, a zatem i dla naszej przyszłości. Mamy prawo oświatowe, które nakazuje respektowanie wartości chrześcijańskich, mamy wojewodów, mamy doskonałych kuratorów, choćby lubelską panią kurator Teresę Misiuk, z którą współpracowałem blisko przez cztery lata jako wojewoda lubelski. Nie będę robił żadnej rewolucji, ideologicznej wojny. Ja będę bronił szkół i uczelni przed rewolucją i taką wojną. I do tego narzędzia w polskim porządku prawnym są. Trzeba tylko przestrzegać prawa – tego będę pilnował.

> Nie będę robił żadnej rewolucji, ideologicznej wojny. Ja będę bronił szkół i uczelni przed rewolucją i taką wojną. I do tego narzędzia w polskim porządku prawnym są. Trzeba tylko przestrzegać prawa – tego będę pilnował

Na uczelniach neomarksizm właściwie już rządzi. Można z tym coś zrobić?

W mojej ocenie na uczelniach dyskryminowani są dziś naukowcy i studenci, którzy mówią prawdę opartą na trzeźwej ocenie rzeczywistości, którzy kierują się wartościami chrześcijańskimi, którzy odwołują się do konstytucji. Sam tego doświadczyłem. W zbyt wielu miejscach poprawność polityczna zastąpiła zdrowy rozsądek. Będę też dążył do uwolnienia i wzmocnienia nauk humanistycznych, które zostały gdzieś przytłumione, także przez niedociągnięcia z naszej strony. To trzeba zmienić.

Trzy konkretne pytania: czy akcja w stylu tęczowego piątku może wchodzić do szkół podstawowych, czy przed wejściem do państwowej uczelni może wisieć tęczowa flaga, czy organizacje i grupy odwołujące się do komunizmu mogą swobodnie działać na uniwersytetach, a konserwatywne nie?

Też konkretnie: trzy razy nie. Bo to wszystko jest sprzeczne z polskim porządkiem prawnym. Odwoływanie się do komunizmu jest niezgodne z art. 13 konstytucji, tęczowe piątki z prawem oświatowym, wywieszanie tęczowych flag na murach państwowych uczelni również nie mieści się w granicach prawa. Uczelnie państwowe są finansowane z podatków wszystkich obywateli i muszą trzymać się reżimu prawnego.

I szybko dochodzimy do momentu, w którym trzeba zareagować prawnie. Wtedy właśnie do gry wchodzą media, politycy szacują ryzyko strat politycznych i następuje wycofanie.

To jest tak naprawdę pytanie, czy jesteśmy jeszcze w takim obszarze państwem prawa, czy już nie. Jeżeli pod presją mediów mamy się godzić na łamanie prawa, to i konstytucję możemy wyrzucić do kosza, i przepisy o szkołach, uczelniach.

Jednak pierwszym wyzwaniem będzie dla pana zapewnienie sprawnego funkcjonowania edukacji w trudnych warunkach epidemii. Jak pan ocenia to, jak szkoły poradziły sobie z wyzwaniem organizacji zajęć?

Jestem ogromnie wdzięczny panu ministrowi Dariuszowi Piontkowskiemu, kierownictwu ministerstwa, kuratorom, dyrektorom szkół i na-

Autopromocja

eprasa.pl 4d5a6e53a5

uczycielom, że stanęli na wysokości zadania. Procedury, odpowiednio elastyczne, sprawdziły się. Było wiele obaw, ale jak się na szczęście okazało, równie wiele niepotrzebnego pesymizmu. Nasze dzieci musiały wrócić do szkół, przerwa trwała już zbyt długo. Zrobię wszystko, by to kontynuować.

Na uczelniach większość zajęć ma być prowadzona zdalnie. Słusznie?

Rozumiem obawy, ale uważam, że powrót studentów byłby wskazany i jest wyczekiwany przez wszystkich. Ale o wszystkim zdecyduje sytuacja pandemiczna i uzgodnienia z ministrem zdrowia i rektorami.

Dziś media, które jeszcze niedawno straszyły nauczycieli wizją bezrobocia wskutek reformy edukacji, oskarżają Zjednoczoną Prawicę o doprowadzenie do sytuacji, w której nauczycieli brakuje. To byłoby zabawne, gdyby nie faktycznie malejąca na tle boomu gospodarczego atrakcyjność zawodu nauczyciela. Uważa pan, że operacja polegająca na zwiększeniu pensum nauczycielskiego przy radykalnym wzroście wynagrodzeń jest możliwa? Takie rozważania dochodziły z rządu jakiś czas temu.

Uważam, że dwa czynniki składają się na niższą niż kilkadziesiąt lat temu atrakcyjność pracy nauczyciela. Po pierwsze, spadek autorytetu, osłabienie etosu. I to jest zadanie dla ministra, ale i dla społeczeństwa. Po drugie, system pracy i płac, który domaga się pewnego przemyślenia. Za niską płacę trudno oczekiwać mobilizacji. Ale to nie jest jeszcze żaden projekt.

> Odwoływanie się do komunizmu jest niezgodne z art. 13 konstytucji, tęczowe piątki z prawem oświatowym, wywieszanie tęczowych flag na murach państwowych uczelni również nie mieści się w granicach prawa

Na koniec pytanie osobiste – wytrzyma pan presję, ataki, które wydają się nieuniknione? Nagonka już ruszyła.

Mogę zapewnić, że w tej sprawie będę nieugięty. Mamy prawo, jak to powiedział prezes Prawa i Sprawiedliwości w niedawnym wywiadzie dla tygodnika „Sieci", bronić wartości naszej cywilizacji, naszego narodu. I będziemy to robili. Prawda jest po naszej stronie.

GB

GALA
POLSKI KOMPAS
2020

NAGRODY GOSPODARCZE
MIESIĘCZNIKA „GAZETA BANKOWA"

Oglądaj LIVE
Wtorek godz. 19:15

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Wymazywanie Schetyny

Jedyną strategią Borysa Budki w PO jest zemsta na poprzednim przewodniczącym

STANISŁAW JANECKI

Gdy politycy Lewicy, np. Anna Maria Żukowska, narzekają, że z Borysem Budką nie sposób się porozumieć w żadnej sprawie, a w każdej można było z Grzegorzem Schetyną, dobrze to odzwierciedla rzeczywistość Platformy Obywatelskiej pod nowym przywództwem. Politycy Lewicy nie kryją przy tym, że politycznym formatem Budka i jego cień w klubie parlamentarnym Cezary Tomczyk, nie dorastają Schetynie do pięt. I gorzej nie mogą się byłemu przewodniczącemu PO przysłużyć. Każda pochwała Schetyny jest bowiem przez Budkę i jego zwolenników odbierana jako śmiertelna wręcz zniewaga. Z prostego powodu – budują swoją pozycję w kontrze do przywództwa Schetyny, a jedynym widocznym obecnie programem grupy Budki jest deschetynizacja Platformy. Nie tylko przedstawienie Schetyny jako lidera nieudolnego i odpowiedzialnego za serię wyborczych porażek, lecz wręcz wytarcie czy wymazanie wszelkich pozytywnych śladów po poprzednim przewodniczącym.

Zwolennicy Schetyny w PO żartują, że to nie jest jeszcze przypadek usunięcia w 1939 r. szefa NKWD Nikołaja Jeżowa z fotografii zrobionej w 1937 r., gdy razem z Józefem Stalinem idą brzegiem zbudowanego właśnie kanału Moskwa–Wołga, ale jest blisko. Nowe w PO ma być wolne od Schetyny i jego złogów. Tym bardziej wolne, im bardziej widać różnicę politycznego formatu między obecnym a poprzednim szefem partii. I im częściej ktoś, jak Anna Maria Żukowska, będzie tęsknił za Schetyną, tym gorzej dla byłego marszałka Sejmu, wicepremiera, szefa MSZ oraz MSWiA.

Fot. Andrzej Wiktor

AGENT SCHETYNA

W nowej grupie kierowniczej PO pod przywództwem Borysa Budki – z Cezarym Tomczykiem, Rafałem Trzaskowskim, Marcinem Kierwińskim, Bartoszem Arłukowiczem, Sławomirem Nitrasem czy Łukaszem Pawełkiem – uznano, że za wszystkie problemy partii w ostatnich latach musi być winny ktoś konkretny i najlepiej do tej roli nadaje się poprzedni przewodniczący Grzegorz Schetyna. Choć wszyscy poplecznicy Budki z ochotą uczestniczyli w strategii bycia opozycją totalną, wręcz popychali do niej niezdecydowanego Schetynę, teraz to on jest twarzą totalnej strategii i jedynym odpowiedzialnym za porażki z tej strategii wynikające. Skoro totalna opozycja się nie sprawdziła, dotyczy to także jej lidera. Schetyna i jego koledzy mający całkiem niezłą orientację w historii, w przeciwieństwie do Budki i jego otoczenia – przez „starych" uznawanych za troglodytów, gdy chodzi o wiedzę o przeszłości, analogie i tym razem widzą w Moskwie. Porównują to, co robi Budka, do sytuacji w sowieckiej partii komunistycznej po śmierci Stalina, gdy przez dwa lata państwem kierował Grieorgij Malenkow przedstawiający się jako prześladowany przez Stalina, choć de facto był jego prawą ręką. Tak samo na ofiarę Schetyny kreuje się Budka, wiceprzewodniczący PO od 26 lutego 2016 r.

Zajadłość w zwalczaniu Schetyny jest tak wielka, że zarzuty formułowane wobec niego niebezpiecznie zbliżają się już do zdrady i agentury. Najnowsza taktyka polega na tym, że byłego marszałka Sejmu i wicepremiera oskarża się o to, że

eprasa.pl 4d5a6e53a5

w gruncie rzeczy zawsze był gotów dogadać się z Jarosławem Kaczyńskim, gdyby tylko nadarzyła się taka okazja. W zasadzie był więc w PO ukrytą opcją pisowską, mimo że firmował strategię opozycji totalnej. A udawał niezłomnego tylko dlatego, że nie było potrzeby dogadania się, skoro PiS miało w Sejmie niezagrożoną samodzielną większość. Ale przecież Schetyna zawsze miał dobre kontakty z wieloletnim wiceprezesem PiS Adamem Lipińskim, i nie tylko z nim. Wyciąga się nawet Schetynie to, że jako marszałka Sejmu i ministra spraw zagranicznych chwalił go sam Jarosław Kaczyński, szczególnie na tle Ewy Kopacz, Bronisława Komorowskiego czy Radosława Sikorskiego.

Główny zarzut ekipy Budki jest więc taki, że Schetyna właściwie nie chciał wygrywać z PiS wyborów, tylko być liderem opozycji. Na szczęście młodsi liderzy PO, z Budką, Tomczykiem i Nitrasem na czele, te knowania przejrzeli, doprowadzili do zmiany kierownictwa partii, a teraz nadszedł czas rozliczeń. Koledzy Schetyny mówią, że znowu w sowieckim stylu, czyli tak jak Stalin rozliczał się z Lwem Kamieniewem, Grigorijem Zinowjewem, Lwem Trockim, Aleksiejem Rykowem czy Nikołajem Bucharinem. I ubolewają, że ludzie Budki nawet nie wiedzą, o kim mowa, bo robiliby deschetynizację inteligentniej, a nie na rympał.

RZĄDY SŁABYCH

Budka jako nowy przewodniczący PO ma wprawdzie najmniejsze własne zaplecze w historii tej partii, ale skoro udało mu się wmówić członkom rady krajowej partii, że musi ona mieć „młodego" szefa, to od wyborów parlamentarnych w październiku 2019 r. wygrywa, mimo że nie proponuje nic poza ogólnikami i deschetynizacją. I słabemu Budce udało się dość łatwo przeforsować Tomczyka na szefa klubu parlamentarnego, gdyż rywali, nawet Urszulę Augustyn, przedstawiono jako ludzi Schetyny, których trzeba wyciąć, żeby uniemożliwić mu knucie i rozwalanie partii za ich pośrednictwem. Mimo że Augustyn o żadnym knuciu nawet nie pomyślała. I nigdy nie należała do zaufanych Schetyny. Poprzedni przewodniczący PO znalazł się w takiej sytuacji jak Ryszard Petru w Nowoczesnej, gdy przeciwko niemu zbuntowało się najbliższe otoczenie, z Katarzyną Lubnauer na czele. Budka odgrywa podobną rolę jak Lubnauer. Tyle że od tej zmiany zaczął się upadek Nowoczesnej. Platformie na razie upadek nie grozi, choć Budka jest nawet bardziej nijaki niż Lubnauer była w Nowoczesnej. Przez ludzi Schetyny jest porównywany z obecnym szefem Nowoczesnej – Adamem Szłapką, który tak funkcjonuje, jakby go w ogóle nie było.

Budka kurczowo trzyma się Trzaskowskiego, uznając go za swój najcenniejszy zasób kadrowy, choć prezydent Warszawy może go porzucić w każdej chwili, jeśli tylko będzie taka potrzeba. Trzaskowski nie uważa się zresztą za człowieka Budki, lecz za kogoś bez porównania wyżej w opozycyjnej hierarchii. Sam Trzaskowski nie chce być szefem partii, ale nie chce być też przegranym, tym bardziej w obliczu kolejnych „sukcesów" w Warszawie, więc przyłączył się do pomysłu deschetynizacji PO. Wygodnie jest bowiem uznać poprzedniego szefa partii za sprawcę całego zła, w tym przegraną Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich, choć i Budka, i prezydent Warszawy byli wtedy zastępcami Schetyny. Powstał doraźny układ Budka–Trzaskowski–Tomczyk, który z braku lepszych liderów przejął władzę w partii, ale nie bardzo wie, co robić poza deschetynizacją, czyli szukaniem winnych poza własnym gronem.

> Zajadłość w zwalczaniu Schetyny jest tak wielka, że zarzuty formułowane wobec niego niebezpiecznie zbliżają się już do zdrady i agentury

Zwolennicy Schetyny ironizują, że Budka dlatego nie ma własnych poglądów w żadnej ważnej sprawie (w nieważnej zresztą też), gdyż nie wie, jakie powinien mieć. Pod tym względem przypomina Kopacz w charakterze p.o. przewodniczącej partii. Ona miała nad Budką tę przewagę, że bywała emocjonalna, obecny zaś szef PO jest z jakiejkolwiek emocji wyprany, więc postrzegany bardziej jako komiwojażer czy obwoźny sprzedawca odkurzaczy, a nie lider największej partii opozycyjnej. Brak stylu, poglądów i emocji sprawia, że nawet zwolennicy Budki w radzie krajowej nie wiedzą, jaki program obecne kierownictwo realizuje i do czego zmierza. Gdy poprosić ich o choćby trzy punkty aktualnego programu PO albo trzy najważniejsze elementy strategii Budki, wzruszają ramionami i mówią, że program jest właśnie opracowywany (ten poprzedni wciąż „wisi" na stronie i powinien być obowiązujący). O deschetynizacji nie chcą mówić, choć nie wierzą, że poprzedni przewodniczący będzie tylko biernie obserwował wymazywanie go na sposób wymazywania Jeżowa przez Stalina.

POKOLENIE NIJAKICH

Obecna trójka kierownicza PO, czyli Budka, Trzaskowski i Tomczyk, wprawdzie wyraźnie odbiega od przywództwa partii w czasach Donalda Tuska i Grzegorza Schetyny, lecz nie od „nowej zmiany" w innych partiach opozycyjnych. Są równie słabi, gdy chodzi o przywództwo, jak Robert Biedroń, Ryszard Petru, Władysław Kosiniak-Kamysz czy najnowszy wynalazek, czyli Szymon Hołownia. Ci, którzy mieliby być nową jakością w polskiej polityce, okazują się dużo gorsi niż ci, których zmienili. Ale coś się musi zmieniać, skoro nie ma sukcesów w wyborach, a porażki trzeba jakoś uzasadnić. W PO oryginalny jest tylko plan zdyskredytowania i wymazania poprzedniego lidera. Ale to zapewne dlatego, że Biedroń, Hołownia i Petru nie mieli poprzedników, w PSL zaś dawnych liderów się politycznie nie rozstrzeliwuje. Budka poniekąd musi udawać siepacza, żeby zaczęto go traktować poważnie. Ale plan deschetynizacji nie wygląda na udawany, tym bardziej że może się okazać jedynym sukcesem przywództwa Budki.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Miasto Trzaskowskiego

Rafał Trzaskowski jest wzorowym wręcz wychowankiem Donalda Tuska. Można być niemal pewnym, że gdyby kiedykolwiek przyszło mu sięgnąć po wymarzoną władzę w kraju, pozostawiłby państwo w podobnych tarapatach

KONRAD KOŁODZIEJSKI

W połowie września pojawiło się w internecie nagranie wykonane z ukrycia, na którym prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski podczas imprezy w klubie nad Wisłą negocjuje z didżejką zmianę muzyki. „Puść odrobinę funku" – namawia wyraźnie rozluźniony prezydent, choć zastrzega koncyliacyjnie, że dotychczasowa „muza jest zajebista". Mimo tych pojednawczych słów didżejka nie chce się zgodzić, więc po krótkiej wymianie zdań Trzaskowski sięga po inny argument: „To moje miasto. Weźcie to troszeczkę pod uwagę". Ostatecznie prezydent – jak wynika z nagrania – nie jest w stanie przekonać obsługi do swoich gustów muzycznych i odchodzi z kwitkiem.

Nagranie to – podrzucone mediom, jak twierdzą złośliwi, przez przeciwników Trzaskowskiego w jego własnej partii – doczekało się mnóstwa komentarzy w internecie. Bo rzeczywiście dobrze charakteryzowało styl obecnej prezydentury Warszawy. Działacz miejski Jan Śpiewak zauważył, że Trzaskowski wykorzystuje swój autorytet do „walki z muzyką na imprezie", bo zwyczajnie brakuje mu go przy rozwiązywaniu poważniejszych problemów, takich choćby jak gwałtownie rosnące koszty życia w stolicy. Oczywiście zarejestrowany z ukrycia „występ" Trzaskowskiego nie jest żadną wielką aferą, jest jednak dość kompromitujący, bo potwierdza wcześniejsze obawy co do prezydenta stolicy. Trzaskowski jawi się w nich jako osoba z nadzwyczajnym mniemaniem o sobie i równie dużymi ambicjami politycznymi. Jednocześnie jest to człowiek oderwany od rzeczywistości, który bardzo nie lubi,

eprasa.pl 4d5a6e53a5

gdy coś lub ktoś psuje mu dobre samopoczucie. Rola urzędnika miejskiego – nawet wysokiego rangą – irytuje go i nuży, bo jego aspiracje sięgają najwyższych stanowisk państwowych. One – jak można sądzić – mu się po prostu należą, a każda inna sytuacja jest wołającą o pomstę do nieba niesprawiedliwością.

OBIETNICE BEZ POKRYCIA

Od samego początku prezydentura Warszawy była dla Trzaskowskiego jedynie wstępem do walki o prezydenturę kraju. Traktował ją jako funkcję przejściową. Krótki epizod z Małgorzatą Kidawą-Błońską nieco skomplikował te rachuby, ale ostatecznie to Trzaskowski wystartował w tegorocznych wyborach prezydenckich. Dlatego nigdy nie traktował poważnie swojego urzędowania w stolicy ani złożonych mieszkańcom obietnic. A było ich sporo, m.in. nowe linie metra i tramwajów, obiekty sportowe, dopłaty do zajęć dodatkowych w szkołach, ekstradyżury lekarzy w przychodniach dzielnicowych, zasadzenie miliona drzew w mieście, wymiana kopcących pieców, inwestycje w sieć ciepłowniczą, stypendia dla wybitnych nauczycieli, nowa obwodnica.

Dziś, po dwóch latach od chwili gdy Trzaskowski zasiadł w stołecznym ratuszu, widać, że zapewne nic z tego nie zostanie zrealizowane.

Trzaskowski tłumaczy obecną stagnację inwestycyjną koniecznością ostrych cięć. Oberwą kierowcy, których czeka podwyżka opłat za parkowanie i większe korki, zwłaszcza na tradycyjnie już mocno niedoinwestowanej Pradze. Opóźni się bowiem jeszcze bardziej wiecznie opóźniona budowa wewnętrznej obwodnicy miasta i przedłużenie Trasy Świętokrzyskiej.

Można byłoby to jeszcze zrozumieć, gdyby w zamian szły ułatwienia dla transportu publicznego, ale gdzież tam. Nie będzie na razie tramwaju na Gocław i drugiej linii na Tarchomin, a zapowiadana szumnie trasa z Dworca Zachodniego i Woli na Wilanów powstanie – o ile w ogóle do tego dojdzie – jedynie we fragmentach, nie tworząc spójnej siatki, co stawia pod znakiem zapytania sens takiego przedsięwzięcia. Nie jest też jasne, co się stanie z zakupionymi już do obsługi tych połączeń tramwajami z koreańskiej firmy Hyundai, za które Warszawa zapłaciła blisko 2 mld zł, odrzucając w przetargu ofertę polskiej Pesy. Pierwsze ze 150 tramwajów mają dotrzeć już na wiosnę przyszłego roku, przy czym nie zbudowano dla nich nie tylko torów, lecz także zajezdni. Dokupiono też 130 autobusów elektrycznych (najwięcej w Polsce) za blisko 400 mln zł, zapomniano jednak o postawieniu dla nich wystarczającej liczby ładowarek, przetargi się ślimaczą. Warto tu dodać, że wiele z tych inwestycji zostało sfinansowanych ze środków unijnych i muszą być rozliczone w terminie. A to staje się coraz mniej realne. Wielkie pieniądze mogą więc zostać zmarnowane.

Zresztą nie chodzi tylko o transport. Z budżetu wypadły również inne plany, m.in. budowa Sinfonii Varsovii oraz kładki pieszej przez Wisłę. O odbudowie zrujnowanego stadionu warszawskiej Skry nie ma nawet sensu wspominać, być może pieniądze na ten cel wygospodaruje rząd, który dostrzegł tragiczną degradację kompleksu, a premier Morawiecki nazwał go „symbolem nieudolności" Trzaskowskiego. Nie będzie też oczywiście słynnej „hali koncertowej", która była – jak może niektórzy jeszcze pamiętają – głównym punktem programu wyborczego Trzaskowskiego na początku jego kampanii warszawskiej w 2018 r.

Na razie miasto nie wycofuje się jedynie z budowy metra, bo byłoby to zbyt spektakularną porażką. Mówi się jedynie o opóźnieniu dokończenia drugiej linii, a o trzeciej dyskretnie już się nie wspomina.

LEKKĄ RĘKĄ

Prezydent stolicy tłumaczy zapaść miasta trudną sytuacją budżetową i o wszystkie kłopoty finansowe oskarża rząd. W swoim wystąpieniu wideo adresowanym do mieszkańców wyjaśnia, że wraz z kryzysem spowodowanym pandemią spadły dochody, a trudną sytuację stolicy pogłębiają „nietrafione decyzje rządu", przez które samorządy mają coraz mniej przychodów z podatków PIT i CIT. „Rząd wprowadza np. podwyżki dla nauczycieli, nie przekazując samorządom pieniędzy na ich finansowanie, lub doprowadza do wzrostu cen za energię, co znacznie podwyższa koszty funkcjonowania np. komunikacji miejskiej" – twierdzi Trzaskowski.

Rząd odrzuca te tłumaczenia, a politycy PiS odpowiadają, że Trzaskowski, który stoi na czele najbogatszego miasta w Polsce, po prostu nie potrafi zarządzać pieniędzmi, bo najwyraźniej przejadł całą nadwyżkę budżetową z poprzednich lat, gdy dochody stolicy były bardzo wysokie. Stołeczny radny PiS Filip Frąckowiak uważa, że jedną z głównych przyczyn zapaści miasta są wysokie koszty związane z kolejną już awarią oczyszczalni Czajka – fatalnej i arcydrogiej inwestycji sprzed lat. Miasto musi zbudować teraz zupełnie nowy system przesyłu ścieków pod Wisłą (w dodatku, zdaniem niektórych ekspertów, jest on budowany na gwałt i ma zbyt małą przepustowość), a ponadto musi się jeszcze liczyć z wysokimi karami unijnymi za zatrucie środowiska.

Miasto wydaje też lekką ręką pieniądze na zupełnie absurdalne projekty. Jak wynika z rezultatów głosowania nad pomysłami zgłoszonymi do tegorocznego budżetu obywatelskiego, miejskie środki pójdą m.in. na budowę „666 ławek" (skądinąd ciekawe, skąd ta liczba?), które w istocie nie będą ławkami, lecz rodzajem podpórki dla stojącej osoby. Postawienie tych mało funkcjonalnych bubli ma kosztować 2,1 mln zł (według wyliczeń „Rzeczpospolitej" za jedną podpórkę miasto zapłaci 3 tys. zł, podczas gdy zwykła ławka z siedziskiem i podłokietnikiem to koszt 1,2 tys. zł). Innym projektem jest budowa „hoteli dla owadów" w żoliborskich parkach i skwerach. „Hoteli" ma być dziesięć, każdy po 5 tys. zł.

Wśród innych zwycięskich projektów znalazły się sensowne (np. projekty zadrzewień czy kupna defibrylatorów), ale są też takie, które sprawiają wrażenie grantów dla ich pomysłodawców. Co można bowiem pomyśleć o projekcie sprzątania lasu, w którym chodzi nie tyle o sprzątanie, ile o „spotkania edukacyjne", gdzie koszt materiałów promocyjnych ma wynieść aż 75 proc. budżetu? Podobnie jest i w kilku innych projektach, np. w przypadku kina plenerowego: 14 seansów dla 50 widzów za – bagatela – 95 tys. zł. Dla porównania, jak podaje „Rz", koszt takiej samej liczby seansów dla 800 widzów w multipleksie to nieco ponad 20 tys. zł.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4d5a6e53a5

ZAPŁACICIE, KOCHANI

Za te fanaberie też trzeba będzie zapłacić. Nie są to wielkie pieniądze (0,5 proc. wydatków miasta z ostatniego sprawozdania finansowego), ale zwycięskie projekty dobrze ilustrują dość swawolne zarządzanie skąpymi środkami. Zadłużenie Warszawy ma wzrosnąć do 9 mld zł, a Trzaskowski podkreśla, że w ciągu następnych trzech lat dochody stolicy skurczą się aż o 2,7 mld zł. Ktoś więc tę dziurę będzie musiał załatać. Wiadomo kto – każdy mieszkaniec miasta.

Najbardziej drastyczne podwyżki obejmą i tak już horrendalnie drogi wywóz śmieci. Warszawiaków czeka również podwyżka cen biletów, przy czym z powodu sprzeciwu stołecznych radnych – również z PO, którzy dobrze pamiętają, że podobne plany omal nie wysadziły ongiś ze stanowiska Gronkiewicz-Waltz, podwyżki zostaną prawdopodobnie ukryte w postaci zmiany taryf. Co to oznacza? Ano to, że formalnie ceny biletów się nie zmienią, ale zmieni się okres ich ważności – przykładowo 20-minutowy bilet za 3,40 będzie obowiązywał tylko 10 minut, a 75-minutowy za 4,40, przez 40 minut albo krócej. W ten sposób jeden z najbardziej funkcjonalnych systemów taryfowych w Polsce, jaki dotąd miała Warszawa, pójdzie zapewne do piachu.

Podobne manewry szykowane są także wobec kierowców mieszkających w strefie płatnego parkowania. Teraz będą musieli się liczyć z tym, że ważność ich abonamentów będzie obowiązywać wyłącznie wokół ich domu i jeśli po powrocie nie znajdą tam miejsca – a w Warszawie, podobnie jak w innych miastach to norma – będą musieli płacić ekstra.

Władze stolicy zapowiadają też sprzedaż działek miejskich. Można mieć nadzieję, że tym razem nie będzie to sprzedaż „wraz z mieszkańcami". Choć ta nadzieja jest płonna.

Trzaskowski w odpowiedzi uderza w melancholijną nutę. W swoim wystąpieniu rozpoczynającym się tradycyjnie od dość infantylnego zwrotu „kochani" mówi: „Może usłyszeliście o tym, czytając o możliwej podwyżce opłat za parkowanie, a może dotarła do was wiadomość o tym, że opóźni się budowa obwodnicy Śródmieścia czy uruchomienie części trasy tramwaju na Wilanów? Uwierzcie mi. Nigdy w życiu nie zdecydowałbym się na tego typu decyzje, gdybym mógł ich uniknąć".

MISTRZ POZORÓW

Trzaskowski jest trochę jak Donald Tusk, robi wokół siebie sporo hałasu, wykonuje mnóstwo działań pozornych, które mają świadczyć o tym, jak bardzo jest zaangażowany. Jednak w rzeczywistości to tylko piarowska zagrywka. Zamiast zająć się rozwiązywaniem problemów miasta i jego mieszkańców – bo to jest podstawowe zadanie władz samorządowych – widzi się w roli ogólnokrajowego polityka i dlatego woli raczej mieszać w kipiącym kotle z ideologicznymi nowinkami, ponieważ przynosi mu to krótkotrwałą sławę „obrońcy mniejszości". Krótkotrwałą, bo – na szczęście dla konserwatywnej prawicy i zarazem na nieszczęście dla radykalnej lewicy – nie jest w tym wcale konsekwentny i najwyraźniej nie traktuje niczego do końca poważnie.

> Na razie miasto nie wycofuje się jedynie z budowy metra, bo byłoby to zbyt spektakularną porażką. Mówi się jedynie o opóźnieniu dokończenia drugiej linii, a o trzeciej dyskretnie się nie wspomina

Trzeba bowiem pamiętać, że – wbrew opiniom dość popularnym na prawicy – Trzaskowski nie jest wcale lewicowym progresywistą, który wiedziony ideologicznymi fobiami zamierza postawić dotychczasowy świat na głowie. Postulaty radykalnej lewicy traktuje instrumentalnie, jeżeli pomogą mu w osiągnięciu celu, jakim dzisiaj jest zbudowanie wokół siebie szerokiego obozu politycznego, to będzie po nie sięgał, a jeżeli nie – to da sobie spokój.

Zresztą jego dotychczasowe pomysły, takie jak np. reklamująca ekologię październiowa strefa relaksu na jednym z najbardziej zasmrodzonych spalinami placów miasta czy promujący LGBT „tramwaj różnorodności" (od razu się zepsuł), szybko stały się obiektem powszechnych drwin i raczej nie przysłużyły się dobrze postulatom, które miały propagować. Również inne koncepcje – takie jak nauka edukacji seksualnej w szkołach czy wdrażanie deklaracji LGBT+ – idą bardzo opornie, a powołani do władz miasta działacze radykalnej lewicy, tacy jak np. Agata Diduszko (szerzej znana jako żona Wojciecha Diduszki, który w grudniu 2016 r. „zmartwychwstał" na jezdni przed Sejmem, udając wcześniej ofiarę represji reżimu), nie rządzą jeszcze Warszawą.

Oczywiście zawsze może się to zmienić, jeśli z jakichś kalkulacji wyjdzie Trzaskowskiemu, że rozgrzanie sporu ideologicznego może mu przynieść duże zyski polityczne.

W tej chwili Trzaskowski chętniej gra na starej nucie antypisowskiej, bo wie, że w ten sposób najłatwiej jest mu sterować emocjami ponad połowy mieszkańców stolicy, którzy oddali na niego swój głos. Temu służył celowo podgrzewany konflikt wokół komunistycznych nazw ulic w Warszawie, który ciągnie się zresztą do dziś wokół niezrealizowanej obietnicy uhonorowania Lecha Kaczyńskiego. Temu też służy teraz mobilizowanie własnego elektoratu wokół tematu pandemii i wywołanego przez nią kryzysu.

Trzaskowski przekonuje, że rząd jest nieudolny i próbuje wytłumaczyć tym obecną zapaść Warszawy. Przy czym nie ma w nim żadnej wrażliwości społecznej i gotów jest zrzucać koszty swoich rządów na mieszkańców, co uderzy najbardziej w najsłabszych, których głosu w Warszawie w ogóle dziś nie słychać. Słychać za to głos tych, którzy dziś „trzęsą" miastem i uważają, że należy ono do nich. W tym sensie obecny prezydent jest wzorowym wręcz wychowankiem Tuska. Można być niemal pewnym, że gdyby kiedykolwiek przyszło mu sięgnąć po wymarzoną władzę w kraju, pozostawiłby państwo w podobnych tarapatach.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Czas na Smoleńsk

Zarówno Prokuraturze Krajowej, jak i podkomisji MON kończy się okres wymówek. Skoro wielobój wyborczy minął, trzeba na poważnie wrócić do śledztwa, które choć wciąż nazywane najważniejszym w Polsce, po ponad 10 latach nie jest w stanie udzielić jasnej odpowiedzi na pytanie, co tam się stało. Zdajemy sobie sprawę, jak delikatny jest to temat, ale niezależnie od kontekstów, które rozumiemy, pilnowanie tej sprawy uważamy za nasz osobisty obowiązek

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Czy tego chcemy, czy nie sprawa wyjaśniania katastrofy smoleńskiej jest niezwykle uwikłana w politykę, jest wręcz jej zakładniczką. Przez lata wielu pracowało nad tym, by ludzie mieli tej tragedii dość, by na samo hasło „Smoleńsk" odwracali głowę. Bo jest zbyt wiele wersji i szczegółów, których nie rozumieją. Bo wystarczy, że nie wykluczają wybuchu na pokładzie tupolewa, a natychmiast obwołuje się ich „oszołomami", a jeśli wątpią w rosyjską wersję zdarzeń, stają się członkami „smoleńskiej sekty". Tak oszukańczo rozchwiane emocje powodowały, że w ostatnich latach w następujących po sobie kampaniach

Fot. REUTERS / Sergei Karpukhin

eprasa.pl 4d5a6e5

wyborczych temat znikał. U osób, które w katastrofie straciły najbliższych, powodowało to narastanie wewnętrznego buntu. Mimo to rodziny smoleńskie – rozumiejąc kalendarz polityczny i wierząc, że tylko z obozem dobrej zmiany można wiązać jakiekolwiek nadzieje na wyjaśnienie katastrofy – wyjątkowo dzielnie szły przez ten czas, głośnych skarg nie było.

ŻAL RODZIN

– Mamy poczucie, że ci, którzy zginęli, mają tylko nas. Bo tylko nas to jeszcze obchodzi – mówi z ogromną goryczą w głosie Magdalena Merta, wdowa po Tomaszu Mercie, wiceministrze kultury i dziedzictwa narodowego. Ten dotkliwy żal bije z każdej z rozmów, które przeprowadziliśmy. – Wydawało mi się, że po 2015 r. to najważniejsze przecież śledztwo w Polsce ruszy do przodu – mówi Dorota Skrzypek, wdowa po Sławomirze Skrzypku, prezesie NBP. – Dzisiaj jestem rozczarowana zarówno tempem, jak i brakiem postępów w dochodzeniu, a nade wszystko brakiem kontaktu z prokuraturą. Przykro to powiedzieć, ale nie pokładam w tych działaniach już wielkich nadziei – dodaje.

– Gdyby to była tylko sprawa moja i mojej rodziny, to nie liczyłabym na jakiekolwiek efekty, ale skoro to jest sprawa blisko setki rodzin, w tym prezydenta, to spodziewałabym się, że prokuratura zrobi wszystko, co jest możliwe. Nie wiem, z czego wynikają ten paraliż i ta niemoc – rozkłada ręce Małgorzata Wassermann, córka Zbigniewa Wassermanna, byłego koordynatora specsłużb.

Janusz Walentynowicz, syn legendy Solidarności Anny Walentynowicz, mówi nam, że wydawało mu się, iż przestój w sprawie ma podłoże polityczne, że w czasie wyborów prokuratorzy sami siebie mogli nieco wstrzymywać: – Wiadomo, jak mogli myśleć: jak będę działał, po czyjej stronie się opowiem, kto wygra, czy nie będę miał przez to kłopotów. Skończyły się wybory i nic. Bo zaraz były następne. I znowu dylemat, czy działać bardziej zdecydowanie, czy dać sobie na przeczekanie, zobaczyć, kto będzie u sterów państwa. Ale kolejne wybory się zakończyły i nadal nic – podsumowuje.

Wśród rodzin poczucie bezsilności miesza się z gniewem. To ekipa dobrej zmiany obiecała im w 2015 r., że przyczyny tragedii wyjaśni i wciąż wiedzą, że tylko w tej konfiguracji politycznej jakikolwiek postęp będzie możliwy. Bliscy zmarłych są niezmiernie wdzięczni np. za odważną decyzję prokuratorów o ekshumacjach, dzięki którym wiemy o skandalicznych zaniedbaniach i pomyłkach w składaniu ich najbliższych do trumien.

Nie wszyscy jednak rozumieją żółwie tempo, a przede wszystkim, dlaczego w badaniach podkomisji MON nie pojawiają się już jakieś konkluzje, choć wielokrotnie im je zapowiadano.

> Skoro to jest sprawa blisko setki rodzin, w tym prezydenta, to spodziewałabym się, że prokuratura zrobi wszystko, co jest możliwe. Nie wiem, z czego wynikają ten paraliż i ta niemoc – mówi Małgorzata Wassermann

– Ja wiem, co się stało w Smoleńsku, ale na dziś możemy sobie o tym tylko porozmawiać towarzysko, a nie można nikogo o nic oskarżyć. By było to możliwe, trzeba zacząć od przygotowania w końcu solidnego, całościowego, a nie cząstkowego raportu. Niepodważalnego, niepozostawiającego wątpliwości zapisu tego, co tam się stało. Nie rozumiem, dlaczego podkomisja nie jest w stanie w końcu takiego dokumentu przygotować – irytuje się Ewa Kochanowska, wdowa po Januszu Kochanowskim, rzeczniku praw obywatelskich.

Osoby, z którymi rozmawiamy, narzekają przede wszystkim na brak informacji ze strony obydwu oficjalnych ciał, które się tym zajmują. Zarówno tego kierowanego przez Antoniego Macierewicza, jak i Prokuratury Krajowej, w ramach której działa Zespół Śledczy nr 1. Rodziny zauważają, że z podkomisji działającej przy MON nie dostają kompletnie żadnych informacji, natomiast prokuratorzy ograniczają się do lakonicznych postanowień wysyłanych e-mailem. Ostatnie spotkanie ze śledczymi odbyło się jeszcze przed pandemią, ale nikt tych dwóch godzin nie wspomina miło. Konkretów było mało, emocji sporo, skończyło się kłótnią.

Jest też wiele osób, które proszą o anonimowość, bo nie chcą, by ich słowa były wykorzystane politycznie. A mówią dużo bardziej dosadnie, często używają niecenzuralnych słów. – Inaczej by to wyglądało, gdyby była decyzja z góry: to jest najważniejsze śledztwo, wszystko, k..., ma iść na bok. Jak można czekać wiele miesięcy na jakiś instytut w Krakowie, a potem kolejne miesiące na następne badania – mówi nam jedna z wdów.

Posłowie PiS, z którymi rozmawiamy, mówią wprost, że „w obozie politycznym już się o Smoleńsku prawie nie rozmawia". – Wspominamy tych, którzy zginęli. Upamiętniamy ich pomnikami, tablicami. A samo śledztwo... no, rzadko się pojawia w tych rozmowach.

UBEZWŁASNOWOLNIENI

Co ciekawe, ostrym słowom rodzin nie dziwią się prokuratorzy prowadzący śledztwa smoleńskie.

– My bardzo chcemy, sporo robimy, ale nie możemy niczego ogłosić. Może się zdziwicie, ale mamy... zakaz komunikacji i zakaz spotykania się z rodzinami. Nie rozumiemy tego. Powinno być tak, że gdy przychodzą jakieś wyniki badań, informujemy media, robimy konferencję, zapraszamy rodziny, mówimy, jak jest. Co to za tajemnice? Rodziny słusznie nam to zarzucają. Ale niestety jesteśmy ubezwłasnowolnieni. My jako szeregowi prokuratorzy nie możemy podjąć żadnej decyzji bez zgody szefa. A nasz szef nie może podjąć żadnej decyzji bez zgody z góry. To jest chora sytuacja, która zabiera nam wiele możliwości – mówi jeden ze śledczych.

Przykład? Niedawny wniosek o areszt dla rosyjskich kontrolerów. Był gotowy od wielu miesięcy, ale brakowało zgody „z góry" na ruch, który może wywołać jakieś napięcia międzynarodowe. – Ci

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Fot. Piotr Blawicki / East News

ludzie mają tak poważne zarzuty – sprowadzenia katastrofy, w której zginął nasz prezydent – że trzeba wydać listy gończe i ich aresztować, zanim okaże się np., że przez nikogo nieniepokojeni przyjechali do Polski na zakupy – skarży się śledczy.

Posiedzenie sądu, który odniesie się do wniosku o areszt, zaplanowano na... styczeń.

– Mamy piramidalne problemy z Rosjanami. Przed rokiem przestali nam odpowiadać na jakiekolwiek pisma. W tym czasie wysłaliśmy duży podsumowujący wniosek o pomoc prawną, dwa dotyczące zwrotu samolotu i kolejny o zgodę na wyjazd biegłych do Smoleńska i wykonanie na miejscu czynności. Próbowaliśmy też żądać zwrotu rejestratorów, a jeśli to niemożliwe – ich wypożyczenia. Kompletny brak reakcji – relacjonują nasi rozmówcy, jak wygląda „współpraca" z Rosjanami.

Prokuratorzy chcieliby to nagłośnić. Twardo powiedzieć, że Rosja torpeduje śledztwo i łamie prawo międzynarodowe. Brak zgody. Śledczym doskwiera też brak jakiegokolwiek wsparcia ze strony MSZ. – Oni nas pytają o stanowisko prawne, jak odzyskać wrak. Ale to nie my od tego jesteśmy! Jeżeli Rosja nie realizuje postanowień konwencji, dlaczego tego nie podnosimy? Dlaczego nie skarżymy się do organizacji europejskich? Taka jest rola resortu dyplomacji. Z Waszczykowskim jeszcze jakoś się współpracowało. Zależało mu na tej sprawie, interesował się, próbował korzystać z narzędzi, jakie miał. Po nim zapadła cisza – mówi jeden z prokuratorów. Kolejny dopowiada: – Nie raczyli nas poinformować, jakie były wyniki rozmów z mediatorem z Austrii. A teraz nawet nie wiemy, kto się tą sprawą zajmuje w gmachu przy al. Szucha. Chodzi o spotkanie z byłym prezydentem Austrii Heinzem Fischerem, którego Rada Europy wyznaczyła do mediacji z Rosją w sprawie zwrotu wraku. Był to efekt rezolucji przyjętej w 2018 r. wzywającej Moskwę do oddania naszej własności. Fischer po wizycie w Warszawie miał jechać do Moskwy. Czy tak się stało i jakie były tego efekty? Nie wiadomo.

W wątku działań międzynarodowych śledczy zwracają uwagę na jeszcze jedną aktywność, jakiej mogłoby się podjąć państwo polskie – wynająć prawników reprezentujących rodziny ofiar, które w rosyjskim śledztwie mają status pokrzywdzonych. W ten sposób uzyskano by wgląd w akta sprawy postępowania Komitetu Śledczego, który od lat się zarzeka, że prowadzi drobiazgowe śledztwo i z tego powodu odmawia oddania szczątków samolotu oraz czarnych skrzynek. Podpowiadają też, że MON mogłoby znaleźć kancelarię, która wystąpiłaby do Rosjan z pozwem o zwrot swojego mienia.

CO NOWEGO W ŚLEDZTWIE?

Na przychylność Rosjan liczą jeszcze amerykańscy biegli współpracujący z Prokuraturą Krajową. Zależy im na wyjeździe do Smoleńska i obejrzeniu miejsca katastrofy oraz wraku. Wielokrotnie podkreślali bowiem w rozmowach ze śledczymi, że w 2010 r. czynności prowadzono w skandaliczny sposób. Chodzi m.in. o to, że nie wykonano należycie zdjęć na miejscu zdarzenia, nie ustalono punktów GPS rozmieszczenia szczątków samolotu, brakuje fotografii wykonanych z powietrza. – Ostatnio stwierdzili, że coś przed nimi ukrywamy, bo jest niemożliwe, by w materiałach śledztwa nie było informacji z oblotu lotniska. Na zdjęciach zobaczyli latający nad polem szczątków śmigłowiec i nie byli w stanie uwierzyć, że Rosjanie nie przekazali zdjęć robionych z jego pokładu. Usłyszeliśmy: „To niemożliwe! Polska jest przecież dużym państwem w Europie. Dlaczego się tego głośno nie domagaliście? Dlaczego nie odzyskaliście wraku?". Pewne rzeczy trudno im wytłumaczyć... – prokurator kręci głową.

Wśród biegłych niebawem pojawi się nowy ekspert. Śledczy porozumieli się już z naukowcem z Wysp Brytyjskich, który specjalizuje się w interpretacji wyników badań na obecność materiałów wybuchowych. Zajmie się on analizą prac laboratoriów w Rzymie (potrwają tam jeszcze kilka miesięcy), Belfaście (zakończyły się wynikami negatywnymi) oraz angielskim Kent (w połowie próbek trafiono na ślady materiałów wybuchowych).

W połowie 2021 r. ma być zakończona kompleksowa opinia innego międzynarodowego zespołu biegłych, którzy podsumowują całą wiedzę dotyczącą ofiar katastrofy – z rosyjskich dokumentów sekcyjnych, opinii sądowo-medycznych wykonywanych po ekshumacjach w Polsce, opinii uzupełniających, badań toksykologicznych oraz histopatologicznych.

Do końca roku powinna być gotowa nowa ekspertyza fonoskopijna kopii nagrania z głosowej czarnej skrzynki. Zlecono ją zespołowi, w skład którego weszli eksperci ABW oraz krakowskiego Instytutu Ekspertyz Sądowych. – Dotychczas stworzono kilka wersji stenogramu, każda różniła się od poprzednich. Część jest kompletnie niewiarygodna. Mamy też nowe metody badawcze, z których chcemy skorzystać – słyszymy w prokuraturze.

Jeszcze raz będą też badane telefony ofiar. ABW zadeklarowała, że dysponuje nowoczesnymi technologiami, które pozwolą odczytać więcej niż przed laty, aby stwierdzić, czy z urządzeń korzystano jeszcze na pokładzie, czy Rosjanie ingerowali w ich zawartość itd. Oby nie skończyło się tak, jak przy pierwotnej ekspertyzie, w której stwierdzono, że do części aparatów nie można się dostać, bo... brakuje kodów PiN. Jeśli ABW sobie nie poradzi, śledczy skorzystają z usług prywatnej firmy zajmującej się odzyskiwaniem danych.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

ŚLEDZTWA CZEKAJĄ

Wszystkie te czynności prowadzone są w głównym śledztwie dotyczącym przyczyn katastrofy. Ale przecież w Prokuraturze Krajowej prowadzonych jest jeszcze kilka postępowań tzw. okołosmoleńskich. Jak się dowiadujemy, część z nich jest już właściwie zakończona i pozostaje do podjęcia decyzja o ich umorzeniu (jak w przypadku niszczenia wraku, którego sprawców nie sposób wykryć wobec obstrukcji Rosji) bądź stawianiu zarzutów. W tym przypadku mówimy np. o tzw. zdradzie dyplomatycznej byłego premiera Donalda Tuska, który m.in. zgodził się na niekorzystną dla Polski podstawę prawną badania katastrofy. Wszystkie dowody są zebrane, świadkowie przesłuchani, można kończyć pracę.

Kolejna sprawa to odpowiedzialność karna prokuratorów wojskowych za działanie na szkodę śledztwa poprzez nieprzeprowadzenie wielu czynności w 2010 r. – m.in. brak uczestnictwa w sekcjach zwłok i niezablokowanie pochówków ofiar wobec braku dokumentacji medycznej z Rosji, niezabezpieczenie podstawowych śladów w obliczu jednej z przyjętych hipotez zakładających zamach terrorystyczny.

Jest jeszcze mniej znany wątek nieprawidłowości w Agencji Wywiadu. Zawiadomienie w tej sprawie złożyła sama AW w wyniku audytu przeprowadzonego po zmianie władzy w 2015 r. Sprawa dotyczy skandalicznych decyzji z 2010 r., kiedy do polskiej ambasady w Moskwie zgłosił się informator przekonujący, że tragedia w Smoleńsku nie była zwykłą katastrofą, lecz zamachem. Placówka dyplomatyczna poinformowała o tym Agencję. A ta... przekazała temat Rosjanom, podając dane „oferenta". We wszystkich tych przypadkach występuje ten sam problem: brak decyzji o zakończeniu sprawy i kierowaniu do sądów aktów oskarżenia.

PODZIELONA PODKOMISJA

Również losy prac podkomisji działającej przy MON dalekie są od ideału. Organ kierowany przez Antoniego Macierewicza od dawna jest wewnętrznie podzielony, ale o tym wiemy co najmniej od dwóch i pół roku, gdy przed ósmą rocznicą katastrofy pięciu członków zespołu lotniczego odmówiło podpisania tzw. raportu technicznego, z którego treścią nie mogli się zgodzić. Od tamtej pory, jak słyszymy, „przewodniczący w różny sposób traktuje różnych członków komisji". Ci, którzy wówczas się sprzeciwili szefowi, znaleźli się na cenzurowanym.

> Sporo robimy, ale nie możemy niczego ogłosić. Może się zdziwicie, ale mamy... zakaz komunikacji i zakaz spotykania się z rodzinami. Nie rozumiemy tego – mówi jeden z prokuratorów

Bez wątpienia w podkomisji zasiadają ludzie, którym zależy na wyjaśnieniu katastrofy, służą swoją wiedzą, doświadczeniem. Dotychczas doskonale udokumentowali nieprawidłowości i fałszerstwa, jakich dopuściły się komisja Millera, MAK i prokuratura wojskowa. Ale ciężko wśród nich o jednomyślność. Z naszych informacji wynika, że co najmniej osiem osób nie zgadza się z metodologią pracy przewodniczącego i jego wnioskami.

Jeden z badaczy opowiada: – Nie mamy prawa zlecać ekspertyz na zewnątrz, bo takie uprawnienia ma tylko przewodniczący. A on konsekwentnie ignoruje wnioski wielu podwładnych. Koledzy złożyli ich kilkadziesiąt. Na żaden nie otrzymali nawet odpowiedzi. A rzecz dotyczyła fundamentalnych zagadnień dotyczących m.in. trajektorii lotu, wizji lokalnej w Mińsku Mazowieckim czy ekspertyz pirotechnicznych.

Wynika więc z tego, że członkowie podkomisji nie mają dostępu do jej ustaleń.

– Jest nieźle przygotowana symulacja uderzenia samolotu w grunt, z której wynika, że w przypadku „zwyczajnej katastrofy" maszyna pękłaby w kilku miejscach, ale nie utraciłaby integralności. Potwierdził to NIAR [Narodowy Instytut Techniki Lotnictwa z Kansas – przyp. red.]. Cenne jest też opracowanie dotyczące rozmieszczenia ciał ofiar. Pamiętajmy, że według rosyjskich protokołów 13 osób z poparzeniami znaleziono poza strefami pożarów naziemnych. Nikt dotychczas tego nie wytłumaczył – nawet „opozycja" w podkomisji docenia część analiz, które znajdują się w jej dorobku.

Nasi rozmówcy odnoszą się do filmu, który podkomisja prezentowała niedawno w odcinkach na antenie TV Republika jako podsumowanie swoich prac. Materiał ten nieźle się ogląda, jest

49/0920/F

eprasa.pl 4d5a6e53a5

sprawnie zmontowany, sprawia wrażenie wiarygodnego, ale trudno uznać go za jakąkolwiek formę raportu. Bliższe prawdy będzie nazwanie go obszerną publicystyką telewizyjną. W dodatku, jak słyszymy od samych członków komisji, zawiera sporo błędów i przeinaczeń.

– Niektóre fragmenty są wewnętrznie sprzeczne. Mieszane są kwestie ustalone z domysłami. Pamiętacie pierwsze symulacje NIAR z okolic 10. rocznicy dotyczące uderzenia skrzydła w brzozę? Pokazano wtedy skrzydło przecięte do drugiego dźwigara. Co działo się z nim dalej, już nie zobaczyliśmy. A wiecie dlaczego? Bo jeśli skrzydło zostanie do połowy przecięte, reszta odpadnie. Dowiódł tego już na I Konferencji Smoleńskiej prof. Błaszczyk. Gdy przypomniano to przewodniczącemu, nie odniósł się do tego, a w nowym filmie pokazał zupełnie inną symulację, na której brzoza się rozpada, ale... już na pierwszym dźwigarze skrzydła. Jak więc traktować takie „ustalenia"? Widać, że ma być snuta konkretna opowieść o tym zdarzeniu. A przecież dysponujemy wiedzą jedynie o pewnych elementach, pomiędzy którymi wciąż są luki – słyszymy.

Badacze nie mogą też odżałować, że z niewiadomych względów zrezygnowano np. z zakupu w Czechach Tu-154M, na którym miały być prowadzone eksperymenty w powietrzu. – Był kontrahent gotowy przywieźć nam ten samolot, w pełni sprawny, z certyfikatami. Za śmieszną cenę, bo ledwie kilkaset tysięcy złotych. Czesi zamierzali się go pozbyć, bo miał już swoje lata, ale nie skończyły mu się resursy. Stał na lotnisku polowym, które było przeznaczone do likwidacji, i chcieli uniknąć kolejnych opłat za stacjonowanie maszyny. Nie wiem, czemu przewodniczący nie dopiął tej sprawy.

TAJEMNICZA AMANDA

Zostaliśmy więc tylko z Tu-154M o numerze bocznym 102, znajdującym się w Mińsku Mazowieckim. Jest on podstawą kluczowych ekspertyz zamówionych przez podkomisję, m.in. najdroższych i mających fundamentalne znaczenie dla ostatecznych wyników prac zespołu analiz prowadzonych przez NIAR. Inna analiza przeprowadzona w USA stwierdza, że na slocie znajdującym się w skrzydle Tu-154M o numerze 102 odnaleziono ślady materiałów wybuchowych.

Skąd się tam wzięły? Według Kazimierza Nowaczyka ta część samolotu miała być w 2009 r. przełożona przez rosyjskich techników z tupolewa nr 101 (przed jego wylotem na remont do Samary) do 102. Sugestia, że materiał wybuchowy znalazł się na samolocie na rok przed tragedią, wybrzmiewa jasno we wspomnianym filmie podkomisji.

Niektórzy jej członkowie podważają jednak to ustalenie: – Mamy dostęp do książki napraw samolotu. Sprawdziliśmy to. Okazuje się, że faktycznie były przekładane części skrzydła pomiędzy samolotami. Są daty i numery katalogowe slotów. Ale dotyczyło to elementów znajdujących się przy kadłubie, a nie 12 metrów dalej. Jeśli więc ktoś już w 2009 r.

REKLAMA

25 SALTUS
LAT UBEZPIECZENIA

Dobre pomysły
WYGRYWAJĄ
NAGRODY!
Jubileuszowy konkurs na 25-lecie SALTUS Ubezpieczenia

ekspres do kawy DeLonghi DINAMICA

Thermomix

iPhone XS 64 GB

Skorzystaj z naszej oferty ubezpieczeń mieszkaniowych, zdrowotnych, NNW, podróżnych oraz na życie Optimum MAX

Odpowiedz na pytanie konkursowe i sięgnij po atrakcyjne nagrody!
Formularz konkursowy znajdziesz w placówkach **SKOK**

Szczegóły i regulamin konkursu dostępne na www.saltus.pl/konkurs
Materiał o charakterze reklamowym i marketingowym

WEŹ UDZIAŁ!

eprasa.pl 4d5a6e53a5

podłożył ładunek wybuchowy, to nie do tego slotu, który badano.

Według naszych ustaleń slot, o którym jest mowa w filmie, został rozkręcony przez specjalistów z WZL Dęblin w lutym 2018 r., ale próbki do badań pobrano kwartał później. Świadczy o tym zapis w dokumentach zespołu działającego przy MON, który datuje wizję lokalną w Mińsku na maj 2018 r. – W trakcie tych trzech miesięcy maszyna pozostawała niezabezpieczona, niepilnowana. Nie sposób stwierdzić, kto miał do niej dostęp. Czy podkomisja jest w stanie ustalić, kto towarzyszył Glennowi Jorgensenowi, i wykluczyć ewentualne manipulacje? – pyta retorycznie nasz rozmówca.

Przechodzimy więc do nieznanego dotychczas opinii publicznej wątku „ekspertki" podkomisji.

Amanda Ułasiuk występuje w opracowaniu „Streszczenie raportu. Materiał dowodowy", jaki w lipcu na posiedzeniu sejmowej komisji obrony narodowej przedstawił Antoni Macierewicz. Na końcu dokumentu znajdujemy trzy pozycje „Raport z prac firmy PioMax Amanda Ułasiuk". Nie wiadomo, na czym te prace miały polegać. PioMax zarejestrowany jest na warszawskim Mokotowie. W internecie znajdujemy lakoniczny opis: „W ciągu ostatniego roku sporządziłam ponad 100 transkrypcji (nagrania ponaddwugodzinne). Edytuję i przepisuję teksty (scenariusze, książki, teksty pisane ręcznie). Wypełniam tabele. Sporządzam prezentacje. Ceny do ustalenia indywidualnie". Czy właśnie takimi pracami zajmowała się dla podkomisji? Ale co w takim razie robiła w bazie wojskowej w Mińsku Mazowieckim?

Ułasiuk miała parokrotnie pojawiać się tam z Glennem Jorgensenem, który przez wiele miesięcy prowadził prace na tupolewie o nr 102. W ich efekcie samolot jest zdekompletowany, skrzydło pocięte, do wielu ekspertyz ten dowód już się nie nadaje.

Współpraca Duńczyka z podkomisją już się zakończyła. Jest on jedynym członkiem, z którym w sierpniu nie przedłużono umowy. A to z powodu jego konfliktu z Antonim Macierewiczem. Zaczął się, gdy na jednym z posiedzeń podkomisji Jorgensen przedstawił interesująca prezentację zawierającą symulację ostatnich sekund lotu Tu-154M. Podpadł nią przewodniczącemu, bo przekonywał, że samolot leciał tzw. niską trajektorią (zgodną ze wszystkimi dotychczasowymi ustaleniami, danymi z rejestratorów itd.), a nie na wysokości kilkudziesięciu metrów, jak od dawna upiera się Antoni Macierewicz oraz jego zastępca Kazimierz Nowaczyk (przeczą temu zarówno zapisy czarnych skrzynek, systemów samolotu, jak i liczne ślady na drzewach).

> Również losy prac podkomisji działającej przy MON dalekie są od ideału. – Nie mamy prawa zlecać ekspertyz, bo takie uprawnienia ma tylko przewodniczący. A on ignoruje wnioski wielu podwładnych – twierdzi jeden badaczy

NIAR A PR

W lutym tego roku Jorgensen wysłał list do przewodniczącego komisji. „Rozumiem, że znowu jest Pan w pilnej potrzebie PR-owej, aby opublikować pewne wstępne wyniki na nadchodzący 10 kwietnia. I że właśnie z powodów PR-owych najwyraźniej nie przejmuje się Pan jakością odpowiedzi, których udziela [...] Wielokrotnie podkreślałem, że Pana potrzeby PR-owe nie powinny mieć pierwszeństwa przed udzieleniem poprawnych i prawdziwych odpowiedzi dotyczących naszych dochodzeń".

Jorgensen odnosi się do prośby z NIAR o podanie gęstości desek podłogowych w samolocie. I zarzuca Macierewiczowi przesłanie do USA danych „prawie w 100 proc. odbiegających od poprawnego wyniku", a co gorsza – pisze – „zrobił Pan to bez podania jakichkolwiek informacji, jak doszedł Pan do tego (błędnego) wyniku" i że „należy traktować go z odpowiednią ostrożnością".

Listę zarzutów byłego członka komisji wobec przewodniczącego uzupełnia stwierdzenie, że przesyłając do NIAR nieprawidłowe dane, „szkodzi projektowi za 2,5 mln dolarów", „podważa szczegółowe 1,5-letnie prace nad P102 [drugim tupolewem – przyp. red.] i szkodzi wiarygodności naszego dochodzenia i komisji". Pisze o przestępstwie „nie tylko wobec polskich podatników, ale co gorsza, wobec całego śledztwa smoleńskiego".

Przypomnijmy, NIAR to instytut w USA, który na podstawie drobiazgowego skanowania tupolewa 102 ma przygotować symulacje komputerowe pokazujące, jak zachowałaby się taka maszyna według różnych scenariuszy katastrofy. Nie wiadomo, czy Amerykanie zakończyli już prace i jakie są ich efekty.

Grzegorz Januszko, ojciec najmłodszej z ofiar, stewardessy Natalii Januszko, wciąż ma nadzieję, że właśnie teraz – trzy lata przed kolejnymi wyborami – jest czas na to, by mimo wszystko sprawa ruszyła do przodu. – Nie ma już powodu, by uważać, że to będzie wykorzystywane politycznie w jakąkolwiek stronę. Mam nadzieję, że będzie się już liczył tylko ciężar dowodów, że nikt nie będzie chciał niczego ugrać. Bo to już chyba najwyższy czas, żeby konkretne zarzuty stawiać osobom, które dopuściły się zaniedbań i przestępstw – dopomina się Januszko.

Na koniec podkreślmy: w ciągu tych 10 lat wielu prokuratorom, biegłym, ekspertom udało się zgromadzić bardzo dużo wiarygodnego materiału dowodowego i analitycznego. W toku są kolejne ważne, profesjonalne badania. Jest więc na czym się oprzeć. Trzeba jednak wyjść z dziwnego paraliżu, który utrudnia zakończenie tej sprawy. Paraliżu, który jest efektem nawarstwiania się bardzo różnych uzasadnionych i mniej uzasadnionych okoliczności.

Nie warto tej sprawy zostawiać w takim stanie. Bo ktoś kiedyś nam wszystkim to wypomni.

Reklama | 27/0820/F

eprasa.pl 4d5a6e53a5

ORLEN W PORTFELU

orlenwportfelu.pl

Weź udział

w unikatowym Programie dla Akcjonariuszy Indywidualnych PKN ORLEN

- **OSZCZĘDZISZ NA PALIWIE** AŻ DO 540 ZŁ ROCZNIE
- **KUPISZ TANIEJ** NA STACJACH PKN ORLEN
- **ZYSKASZ WIEDZĘ O RYNKACH FINANSOWYCH** W AKADEMII INWESTOWANIA
- **OTRZYMASZ CERTYFIKAT** SYGNOWANY PRZEZ CFA SOCIETY POLAND

PARTNER PROGRAMU Biuro Maklerskie

PARTNER EDUKACYJNY AKADEMII CFA Society Poland

PARTNER MERYTORYCZNY PROGRAMU Stowarzyszenie Inwestorów Indywidualnych

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Szara myszka agresorka

Zdążyła zranić trzy koleżanki, zanim odebrano jej nóż. Atak licealistki w Zielonej Górze potwierdza to, co specjaliści wiedzą od dawna. Trzeba stworzyć procedury reagowania w niebezpiecznych sytuacjach, zanim w szkole dojdzie do tragedii

MAJA NARBUTT

Miejmy nadzieję, że ta 16-latka nie znajdzie naśladowców, co niestety się zdarza, gdy dochodzi do przestępstw szeroko opisywanych przez media. Ona sama mogła się inspirować zamachami terrorystycznymi, nawet jeśli działo się to w jej podświadomości. Chciała zaistnieć poprzez zrobienie czegoś spektakularnego, znaleźć się w centrum uwagi, i to się jej udało. Nie wiadomo też, czy w grę nie wchodzi amfetamina, bo ona sprzyja podobnym akcjom – mówi mi znany psychiatra sądowy dr Jerzy Pobocha.

Zastanawia go łatwość, z jaką nastolatce udało się przeprowadzić atak. Zapowiadała w mediach społecznościowych, że jutro w szkole „będzie rzeźnia", a na podłogę korytarza spłynie krew. Wiadomości pojawiały się na Snapchacie i znikały, ale zdążyły zaniepokoić kolegów, którzy dali znać wychowawczyni.

Dalszy scenariusz jest zaskakujący: kiedy dziewczyna przyszła do szkoły, wprowadzono ją do gabinetu pedagoga. Były tam też wychowawczyni i dyrektorka, wkrótce jednak wyszły, by powiedzieć uczniom, że sytuacja jest pod kontrolą. Kiedy pedagog odwróciła się od nastolatki, ta wybiegła z pokoju. Wyjęła z plecaka nóż kuchenny i zaczęła zadawać ciosy przypadkowo wybranym uczennicom. Zdołała zranić trzy, zanim ją rozbrojono.

– Trudno zrozumieć, dlaczego zostawiono tę dziewczynę tylko z panią pedagog, a ta uznała, że musi akurat otworzyć okno. To wszystko wygląda bardzo nieprofesjonalnie. Tym bardziej jest to niepojęte, że – jak wynika z doniesień medialnych – akurat w tym liceum jest nie tylko pedagog, lecz i psycholodzy. Podejrzewam, że zbagatelizowano powagę sytuacji, zakładając, że skoro chodzi o dziewczynę, to na pewno nie przydarzy się nic poważnego – uważa socjolog prof. dr hab. Barbara Fatyga, kierownik Katedry Metod Badania Kultury w Instytucie Stosowanych Nauk UW, która od wielu lat bada problemy młodzieży.

„To bardzo dobra uczennica" – te słowa jak mantrę powtarzano już po dramatycznych wydarzeniach w zielonogórskim liceum. Tak jakby uważano, że świetne wyniki w nauce gwarantują, że uczennica nie może się dopuścić przemocy. Żaden ze specjalistów, z którymi rozmawiam, nie ma wątpliwości, że polskie szkoły od dawna nie radzą sobie z przemocą, a ten problem ciągle narasta.

– Bezradność, jaką zademonstrowano w tym przypadku, może wynikać z faktu, że kadra pedagogiczna nie wiedziała, jak się zachować. Obawiano się zapewne, że wezwanie policji będzie przesadną reakcją, która ośmieszy szkołę. Kiedy uczniowie zgłosili niepokojące wpisy w mediach społecznościowych wychowawczyni, okazali zaufanie, a także wiarę, że dorośli poradzą sobie z niebezpieczną sytuacją. Wydawałoby się oczywiste, że plecak uczennicy, która zapowiada „rzeźnię" w szkole, będzie przeszukany. Mógłby to zrobić właśnie policjant – mówi mi prof. dr hab. Danuta Lalak, kierownik Katedry Pedagogiki Społecznej w Instytucie Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji UW.

Do tak dramatycznej sytuacji, jaka zdarzyła się w zielonogórskim liceum, nie doszłoby, gdyby istniały odpowiednie procedury. W momentach kryzysowych są one najważniejsze. Tak jest na przykład w wypadku alarmów bombowych, kiedy wszyscy w szkole dokładnie wiedzą, co mają robić.

– Zazwyczaj od początku podejrzewa się, że informacja o podłożonej bombie jest nieprawdziwa, a mimo to zarządza się ewakuację. Działa się zgodnie z procedurą, bez wahania realizując kolejne punkty – podkreśla prof. Lalak. Jak mówi, to, co zdarzyło się w liceum w Zielonej Górze, sprawia, że dyrektorzy innych szkół nie mogą spać spokojnie. Muszą się zastanawiać, czy i u nich nie mogłaby się wydarzyć podobna sytuacja i jak uniknąć błędów, które tam popełniono.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

– Ciągle nie zdajemy sobie sprawy z tego, co dzieje się z młodzieżą. Wysoki wskaźnik samobójstw pokazuje, że ta grupa wiekowa jest bardzo niestabilna emocjonalnie. Może dochodzić do samookaleczeń, ale także agresji skierowanej na zewnątrz. Nauczyciele nie bardzo są świadomi, że coraz więcej uczniów zdiagnozowanych jest psychiatrycznie i musi się wspomagać farmakologią, by przebrnąć przez szkołę – dodaje prof. Lalak.

ŻEŃSKIE TSUNAMI

Można się zastanawiać, co było detonatorem, który sprowokował atak 16-letniej uczennicy. Czy była poddana mobbingowi i uznała, że właśnie w ten sposób zemści się na prześladowcach. Czy znajdowała się pod wpływem środków psychotropowych, czy też jej agresja miała podłoże chorobowe.

– Okres dojrzewania jest bardzo trudny. Całe struktury mózgu ulegają przebudowie, co może powodować niestabilność emocjonalną. Do tego coraz powszechniejsze agresywne zachowania dziewcząt mogą być widziane jako przejaw zmian kulturowych, które dzieją się na naszych oczach. Oczekuje się od kobiet, że powinny być silne i zdecydowane, niejako męskie, gdy tymczasem to mężczyźni mają się wykazywać wrażliwością i delikatnością, cechami, przypisywanymi kiedyś głównie kobietom – zauważa dr hab. Katarzyna Lubiewska z Wydziału Psychologii UW. Jak mówi, skoro w pubach można zaobserwować, jak biją się studentki, rywalizując o chłopaka, przestaje dziwić, że nastolatki uważają za normalne, iż spory rozstrzyga się siłą.

– Byłam zaszokowana, gdy kilka lat temu przeczytałam, że na jednym z bydgoskich parkingów licealistki umawiały się na walki. Przekupiły parkingowego i bez przeszkód biły się, używając kastetów, a zdarzało się, że któraś musiała jechać do szpitala, bo dostała nożem w plecy. Wbrew stereotypom to nie były wyłącznie dziewczyny z patologicznych rodzin, ale także z rodzin o wysokim statusie społeczno-ekonomicznym – opowiada dr hab. Katarzyna Lubiewska.

„Ustawek" uczennic szkół, na wzór tych organizowanych przez

eprasa.pl 4d5a6e53a5

pseudokibiców, jest coraz więcej. Są też coraz brutalniejsze, a policjanci, którym zdarzało się interweniować, mówili, że specyfika tych walk polega na tym, że nie ma litości, nawet kiedy przeciwniczka leży na ziemi.

– Jest powszechny kult wysportowanego, silnego ciała. Dziewczyny zdają sobie sprawę, że jest ono seksualnym atutem i lubią je eksponować. Nie ma nic złego w tym, że dziewczyna umie przywalić i zna sztuki walki. Chodzi o to, by nastolatki wiedziały, że tych umiejętności można używać, by się bronić. Niestety tak nie jest – uważa prof. Barbara Fatyga.

Od afirmacji girl power do afirmacji agresji czasem tylko jeden krok. Socjolodzy, mówiąc o tym, jak zachowują się dziewczyny w szkołach, używają niekiedy określenia „żeńskie tsunami", uznając je za niszczącą siłę. Gdy przestają obowiązywać tradycyjne wzorce, często dochodzą do głosu niekontrolowane instynkty.

– Kiedy dziewczyna zaczyna się zachowywać w sposób, który dawniej przewidziany był dla chłopców, idzie jeszcze dalej niż oni. To mechanizm kompensacji. Chce udowodnić, że jest jeszcze bardziej męska czy wręcz macho, nie tylko dorówna rówieśnikom, lecz wręcz ich przewyższy – mówi psycholog prof. Kazimierz Pospiszyl, autor m.in. wydanej kilkadziesiąt lat temu i pionierskiej wówczas „Psychologii kobiety".

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że coraz częstsza agresja dziewcząt jest wynikiem rewolucji kulturowej. Przestaje się oczekiwać od kobiety empatii, wrażliwości. Te cechy stają się symbolem niepożądanej słabości. Kobiety prężą więc muskuły dosłownie i w przenośni.

– Ideałem kobiety ma być wojowniczka. Nie tylko silna, lecz i bezwzględna. Oglądałem kiedyś z wnuczką współczesne filmy dla dzieci. Szczególnie fascynowała ją Pocahontas, waleczna księżniczka, chciała nawet, by ją tak nazywać. Ta księżniczka zdecydowanie różniła się od księżniczek z dawnych baśni. Zapamiętałem, jak przerżnęła piłą przeciwnika i bezlitośnie rozprawiała się z wrogami – opowiada prof. Pospiszyl.

MYSZKA I KRÓLOWA PSZCZÓŁ

Specjaliści, z którymi rozmawiam, mówią, że z punktu widzenia psychologicznego atak w zielonogórskiej szkole wydaje się szczególnie niepokojący. Był chaotyczny, napastniczka zachowywała się tak, jakby przepełniła ją nienawiść do świata, do wszystkich rówieśników. Z dotychczasowych relacji wynika, że atakowała przypadkowe osoby, nastolatki, które znalazły się w pobliżu. Raczej nie wybrała sobie na cel swoich prześladowców czy prześladowczyń. Choć można założyć, że zapewne w jakiś sposób czuła się prześladowana.

– Dziewczęta zabijają słowami. Najbardziej typowa przemoc, jaką przejawiają nastolatki, to przemoc werbalna i psychiczna, w świecie realnym i wirtualnym, czyli w internecie – mówi socjolog prof. Barbara Fatyga.

W skąpych przekazach medialnych na temat napastniczki – z uwagi na jej niepełnoletniość utajniono nawet jej imię – przewija się, że była trochę outsiderką, a rówieśnicy określali ją jako „szarą myszkę". Fakt, że była bardzo dobrą uczennicą, raczej nie zapewniał jej dobrej pozycji wśród rówieśników, a nawet mógł ją pogarszać.

> Nie ma najmniejszej wątpliwości, że coraz częstsza agresja dziewcząt jest wynikiem rewolucji kulturowej. Przestaje się oczekiwać od kobiety empatii, wrażliwości. Te cechy stają się symbolem niepożądanej słabości. Kobiety prężą więc muskuły dosłownie i w przenośni

To, co znaliśmy do niedawna z amerykańskich seriali – dziewczyny desperacko zabiegające o „popularność" i grupy rówieśnicze o ściśle ustalonej hierarchii – jest już rzeczywistością polskich szkół.

Socjolodzy mówią, że dziewczęca społeczność w szkole przypomina ul – na jej czele jest królowa pszczół, odgrywająca rolę przywódczą. To ona i jej najbliższe otoczenie decydują, która nastolatka zostanie wyróżniona i zaakceptowana, a która odepchnięta czy wręcz prześladowana.

W porównaniu z dziewczynami chłopcy są znacznie mniej skomplikowani – bójka zazwyczaj rozstrzyga spór. Wśród dziewczyn oznacza wejście konfliktu na wyższy poziom, na którym następuje eskalacja. To nie przypadek, że do internetu co pewien czas wyciekają szokujące nagrania, na których to właśnie dziewczyny pastwią się nad koleżanką, zmuszają do klęczenia albo kopią w głowę. Działają zazwyczaj w grupie, podobnie zresztą jak w wypadku przemocy psychicznej. Właśnie dziewczęta są mistrzyniami intryg, wyśmiewania swoich ofiar, rozpuszczania plotek i kompromitowania rywalek.

– Dziewczęta znacznie szybciej niż chłopcy chłoną zmiany współczesnego świata, drapieżną rywalizację. To świat konkurencji, zawiści i walki o pozycję. Kobiety zawsze potrafiły być okrutne, choć w bardziej zawoalowany sposób niż mężczyźni. Zmiany obyczajowe sprawiły, że wszelkie maski opadły – mówi jeden z moich rozmówców.

Za fasadą wspólnych zakupów w galerii i wypadów nastolatek na pizzę kryje się czasem dość bezlitosna rzeczywistość.

– Dość trudno będzie śledczym ustalić, czy dziewczyna, która zaatakowała nożem w zielonogórskim liceum, była poddana mobbingowi. Uczniowie będą raczej solidarnie twierdzić, że nic takiego się nie działo – twierdzi psychiatra sądowy dr Jerzy Pobocha.

Można jednak liczyć na to, że napastniczka ujawni swoje motywy i okaże się wtedy, czy jest tylko sprawczynią przemocy, czy również jej ofiarą.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Fot. Michał Zięba

Czasem trzeba się zatrzymać

W tym trudnym dla mnie czasie bardzo zbudował mnie potężny odzew ludzi. Setki życzeń, wyrazów solidarności, dużo pozytywnej energii. Na co dzień człowiek albo tego nie widzi, albo może bardziej zwraca uwagę na negatywne głosy i oceny. A tu nagle się okazuje, że za plecami jest tyle sympatii. To dodaje sił

Z Magdaleną Wolińską-Riedi, korespondentką TVP we Włoszech, rozmawia Dorota Łosiewicz

Gdy rozmawiałyśmy kilka miesięcy temu, świat się wtedy zatrzymał. Teraz zatrzymał się dla ciebie. Co się zdarzyło?

Magdalena Wolińska-Riedi: Nagle „odcięło mi prąd". Serce odmówiło posłuszeństwa w najmniej oczekiwanym momencie. Nagle zemdlałam. Zerwałam wiązadło obojczykowo-barkowe. Wydawało się, że uszkodzenie barku jest największym problemem. Okazało się jednak, że zawiodło serce. Zostałam poddana innowacyjnemu zabiegowi kardiologicznemu: kardioneuroablacji. Cierpiałam na bradykardię, serce zwalniało, puls spadał do 40 uderzeń na minutę. Trzeba było więc unieszkodliwić nerw, który za to odpowiadał. Nawet nie wiedziałam, że coś złego dzieje się z moim sercem. Aż doszło do niedotlenienia mózgu i padłam. Często tak jest, że coś nam dolega, a nawet o tym nie wiemy. Myślimy, że nam słabo, np. z przepracowania. Wszystko stało się przy śpiących obok dzieciach, na urlopie w Polsce, byłam wypoczęta, zrelaksowana i nagle: ciach!

Jakie są rokowania?

Dobre. Wychodzę na prostą. Nabieram sił. Na szczęście trafiłam na wspaniałych ludzi, świetnych ekspertów. Od pierwszej chwili byłam otoczona najlepszą opieką. Jeszcze przebywam w ośrodku rehabilitacyjnym, ale wszyscy mówią, że serce jest jak nowe i niebawem wrócę do normalności. Muszę się trochę pozbierać. Także psychicznie, bo nagła choroba daje do myślenia.

Życie przeleciało przed oczami?

Trochę tak, ale podsumowanie nie wypadło źle. Czuję się trochę jak w czasie Wielkiego Postu. Jest czas, żeby pomyśleć, coś postanowić. Mam dwie jeszcze małe córki,

eprasa.pl 4d5a6e53a5

muszę być dla nich zdrowa i w pełni sił. Nie czas jeszcze umierać. Jestem pewna, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Wszystko jest po coś. W ostatnich miesiącach dawałam z siebie wszystko, pracowałam na 200 procent, na wysokiej adrenalinie, każdy dzień przynosił wiele kolejnych relacji. A kiedy człowiek sam nie potrafi zwolnić, wówczas organizm domaga się swoich praw. Ale to nie znaczy, że zatrzymam się zupełnie. Mam mnóstwo energii, pomysłów i planów. Muszę tylko nabrać sił, żeby je zrealizować. Zajmie mi to pewnie jeszcze kilka tygodni. W tym trudnym dla mnie czasie bardzo zbudował mnie potężny odzew ludzi. Setki życzeń, wyrazów solidarności, dużo pozytywnej energii, mnóstwo życzliwości. Na co dzień człowiek albo tego nie widzi, albo może bardziej zwraca uwagę na negatywne głosy i oceny. A tu nagle się okazuje, że za plecami jest tyle sympatii. To dodaje sił i pokazuje, że to, co robisz, ma sens.

Musiałaś spokojnie siedzieć w szpitalu akurat w czasie, gdy we Włoszech był prezydent Duda. To dla reportera chyba trudne doświadczenie – oglądać relacje, zamiast je nadawać?

Na pewno. Tym bardziej że ja tę wizytę zapowiadałam. Mam w sobie ogromne poczucie misji i kocham moją pracę. Uwielbiam relacjonować takie przełomowe chwile, ważne wydarzenia, a ta wizyta na pewno do takich należała. Lubię mieć takie poczucie, że Polacy włączają telewizory i wtedy jesteśmy razem, dzieje się historia. Bardzo było mi żal, że nie mogłam być na miejscu. Oglądałam relację kolegów, leżąc w łóżku, w ośrodku rehabilitacji i oczywiście żałowałam, że nie mogę być z nimi. Przeważnie na polu walki jestem sama z moim operatorem (co na marginesie wzbudza podziw i zdziwienie kolegów z innych państw, tam ekipy są kilkuosobowe). Tylko w ważnych momentach zjeżdża cała ekipa, robi się specjalne wydanie. I w takich chwilach człowiek czuje się częścią większej całości. To jest ważne i budujące. Tym razem nie było mi to dane. Ale to ważna lekcja pokory.

Cała ta zdrowotna historia zdarzyła się w Polsce, w kraju byłaś operowana, tu się rehabilitujesz. Ale za chwilę, 14 października, przed tobą premiera twojej drugiej książki „Zdarzyło się w Watykanie". Wystarczy sił?

Na pewno trzeba zweryfikować to, co było zaplanowane. Druga książka wychodzi dokładnie rok po „Kobiecie w Watykanie". Tamta była okraszona wielką promocją, niezapomnianym wieczorem autorskim na Zamku Królewskim. Przyszło tak dużo osób, że trzeba było wieczór podzielić na dwa, żeby wszyscy mogli wziąć udział. Tak dużego wydarzenia już nie będzie i ze względu na sytuację epidemiczną, i ze względu na moje zdrowie. Zależy mi jednak, żeby ta książka przebiła się do świadomości czytelników. Dla mnie jest ona chyba jeszcze ważniejsza niż pierwsza.

Starczyło materiału na drugą część?

Pewnie. Mam go jeszcze na kilka kolejnych książek. Watykan to studnia bez dna. W tej książce przyjęłam taki filtr, żeby historie układały się w całość i żeby czytelnik się nie rozpraszał. Skupiam się więc na okresie pontyfikatu Jana Pawła II. Zaczyna się chwilę przed jego wyborem i kończy tuż po jego śmierci. Po drodze mamy mnóstwo perypetii w czasie 27-letniego pontyfikatu. Chciałam naświetlić ukryte zakamarki Watykanu, w którym ten pontyfikat przebiegał. Jednocześnie chciałam, podobnie jak w pierwszej książce, prowadzić czytelnika jako narrator po świecie za Spiżową Bramą, który był moim światem przez 16 lat.

„Zdarzyło się w Watykanie", Wydawnictwo Znak, premiera 14 października br.

W tym prowadzeniu za rękę pomagają ci bohaterowie.

Jest ich dziesięciu. Wielu z nich przez wiele dekad współtworzyło ten świat. Nikt ich wcześniej nie opisał, nikt nie zrobił z nimi wywiadu. Nie było ich widać na pierwszych stronach gazet. Żyli i pracowali po cichutku. Nie chciałam oddawać głosu wysokim hierarchom, przyjaciołom Ojca Świętego, o których już słyszeliśmy. Chciałam, żeby przemówili zwykli ludzie, którzy współtworzą codzienność Watykanu. A ta jest niezwykła, bo dzieje się w świecie zupełnie niedostępnym przytłaczającej większości ludzi, w świecie otoczonym murem, zamkniętym na klucz. Moi bohaterowie tworzą tę rzeczywistość i już przez to są niesamowici. Bez tych ludzi papież by sobie nie poradził. Kardynałowie, prałaci kurialni też pewnie mają wiele do opowiedzenia, ale ja oddałam głos inżynierowi, który ma malutkie biuro na dziedzińcu placu Apostolskiego i z odległości kilkunastu metrów obserwował pierwszą historyczną wizytę Michaiła Gorbaczowa. Pamięta, kiedy ten wjechał swoim wielkim czarnym samochodem na dziedziniec i po raz pierwszy poszedł do Jana Pawła II. Ten sam inżynier, będąc szefem magazynu meblowego w Watykanie, znalazł przypadkiem fotel fryzjerski Jana XXIII, taki pełnoobrotowy. Fotel był biały. I ten inżynier wymyślił, że użyje go w papamobile. Jan Paweł II niedołężniał i trzeba było znaleźć takie siedzenie, które pozwoli mu bez cierpienia obracać się we wszystkie strony. To takie ludzkie kulisy wielkich wydarzeń, o których nikt wcześniej nie

eprasa.pl 4d5a6e53a5

opowiedział. Nikt nawet nie wie, że tacy ludzie tam pracują.

W tej wspaniałej dziesiątce jest także windziarz. Czy Jan Paweł II utknął kiedyś w windzie?

Jan Paweł II raczej nie. Zaciął się Franciszek, wtedy do domu Świętej Marty wzywana była straż pożarna. Papież spóźnił się wówczas 10 minut na modlitwę Anioł Pański i tłumaczył się na cały świat. Jeśli natomiast chodzi o Jana Pawła II i jego pontyfikat, to windziarz przez 27 lat dzień w dzień od godziny 8 do 17, a często i dłużej, woził możnych tego świata do papieskiego apartamentu. Opowiedział mi o tym, jak widział pot na czole Fidela Castro, jak ten nerwowo przebierał swoimi wielkimi butami, o numerze 46, jak się stresował pierwszą wizytą u Ojca Świętego. Widział, jak saudyjski książę, który się spóźnił do papieża, nonszalancko wchodził do apartamentu i jak potem skruszony zjeżdżał na dół. Tylko ci ludzie widzieli takie szczegóły. Oni pewnie nigdy nie sądzili, że o tym opowiedzą. Musiałam nad nimi trochę popracować. Cieszę się, że mi się udało.

Na tej liście bohaterów jest pewnie także ogrodnik?

Oczywiście. Ale ogrodników watykańskich w słynnych ogrodach, które zajmują połowę terytorium Watykanu, bo aż 22 ha, jest kilkunastu, ale tylko jeden – Giuseppe, bohater mojej książki, przez ostatnie 20 lat dbał o rośliny na prywatnym tarasie na dachu Pałacu Apostolskiego. To był taras ukochany przez Jana Pawła II. Papież codziennie rano, gdy wychodził na taras, dawał mu znać lekkim dotknięciem ramienia, że już jest. Giuseppe mógł nie usłyszeć wchodzącego papieża, bo podlewał rośliny, szum wody był głośny. Myślę, że takie drobiazgi, z których składa się codzienne życie, mogą zainteresować czytelników. Więcej ich zdradzą jeszcze kierowca czy sanitariusz, który przez ostatnie dwa tygodnie spał pod drzwiami papieskiego apartamentu, będąc na każde wezwanie.

Jest jeszcze krawiec.

On np. zdradzi, jak powstaje mundur członka Gwardii Szwajcarskiej. To fantastyczna postać. Chłopak wszedł do Gwardii w 1992 r. Właściwie od podstaw wymyślił sposób szycia stroju, by było to jak najwydajniejsze i jak najszybsze. Taki strój składa się ze 154 kawałków. To jest zgodne z tradycją, historią. Mój krawiec dokładnie opisał swoją metodę, tak by gdy ktoś go zastąpi, był w stanie tę pracę odtworzyć.

> W mojej nowej książce jest relacja windziarza, który przez 27 lat woził możnych tego świata do papieskiego apartamentu. Opowiedział mi o tym, jak widział pot na czole zestresowanego Fidela Castro przed wizytą u Jana Pawła II

Tam każdy fragment jest ponumerowany i wystarczy zmienić jeden numerek i wtedy wszystko pada, cały układ kolorów. Wystarczy spojrzeć na gwardzistę, by zrozumieć, jak precyzyjna to praca. A mój bohater jest jedynym krawcem w koszarach Gwardii Szwajcarskiej. Z tego powodu został więc poproszony ostatnio o przygotowanie strojów do dwóch seriali: „Młody papież" i „Dwóch papieży". Pracował więc z najsłynniejszymi aktorami występującymi w tych filmach, a po godzinach wpadał do papieża Franciszka pozszywać mu mankiety.

Wolisz słuchać czy opowiadać?

Jeśli opowieści są tak ciekawe, jak te moich bohaterów, to z przyjemnością zamieniałam się w słuch. Choć trudno sobie to wyobrazić, to ta książka niemal w całości powstała od lutego do maja, gdy koronawirus szalał we Włoszech, ja prawie codziennie robiłam telewizyjne relacje, byłam ledwo żywa, ale terminy goniły i nie było wyjścia. Padałam ze zmęczenia, ale z przyjemnością słuchałam moich bohaterów.

Z tego niezwykłego świata Watykanu zejdźmy teraz na ziemię. Jak bardzo Włosi odczuli spadek dochodów z turystyki spowodowany pandemią?

Wielu znalazło się w dramatycznej sytuacji. Sześć milionów Włochów wykonuje pracę związaną z turystyką – pośrednio lub bezpośrednio. Wenecja żyje z turystyki w 98 proc. Są takie branże, o istnieniu których nawet nie myślimy lub nie wiemy, a i tam ludzie potracili pracę. Myślę tu np. o pralniach w Wenecji (na lądzie, nie na lagunie), które czyszczą pościel, ręczniki, obrusy z hoteli, pensjonatów. A hotele są do dziś w dużej części zamknięte. Dramat przeżywają restauratorzy. Włochy będą się długo podnosić po kryzysie. Ludzie boją się jeździć do tego kraju, choć na ten moment sytuacja we Włoszech, jeśli chodzi o liczbę zakażeń, zbliżona jest do polskiej. Jednak Italia opustoszała. Ta sytuacja może trwać jeszcze miesiącami. Oczywiście włoskie społeczeństwo jest bogatsze niż polskie, bo i bogactwo było gromadzone dziesięcioleciami. Jednak bardzo wiele osób pozostaje bez pracy, żyje z rządowych zasiłków, nie mając perspektywy, że w najbliższym czasie wrócą do pracy. Do tego dochodzi poczucie takiej beznadziei i marazmu, które są wszechobecne. Nasilają się też nastroje antyimigranckie. Na Lampedusie sytuacja jest dramatyczna. W wakacje mieliśmy do czynienia z kolejną falą imigrantów napływających setkami każdego dnia. Jedna czwarta imigrantów była zakażona, stanowili zagrożenie, nie dało się bowiem wszystkich przetestować. Ponadto uciekali z ośrodków kwarantanny. Poza tym protestowali, bo nie pasowało im jedzenie, zaczęli podpalać ośrodki. To dodatkowo podsyca frustrację Włochów. Stąd ich protesty m.in. na Lampedusie. Dotychczas mieszkańcy byli bardzo gościnni, ale w wakacje nie wytrzymali, blokowali np. przejście do hot spotu. To bardzo trudna, wręcz nierozwiązywalna sytuacja.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Trzęsienie ziemi w Watykanie

Dlaczego jeden z najbardziej wpływowych purpuratów w Stolicy Apostolskiej został zdymisjonowany i pozbawiony praw kardynalskich?

GRZEGORZ GÓRNY

Udając się 24 września na jedno ze swych licznych rutynowych spotkań z Franciszkiem, kard. Angelo Becciu nie spodziewał się zapewne, co go spotka w Domu św. Marty. Do tamtego dnia – jak wyznał później na konferencji prasowej – uważał się za przyjaciela papieża. Po spotkaniu biuro prasowe Stolicy Apostolskiej wydało lakoniczny komunikat, że purpurat złożył na ręce Franciszka rezygnację z funkcji prefekta Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych oraz zrzekł się wszystkich przywilejów wynikających z posiadania godności kardynalskiej, m.in. prawa udziału w konklawe.

WSTRZĄS ZA SPIŻOWĄ BRAMĄ

Komunikat przyjęto z niedowierzaniem. Zdarzało się, że wysocy dostojnicy watykańscy sami składali dymisję z zajmowanych przez siebie urzędów. Nie zdarzyło się jednak nigdy, by jakiś kardynał dobrowolnie zrezygnował z przysługujących mu przywilejów. Jedyny tego typu przypadek w XX w. dotyczył kard. Keitha O'Briena, który w 2015 r. zrzekł się takich uprawnień, zachowując honorowy tytuł kardynała. W jego przypadku chodziło jednak o molestowanie seksualne księży, do czego zresztą sam się przyznał.

Informacja o niespodziewanej dymisji Angela Becciu wywołała w Rzymie wstrząs, ponieważ uchodził on – jak napisał watykanista dziennika „Il Foglio" Matteo Matzuzzi – za „najpotężniejszego kardynała, uważanego za najbliższego i zaufanego człowieka papieża". To właśnie on na polecenie Franciszka podejmował się przez lata wielu różnych delikatnych misji, np. specjalnego delegata przy Zakonie Maltańskim.

72-letni dostojnik rodem z Sardynii od czterech dekad związany był z dyplomacją watykańską. W 2011 r. Benedykt XVI mianował go substytutem ds. ogólnych w Sekretariacie Stanu Stolicy Apostolskiej, a więc osobą nr 3 w hierarchii państwa watykańskiego (po papieżu i sekretarzu stanu). Pełnił ten urząd przez siedem lat. W 2018 r. Franciszek wykreował go na kardynała i mianował prefektem Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych.

Przyczyn nagłej dymisji nie podano, choć media snuły podejrzenia, że może chodzić o niegospodarność w związku z zakupem za 160 mln dol. luksusowego budynku w londyńskiej dzielnicy Chelsea. Pieniądze miały pochodzić z tzw. świętopietrza, czyli datków zbieranych przez wiernych na świecie na potrzeby charytatywne papieża. Angelo Bacciu jako substytut w Sekretariacie Stanu zarządzał tym kontem. Część środków, zamiast trafiać do ubogich i potrzebujących, była inwestowana w inne przedsięwzięcia, takie jak np. udziały w koncernie naftowym w Angoli czy właśnie zakup nieruchomości w Londynie. W zeszłym roku sekretarz stanu kard. Pietro Parolin nazwał tę ostatnią transakcję „nieprzejrzystą". W odpowiedzi kard. Becciu stwierdził, że w zakupie gmachu „nie było nic nieprzejrzystego", a „inwestycja była prawidłowa i przeprowadzona zgodnie z prawem". W tej sprawie od wielu miesięcy toczy się za Spiżową Bramą dochodzenie, watykańska żandarmeria dokonała przeszukań w biurach sekretariatu stanu. Główną ofiarą rewizji został jednak szef żandarmów Domenico Giani, zmuszony w październiku 2019 r. do dymisji tylko dlatego, że do mediów przedostały się szczegóły tej akcji.

Fot. Andreas Solaro/East News

SKAZA NA WIZERUNKU

Nazajutrz po zaskakującej dymisji wpływowego purpurata na łamach „L'Espresso" ukazał się duży artykuł podsumowujący

eprasa.pl 4c 6e53a5

wyniki dziennikarskiego śledztwa przeprowadzonego przez reporterów tygodnika. Ujawnili oni dowody (znane także watykańskim śledczym) na nielegalne transfery dokonywane z watykańskich kont, za pośrednictwem różnych podmiotów, na rachunki trzech braci kardynała prowadzących interesy na Sardynii. Wśród nich była m.in. bezzwrotna pożyczka w wysokości 100 tys. euro, która trafiła do spółdzielni Spes zarządzanej przez Tonina Becciu (zbieżność nazwisk nieprzypadkowa) i związanej z Caritasem w miejscowości Ozieri.

W odpowiedzi zdymisjonowany dostojnik zwołał naprędce konferencję prasową, podczas której oświadczył, iż nie popełnił żadnego przestępstwa, nikt w Watykanie nie przedstawił mu żadnych oskarżeń, papież zaś został zmanipulowany. Zapowiedział też, że jest gotów dochodzić swojej niewinności przed sądem. Na pytania o przelewy dla rodziny odpowiadał, że chodziło o zapłatę za wykonane usługi, np. za drzwi do nuncjatur dostarczone przez stolarską firmę prowadzoną przez jednego z jego braci.

Zdaniem włoskiej agencji prasowej ADN Kronos dostojnikowi trudno będzie udowodnić swą niewinność, ponieważ obciążają go zeznania ks. Alberta Perlaski – niegdyś prawej ręki kard. Becciu w Sekretariacie Stanu. Wspomniany duchowny zgodził się współpracować ze śledczymi w sprawie defraudacji środków z funduszy watykańskich.

Powyższe doniesienia podzieliły nawet największych zwolenników Franciszka. Jeden z nich, chilijski watykanista Luis Badilla z portalu Il Sismografo, napisał, iż dymisja kardynała to „typowy przykład kanibalizmu medialnego animowanego wewnątrz watykańskich murów". Jego zdaniem decyzja Franciszka przypomina egzekucję, w której wyrok nie został poprzedzony żadnym oskarżeniem, a skazańcowi nie dano nawet szans na obronę. Według niego Becciu powinien zostać osądzony zgodnie z prawem, a nie na podstawie doniesień prasowych.

„Papież, mimo swoich uprawnień, nie jest ani sędzią, ani sądem" – napisał Badilla. „Mimo wszystko istnieją prawa oskarżonych, a także gwarancje i domniemanie niewinności, tak bliskie Franciszkowi... Należy przypomnieć, że są dziesiątki osób, niegdyś bliskich współpracowników Franciszka, których nagle pozbawiono obowiązków, bez wyjaśnień, dowodów czy podziękowań... Nie można tak postępować także dlatego, że powoduje to gigantyczne szkody w sercach pokornych, prostych i wiernych chrześcijan".

Inni publicyści zwracają z kolei uwagę, że afery finansowe powodują spadek zaufania katolików do struktur watykańskich, co przekłada się na mniejsze datki dla papiestwa. To prognoza niekorzystna zwłaszcza w kontekście obecnej pandemii. Z powodu odpływu pielgrzymów i turystów Watykan spodziewa się bowiem w tym roku spadku dochodów na poziomie 45 proc.

KTO OCZYŚCI FINANSE WATYKANU?

Decyzję Franciszka z zadowoleniem przyjął natomiast kard. George Pell z Australii, który oświadczył: „Ojciec Święty został wybrany w celu uporządkowania finansów Watykanu; należy mu podziękować i pogratulować za ostatnie wydarzenia".

Warto przypomnieć, że w 2014 r. kontrola wewnętrzna odkryła, iż Sekretariat Stanu (w czasie gdy kierował nim kard. Tarcisio Bertone, a jego zastępcą był kard. Becciu) nie uwzględnił w swych sprawozdaniach finansowych 94 mln euro. Żeby w końcu zrobić porządek z finansami Watykanu, powołana została nowa instytucja z nadzwyczajnymi uprawnieniami – Sekretariat ds. Gospodarczych. Nie miał on podlegać Sekretariatowi Stanu, lecz bezpośrednio papieżowi i mieć kompetencje należące do tej pory do kilku innych urzędów. Na czele nowego organu stanął kard. Pell z Sydney, mający opinię nieprzekupnego. Po kilku miesiącach urzędowania ogłosił, że odnalazł w różnych watykańskich dykasteriach 936 mln euro, które nie zostały zaksięgowane. W lutym 2015 r. odkrył już defraudacje na sumę 1,4 mld euro.

> Przyczyn nagłej dymisji kardynała nie podano, choć media snuły podejrzenia, że może chodzić o niegospodarność w związku z zakupem za 160 mln dol. luksusowego budynku w londyńskiej dzielnicy Chelsea

Niestety, nie dane mu było kontynuować swej misji. Przeważył opór kardynałów, wśród których watykaniści wymieniają najczęściej nazwiska Domenica Calcagno, Giuseppe Versaldiego, Giuseppe Bertella i właśnie Angela Becciu. W efekcie Franciszek odebrał Pellowi dużą część jego uprawnień, główni audytorzy zaś – Libero Milone i Ferruccio Panicco, specjalizujący się w wykrywaniu afer – z dnia na dzień zostali zwolnieni.

Wkrótce potem kard. Pell został oskarżony w Australii o to, jakoby w 1996 r. molestował dwóch ministrantów w katedrze w Melbourne. Skazano go z tego powodu na sześć lat pozbawienia wolności, z czego 405 dni spędził w więzieniu. Dopiero w kwietniu 2020 r. został uniewinniony przez Sąd Najwyższy, który jednogłośnie oczyścił go ze wszystkich zarzutów. Okazało się, że oskarżenia przeciw niemu zostały sfabrykowane. Jak napisał watykanista Marco Tosatti: z armat strzelano do Pella w Australii, ale kule odlewane były w Watykanie.

Cztery dni po zdymisjonowaniu Becciu kard. Pell po raz pierwszy od momentu swego uniewinnienia pojawił się w Rzymie. Niektórzy komentatorzy mają nadzieję, że Australijczyk pomoże odbudować autorytet Stolicy Apostolskiej nadszarpnięty ostatnimi skandalami finansowymi. Czy jednak nie za wiele chce się złożyć na barki 79-letniego hierarchy, wycieńczonego psychicznie kilkuletnim śledztwem, aresztem i więzieniem?

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Trzecia wojna światowa w kawałkach

W najnowszej encyklice Franciszka „Fratelli tutti – o braterstwie i przyjaźni społecznej" pojawiają się stałe wątki papieskiego nauczania: troska o wzajemne relacje, wrażliwość na sytuację ubogich i potrzebujących pomocy. Ale też demony naszych czasów: egoizm elit i wykluczanie innych, którym odbiera się głos. Jej aktualność wzmacnia doświadczenie kryzysu pandemii koronawirusa, do którego papież odwołuje się w wielu miejscach

PIOTR SŁABEK

Globalizację opartą na szukaniu większego zysku, przedmiotowe traktowanie człowieka, dominację ludzi zamożnych nad ubogimi, antagonizmy społeczne papież nazywa „trzecią wojną światową w kawałkach". Zachęca do krzewienia przyjaźni społecznej, do solidarności i wymiany darów, poszanowania osoby ludzkiej oraz jej praw, do dialogu, ale też do odrzucenia kary śmierci i innych form przemocy.

Przedstawiamy fragmenty nowej encykliki:

POLITYKA, GLOBALIZM, KOLONIZACJA KULTUROWA

Aby umożliwić rozwój światowej wspólnoty, zdolnej do realizowania braterstwa w oparciu o ludy i narody żyjące w przyjaźni społecznej, potrzebna jest lepsza polityka, służąca prawdziwemu dobru wspólnemu. (...)

„Otwarcie na świat" jest wyrażeniem, które dziś zostało przyswojone przez gospodarkę i finanse. Odnosi się wyłącznie do otwartości na interesy zagraniczne lub do swobody inwestowania przez potęgi gospodarcze bez przeszkód i komplikacji we wszystkich krajach... [co] daje pierwszeństwo interesom indywidualnym, a osłabia wymiar wspólnotowy istnienia. Przybywa w nim raczej rynków, na których ludzie odgrywają rolę konsumentów lub obserwatorów. Rozwój tego globalizmu zazwyczaj umacnia tożsamość najsilniejszych, którzy chronią samych siebie, ale usiłuje rozmyć tożsamości regionów najsłabszych i najuboższych, czyniąc je bardziej nieodpornymi i uzależnionymi od innych. W ten sposób polityka staje się coraz bardziej krucha w obliczu ponadnarodowych potęg gospodarczych, które stosują zasadę „dziel i rządź". (...)

Dostrzegamy kulturowe przenikanie pewnego rodzaju „dekonstrukcjonizmu", według którego ludzka wolność próbuje budować wszystko od zera. Pozostaje niezmienna jedynie potrzeba konsumpcji bez ograniczeń i akcentowanie wielu form indywidualizmu bez treści. (...)

Są to nowe formy kolonizacji kulturowej. Nie zapominajmy, że „narody, które są wyobcowane ze swej tradycji i, z powodu manii naśladowczej, narzucającej się przemocy, niewybaczalnego zaniedbania czy apatii, tolerują wyrywanie im duszy, tracą, wraz z obliczem duchowym, także spójność moralną i wreszcie niezależność ideologiczną, ekonomiczną i polityczną" (Raúl Silva Henríquez, s.d.b., „Homilía en el Tedeum en Santiago de Chile", 18 września 1974 r.).

Skutecznym sposobem rozmycia świadomości historycznej, krytycznego myślenia, walki o sprawiedliwość i dążeń integracyjnych jest pozbawianie wielkich słów ich znaczenia lub manipulowanie nimi.

STRATEGIE ZNIEWOLENIA

Najlepszym sposobem, by panować i posuwać się naprzód bez ograniczeń, jest sianie rozpaczy i budzenie ciągłej nieufności, nawet jeśli jest to zakamuflowane pod maską bronienia pewnych

Fot. AM113 / Shutterstock.com

eprasa.pl 4d5a6e53a5

wartości. Dzisiaj w wielu krajach stosowany jest polityczny mechanizm jątrzenia, rozdrażniania i polaryzacji. Na różne sposoby odmawia się innym prawa do istnienia i wyrażania swoich opinii. W tym celu stosowane są strategie ośmieszania ich, posądzania, osaczania. Nie bierze się pod uwagę prawdy i wartości prezentowanych z ich strony, a w ten sposób społeczeństwo staje się uboższe i podległe despotyzmowi najsilniejszych. (...)

W tym konflikcie interesów, który stawia nas wszystkich przeciw wszystkim, w którym zwycięstwo staje się synonimem zniszczenia... Dystanse między nami rosną, a ciężka i powolna wędrówka w kierunku zjednoczonego i bardziej sprawiedliwego świata doznaje nowego i drastycznego cofnięcia. (...)

W ŚWIECIE ODRZUCONYCH

Wydawać by się mogło, że część ludzkości można poświęcić na rzecz selekcji, która faworyzuje grupę społeczną zasługującą na życie bez ograniczeń. W gruncie rzeczy „ludzie nie są już postrzegani jako podstawowa wartość, którą należy szanować i chronić, szczególnie jeśli są ubodzy lub niepełnosprawni, jeśli »nie są jeszcze potrzebni« – jak dzieci nienarodzone – lub »nie są już potrzebni« – jak osoby starsze... „Przemówienie do korpusu dyplomatycznego", 11 stycznia 2016 r.

Brak dzieci, powodujący starzenie się społeczeństw, wraz z pozostawieniem osób starszych w bolesnej samotności wyrażają pośrednio, że wszystko kończy się wraz z nami, że liczą się tylko nasze osobiste interesy...Widzieliśmy, co stało się z osobami starszymi w niektórych częściach świata z powodu koronawirusa. Nie powinny umierać w ten sposób... Nie zdajemy sobie sprawy, że izolowanie osób starszych i pozostawianie ich pod opieką obcych, bez właściwego i bliskiego towarzyszenia rodziny, okalecza i zubaża samą rodzinę. Co więcej, doprowadza do pozbawienia ludzi młodych niezbędnego kontaktu z ich korzeniami i mądrością, której młodzież nie może osiągnąć o własnych siłach.

To odrzucenie wyraża się na wiele sposobów, np. w obsesji na punkcie obniżania kosztów pracy, bez brania pod uwagę poważnych konsekwencji, jakie to powoduje, gdyż bezrobocie jako bezpośredni skutek poszerza granice ubóstwa. (...)

LIBERALIZM KONTRA SOLIDARNOŚĆ

Kategoria ludu, z którą ściśle związane jest pozytywne postrzeganie więzi społecznych i kulturowych, jest zazwyczaj odrzucana przez indywidualistyczne poglądy liberalne, w których społeczeństwo jest postrzegane jedynie jako suma współistniejących interesów... W niektórych kontekstach często oskarża się o populizm tych wszystkich, którzy bronią praw najsłabszych w społeczeństwie. (...)

Dla stwierdzenia, że społeczeństwo jest czymś więcej niż tylko sumą jednostek, potrzebne jest słowo „lud". W rzeczywistości istnieją zjawiska społeczne kształtujące większość społeczeństwa; istnieją megatrendy i aspiracje wspólnotowe; a również to, że można myśleć o wspólnych celach, niezależnie od różnic, w celu zrealizowania wspólnego projektu. Wreszcie, bardzo trudno jest planować coś wielkiego w dłuższej perspektywie, jeśli nie stanie się to marzeniem zbiorowym. Wszystko to znajduje wyraz w rzeczowniku „lud" oraz w przymiotniku „ludowy". Gdyby nie zostały one uwzględnione – wraz z solidną krytyką demagogii – odrzucilibyśmy podstawowy aspekt rzeczywistości społecznej. (...)

Obowiązek wychowania, rozwój nawyków solidarności, zdolność do myślenia o życiu ludzkim w sposób bardziej integralny oraz duchowa głębia są konieczne, aby podnieść jakość ludzkich relacji, tak aby samo społeczeństwo reagowało na istniejące w nim nierówności, wynaturzenia i nadużycia ze strony sił gospodarczych, technologicznych, politycznych i medialnych. Istnieją wizje liberalne, które lekceważą tę ludzką kruchość i wyobrażają sobie świat odpowiadający pewnemu porządkowi, zdolny sam z siebie zapewnić przyszłość i rozwiązać wszystkie problemy. (...)

Sam rynek nie rozwiązuje wszystkiego, chociaż czasami chcą, abyśmy uwierzyli w ten dogmat wiary neoliberalnej. To kiepski, powracający sposób

myślenia, który zawsze proponuje te same recepty w obliczu wszelkich wyzwań. Neoliberalizm sam się powiela, uciekając się do magicznej teorii „redystrybucji" lub „skapywania" – nie nazywając jej wprost – jako jedynego sposobu na rozwiązanie problemów społecznych. Nie dostrzega, że rzekoma redystrybucja nie rozwiązuje nierówności, która jest źródłem nowych form przemocy zagrażających tkance społecznej... Nadal sieją spustoszenie spekulacje finansowe, których podstawowym celem jest łatwy zysk. Co więcej, „bez wewnętrznych form solidarności i wzajemnego zaufania, rynek nie może wypełnić swojej ekonomicznej funkcji. (...)

SKŁONNOŚĆ DO EGOIZMU

Największe zagrożenie nie kryje się w rzeczach, w rzeczywistości materialnej, organizacjach, ale w sposobie, w jaki ludzie z nich korzystają. Problemem jest ludzka słabość, nieustanna ludzka skłonność do egoizmu, będąca częścią tego, co tradycja chrześcijańska nazywa „pożądliwością": skłonność człowieka do zamykania się w immanencji własnego ja, własnej grupy, we własnych zachłannych interesach. Ta pożądliwość nie jest wadą jedynie naszej epoki. Istnieje od czasu, gdy człowiek jest człowiekiem i po prostu przemienia się, na przestrzeni wieków przybiera różne formy, wykorzystując narzędzia, które chwila dziejowa stawia do dyspozycji. Ale z Bożą pomocą można ją opanować.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

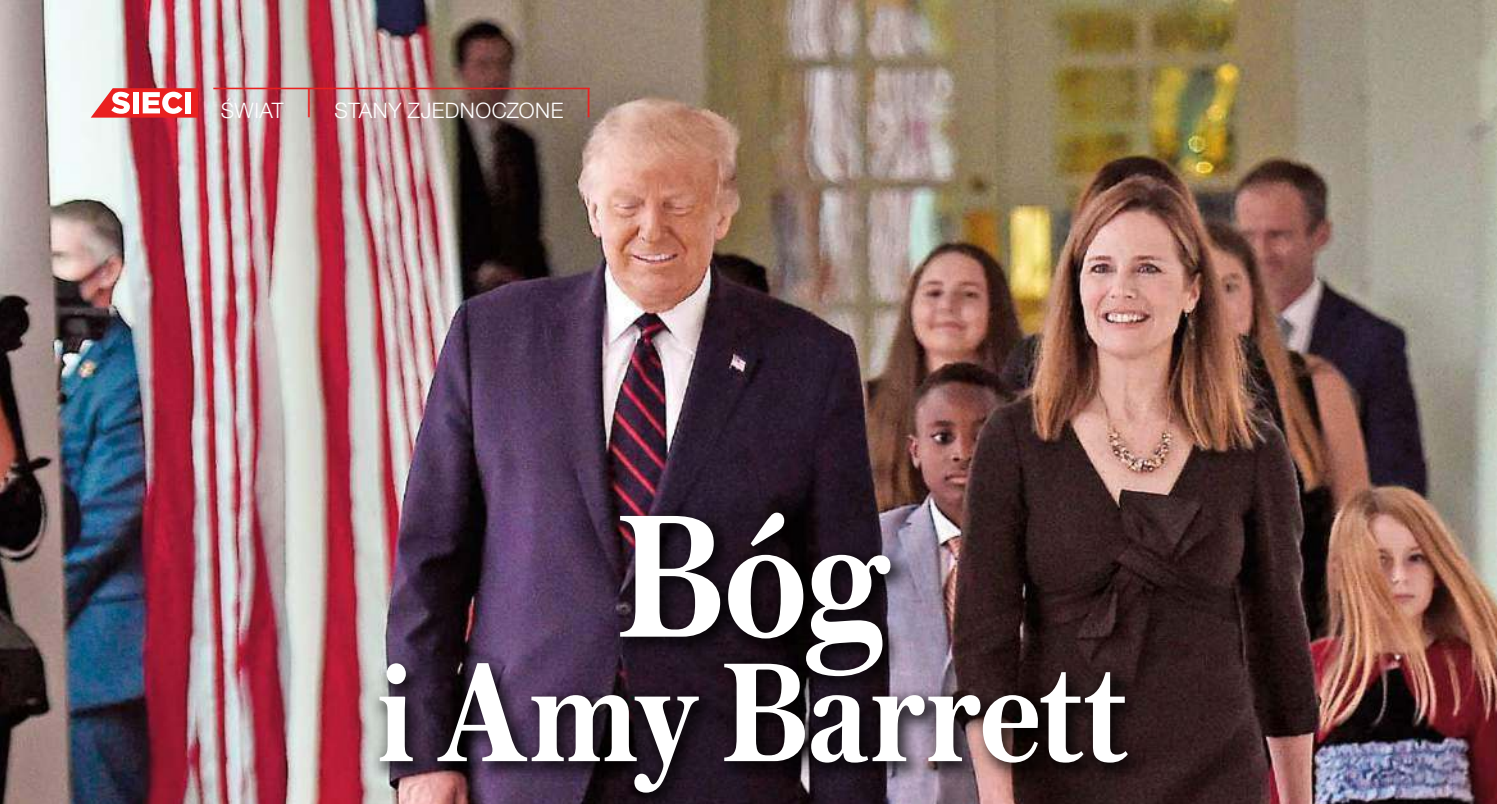

Bóg i Amy Barrett

Prezydent USA Donald Trump nominował praktykującą katoliczkę i matkę siedmiorga dzieci do Sądu Najwyższego. Jeśli nominacja Amy Coney Barrett zostanie zatwierdzona przez Senat, konserwatyści będą mieli w Sądzie Najwyższym znaczną przewagę nad liberałami

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Bóg powołał republikanów do trzech rzeczy: obniżania podatków, zabijania zagranicznych wrogów i nominowania konserwatywnych sędziów" – tak republikański strateg Brad Todd skomentował nominację Amy Coney Barrett, katoliczki i matki siedmiorga dzieci (w tym dwójki adoptowanych i jednego z zespołem Downa), na sędziego Sądu Najwyższego USA. Jest to już trzecia nominacja Donalda Trumpa do Sądu Najwyższego w trakcie jego pierwszej kadencji jako prezydenta. W latach 2017–2018 powołał już Neila Gorsucha i Bretta Kavanaugh. Obu nominacjom demokraci się sprzeciwiali, w przypadku Kavanaugh podjęli nawet próbę zdyskredytowania go zarzutami o próbę gwałtu, której miał się dopuścić w czasach licealnych. Amy Coney Barrett jest, z punktu widzenia demokratów, jeszcze bardziej konserwatywna niż Kavanaugh, do tego zastąpi Ruth Bader Ginsburg, ikonę ruchu praw obywatelskich, obrończynię praw kobiet i zwolenniczkę aborcji, która zmarła 18 września po długiej walce z rakiem.

ANTYKATOLICKA FOBIA

Niebezpieczna z punktu widzenia jej krytyków jest przy tym nie tylko wiara Barrett, lecz także jej podejście do prawa. Przez wiele lat, gdy dominowali w nim liberałowie jak Ginsburg, Sąd Najwyższy USA aktywnie tworzył prawo pod lewicową agendę. Stał się kolejnym aktorem na scenie politycznej. Barrett tymczasem uważa, że powinien się on „ograniczać do interpretacji prawa tworzonego przez Kongres". „Sędziowie nie są politykami i muszą odkładać swoje poglądy na bok" – podkreśliła Barrett po otrzymaniu nominacji. Taka miała być filozofia zmarłego w 2016 r. konserwatywnego sędziego Antonina Scalii, którego uważa za swojego mentora. Już w 2017 r., gdy Barrett została nominowana przez Trumpa do Federalnego Sądu Apelacyjnego Siódmego Okręgu, demokratyczna senator z Kalifornii Dianne Feinstein ostro ją atakowała. Feinstein chciała wiedzieć, czy religijne przekonania 48-letniej dziś prawniczki wpłyną na jej orzecznictwo, szczególnie to dotyczące aborcji czy małżeństw homoseksualnych. Senator przypomniała Barrett artykuł, który napisała w 1998 r., gdy wykładała prawo na katolickim Uniwersytecie Notre Dame w Indianie, i w którym przekonywała, że prawnicy powinni kierować się w wykonywaniu swojego zawodu „standardami (moralnymi) Kościoła", bo „ich kariera służy budowaniu królestwa Bożego". Później głosowała m.in. przeciwko uchyleniu prawa Indiany, które wymagało po aborcji „pochówku lub kremacji szczątków płodu" i oficjalnie wspierała stanowisko Kościoła katolickiego w sprawie małżeństw, aborcji oraz seksualności. Feinstein nazwała wiarę Barrett „dogmatem", który może jej utrudnić pełnienie funkcji. Brutalne przepytywanie Barrett przed senacką komisją sprawiedliwości nie przysporzyło jednak sympatii demokratom. Zostali oskarżeni o antykatolicką fobię i chęć wykluczenia ludzi wierzących z życia publicznego. Ostatecznie Barrett została zatwierdzona przez Senat niewielką przewagą głosów. Teraz senatorzy ponownie będą musieli rozpatrzyć jej nominację, tyle że stawka jest tym razem o wiele większa.

Jeśli Barrett trafi do Sądu Najwyższego, konserwatyści mieliby w nim przewagę nad liberałami sześć do trzech.

Fot. Olivier Douliery/East News

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Demokraci obawiają się, że Sąd Najwyższy w takim składzie zrewiduje wiele światopoglądowych orzeczeń, nawet te sprzed 30 czy 40 lat. Chodzi w szczególności o decyzję Roe vs. Wade z 1973 r. legalizującą aborcję. Barret popiera także politykę imigracyjną prezydenta USA i powszechne prawo do posiadania broni. „To kobieta o niebywałych osiągnięciach, olbrzymim intelekcie, solidnych referencjach i niezachwianej lojalności wobec konstytucji" – tak swoją kandydatkę zachwalał w Białym Domu Donald Trump. Z punktu widzenia demokratów i liberalnego establishmentu w USA to najgorsze z możliwych referencji. Media, takie jak CNN, przekonują, że w dobie polaryzacji i wojny kulturowo-rasowej toczącej się w USA wejście tak konserwatywnej sędzi do Sądu Najwyższego tylko pogłębi podziały.

SEKTA I POSTKOLONIALIZM

Pojawiły się więc oskarżenia o członkostwo Barrett w katolickiej sekcie. Powodem jest przynależność prawniczki do wspólnoty charyzmatycznej Ludzie Chwały (People of Praise) w jej rodzinnym mieście South Bend w Indianie, gdzie znajduje się Uniwersytet Notre Dame. Byli członkowie grupy nazwali ją w rozmowie z pismem „Politico" organizacją „sekretną", bo ten, kto chce do niej należeć, musi złożyć zobowiązanie „wzajemnej pomocy i wsparcia". To brzmi prawie jak tajna przysięga, ale nią nie jest. Treść zobowiązania można znaleźć w internecie. „Grupa jest głęboko zintegrowana z lokalną społecznością i sprzeciwia się liberalnym zmianom społecznym" – pisze „Politico". Do tego People of Praise prowadzi szkołę, w której promuje czystość, wartości rodzinne i tradycyjne role płciowe. I to tu należy tak naprawdę szukać źródła krytyki.

Gdyby tego było mało, Barrett musiała się zmierzyć z zarzutem „kolonializmu". Lata temu Barrett i jej mąż zaadoptowali dwójkę dzieci z Haiti. Przeszkadza to Ibramowi Kendiemu, założycielowi i dyrektorowi Centrum Badań Antyrasistowskich uniwersytetu w Bostonie. Według niego dzieci prawniczki to „rekwizyty", które mają chronić ją przed zarzutem rasizmu. Jak dodał, jest to „jedyny powód adopcji przez białych czarnych dzieci". „Niektórzy biali kolonizatorzy adoptowali czarne dzieci, by używać ich jako rekwizytów i pozbawić je resztek człowieczeństwa" – napisał Kendi na Twitterze. Jego wpisy wywołały spore oburzenie, z żądaniami jego zwolnienia z uniwersytetu włącznie. Nie zatrzymało to jednak dyskusji. Działaczka Partii Demokratycznej Dana Houle zażądała śledztwa w sprawie adopcji dzieci Barretów, bo mogła być „nielegalna", a jeden z jej partyjnych kolegów domagał się, by „odpowiednie służby sprawdziły, jak prawniczka i jej mąż traktują swoje czarnoskóre dzieci". Organizacje LGBT także protestują przeciwko jej nominacji, bo ich zdaniem prawniczka nie będzie potrafiła oddzielić „wiary od orzeczeń w sprawach dotyczących osób nieheteronormatywnych".

Jest to zapewne dopiero początek ataków, Trump chce bowiem przepchnąć kandydaturę Barrett jak najszybciej. Najlepiej jeszcze przed listopadowymi wyborami prezydenckimi. Demokraci tymczasem przekonują, że z powołaniem nowego sędziego nie ma się co spieszyć. Według nich jednym z ostatnich życzeń Ruth Bader Ginsburg przed jej śmiercią było to, by została ona zastąpiona w Sądzie Najwyższym dopiero po wyborach. Kandydat demokratów na prezydenta Joe Biden wezwał więc amerykański Senat, by przed wyborami nie zatwierdzał nominacji do Sądu Najwyższego. Senat, w którym republikanie mają większość (a prosta większość wystarczy, by zatwierdzić nominację Barrett), go jednak raczej nie posłucha. Republikański senator z Florydy Rick Scott podkreślił w rozmowie z gazetą „Jacksonville Morning News", że jest „pod olbrzymim wrażeniem Barrett" po pierwszym spotkaniu z prawniczką i uważa, że „procedura jej zatwierdzenia powinna się zakończyć jak najszybciej, najlepiej jeszcze „przed wyborami". Pierwsze przesłuchania Barrett w Senacie mają się rozpocząć 12 października. Według Scotta ataki na nią są „zupełnie nieuzasadnione".

CNOTA JOEGO BIDENA

Jak się okazuje, nie tylko republikański senator tak uważa. Również część bazy demokratów sądzi, że ataki na Barrett są co najmniej „niemądre". Jak pisze dziennik „San Francisco Chronicle", przez ostatnie lata wielu katolików odwróciło się od Trumpa, który należy do Kościoła prezbiteriańskiego, ale jest zdecydowanie niepraktykujący. Sondaż zrealizowany w sierpniu wśród katolików i protestantów w kilku kluczowych stanach, jak Wisconsin, Michigan, Pensylwania czy Floryda, wykazał 11 proc. wzrostu poparcia dla Bidena, katolika, który nosi w kieszeni różaniec i chodzi co tydzień na mszę. To, że kandydat demokratów nie sprzeciwia się aborcji, tu nie przeszkadza, jak zapewnia w rozmowie z gazetą ewangelicki pastor Doug Pagitt, szef organizacji Głosuj na Wspólne Dobro (Vote Common Good), która od dwóch lat lobbuje wśród chrześcijan za kandydatem demokratów. Według niego Biden byłby zdecydowanie lepszym prezydentem niż Trump. I nie ma to nic wspólnego z prowadzoną przez niego polityką. „Po prostu jest bardziej cnotliwy" – uważa pastor. Jak pokazał sondaż Pew Research Centre z 2019 r., ponad połowa katolików amerykańskich i tak popiera prawo do aborcji. W wyborach w 2016 r. głosowali na Trumpa, tym razem mogą zagłosować na Bidena. Jeśli nie poczują się na tle kampanii przeciwko Barrett „zaszczuci i wykluczeni". „Znowu wyjdzie na to, że demokraci boją się religii i ludzi wierzących. Na co to komu?" – pyta Pagitt.

> Jeśli Barrett trafi do Sądu Najwyższego, konserwatyści mieliby w nim przewagę nad liberałami sześć do trzech. Demokraci obawiają się, że Sąd Najwyższy w takim składzie zrewiduje wiele światopoglądowych orzeczeń

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Kokaina,
waluta rosyjskich służb specjalnych

MAREK BUDZISZ

Dlaczego w brytyjskim Salisbury Rosjanie próbowali otruć nowiczokiem Siergieja Skripala i jego córkę? Rosyjski dziennikarz Artem Krugłow, który od lat bada początki kariery, jeszcze z czasów petersburskich, Władimira Putina i losy ludzi, którzy go wówczas otaczali, twierdzi, że jednym z motywów mogła być chęć zablokowania dochodzeń hiszpańskiej policji przeciw rosyjskim mafiosom. Handlarzom broni i narkotyków

Liderzy zorganizowanej przestępczości, tacy jak wywodzący się z Petersburga Gena Pietrow (uchodzący za patrona ministerialnej kariery Anatolija Sierdiukowa, byłego szefa rosyjskiego MON, którego poznał w burzliwych latach 90., kiedy „ochraniał" jego sklep meblowy, prowadzony wówczas przez byłego ministra, a dziś prezesa największego rosyjskiego holdingu lotniczego), osiedlali się na początku stulecia w Hiszpanii. Pietrow wybrał kurort Marbella, gdzie po sąsiedzku z nim zamieszkał Monzer al-Kassar, nazywany też „księciem Marbelli".

Al-Kassar swą międzynarodową karierę związaną z handlem bronią zaczynał od związków z rosyjskimi służbami specjalnymi. Schemat ówczesnych operacji był dość prosty – Rosjanie dostarczali Palestyńczykom i Syryjczykom broń, w czym pośredniczył al-Kassar, oskarżany zresztą o udział w porwaniu znanego statku wycieczkowego „Achille Lauro", a ci płacili im narkotykami. I za związki z narkotykowym biznesem syryjski handlarz broni został w 2007 r. aresztowany, po tym jak amerykańska agencja DEA zorganizowała przeciw niemu prowokację, polegającą na kontrolowanym zakupie, w ramach schematu broń za narkotyki, której stroną miała być kolumbijska lewicowa partyzantka FARC. Za podobnego rodzaju „handel" w amerykańskim więzieniu znalazł się później, wytrwale broniony przez rosyjską dyplomację, Wiktor But, inny powiązany z Rosją handlarz bronią.

Ale jak z tym wszystkim ma być powiązany Skripal? Otóż zdaniem Krugłowa przewerbowany przez zachodnie służby specjalne Skripal był na początku stulecia, kiedy i Pietrow, i al-Kassar, i inni liderzy rosyjskiego świata przestępczego osiedlali się na hiszpańskim wybrzeżu, attaché wojskowym rosyjskiej ambasady w Madrycie. Bez jego pomocy, kontaktów, wiedzy i „kryszy" nie tylko ich przyjazd do Hiszpanii, lecz też możliwość „prowadzenia interesów" nie byłaby możliwa. „The New York Times" ujawnił, że Skripal współpracował blisko z hiszpańskimi służbami specjalnymi, które przygotowywały kolejną wielką operację przeciw rosyjskiej mafii w swoim kraju (w ciągu ostatnich 15 lat

eprasa.pl 4d5a6e53a5

przeprowadzono trzy podobne). Podobnie zresztą jak zamordowany w 2006 r. w Londynie Aleksandr Litwinienko, który wówczas również blisko współpracował z hiszpańskimi służbami prowadzącymi dochodzenie przeciw rosyjskim „worom w zakonie". I wówczas, i teraz wiele tropów prowadzi do Petersburga początku lat 90. ubiegłego wieku oraz ludzi, którzy wówczas zaczęli robić polityczne kariery.

ARGENTYŃSKI SZLAK

W lutym 2018 r. brytyjski dziennik „The Telegraph" opublikował artykuł, w którym opisywał tajemniczą podróż z grudnia poprzedniego roku sekretarza rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa Patruszewa, jednego z najbliższych współpracowników Putina. Oficjalnie podpisał on z Argentyną umowę o współpracy między służbami, ale nieoficjalnie, jak ujawniono, poleciał tam, by „zabetonować" inną bombę. Był nią odkryty w budynku rosyjskiej szkoły, znajdującej się na terenie rosyjskiego kompleksu dyplomatycznego w Buenos Aires, ładunek bardzo czystej kokainy (ponad 80 proc., podczas gdy oferowana w Europie ma niewiele więcej niźli 40 proc.), który znajdował się w kilkunastu walizkach. 12 walizek, w których znajdowało się 369 kg narkotyków, to była, jak się później okazało, tylko część dość regularnie wysyłanych przez rosyjskich dyplomatów przesyłek objętych immunitetem z dość podejrzaną zawartością.

Prowadzone przez dwa lata śledztwo w tej sprawie, zarówno przez policję argentyńską, jak i rosyjską, doprowadziło do zdemaskowania grupy przestępczej, którą zdaniem śledczych miał kierować Andriej Kowalczuk, postać dość tajemnicza i dwuznaczna. Przez jednych uznawany za współpracownika rosyjskich służb specjalnych, w tym wywiadu wojskowego, przez innych za awanturnika, mitomana, współczesnego Münchhausena czy pułkownika z Köpenick.

To ostatnie porównanie wydaje się lepsze, bo pewne jest tylko, że Kowalczuk ukończył wyższą uczelnię wojsk powietrznodesantowych w Riazaniu, a potem „rozpłynął się" w burzliwych latach 90. Kiedy wrócił, podawał się za współpracownika GRU, konsultanta Gazpromu, oficera odpowiedzialnego za ochronę rosyjskich placówek dyplomatycznych. Miał niezwykły dar zjednywania sobie rosyjskich ambasadorów, konsulów, dyrektorów departamentów w MSZ czy wyższych rangą oficerów.

Dziennikarskie Centrum Dossier, któremu patronuje Michaił Chodorkowski, przeanalizowało tomy akt i setki godzin podsłuchanych przez argentyńską policję rozmów telefonicznych i doszło do wniosku, że wyniki śledztwa w sprawie niemal 600 kg kokainy, która znajdowała się w rosyjskiej ambasadzie w Buenos Aires (ustalono, że wcześniej pocztą dyplomatyczną wysłano przez Urugwaj dodatkowe 200 kg), są więcej niż wątłe. Skoncentrowano się na płotkach, a nie wiadomo, kto sfinansował i opłacił wart kilkadziesiąt milionów dolarów transport, nie ustalono również, dla kogo miał być on przeznaczony i ile podobnych „przesyłek" udało się wcześniej nadać. Nawet nie wiadomo, czy narkotyki rzeczywiście spalono w Buenos Aires (miejscowa policja zrobiła to bardzo pospiesznie, nie mając nawet stosownego postanowienia sądu), czy zabrał je na pokład służbowego samolotu Nikołaj Patruszew, bo jest i taka wersja. Jednak nawet to, co udało się ustalić, intryguje.

Otóż do transportu kokainy z Argentyny używano samolotów specjalnej rządowej jednostki lotniczej Rosja, z usług regularnie korzysta m.in. sekretarz Rady Bezpieczeństwa Nikołaj Patruszew. W dokumentach dochodzenia znajduje się też zeznanie Michaiła Kazancewa, dowódcy jednej z jednostek rosyjskich wojsk wewnętrznych, który wespół z Kowalczukiem poszukiwał

eprasa.pl 4d5a6e53a5

samolotu, który miałby odbywać regularne loty do Argentyny po „ładunek". Powiedział on na przesłuchaniu, że widział u niego legitymację pułkownika rosyjskiego wywiadu i nawet przez chwilę nie miał wątpliwości, kto rzeczywiście kieruje całym procederem.

EKSPERYMENT W DUMIE

Te przypuszczenia potwierdzałyby zeznania zatrzymanych i fragmenty nagranych rozmów, z których wynikało, że część przechwyconego transportu stanowiło „zamówienie" deputowanych do rosyjskiej Dumy Państwowej. O tym, że konsumpcja białego proszku nie jest tam niczym nadzwyczajnym, świadczy eksperyment rosyjskich dziennikarzy, którzy wzorem swych kolegów z „The Sun" czy „Bilda" przeprowadzili w Dumie Państwowej ciekawe badanie. Otóż odwiedzili znajdujące się tam toalety, również te, do których dostęp mają wyłącznie posłowie, pobrali „materiał do badań" i wysłali go do specjalistycznego laboratorium. Wyniki, jakie otrzymali, zdziwiły ich samych – 75 proc. próbek zawierało ślady kokainy.

Kilka miesięcy po historii z kokainą w rosyjskiej ambasadzie w Buenos Aires policja w Belgii odkryła na jednym ze statków w porcie w Gent dwie tony kokainy w paczkach. Najciekawsze jest to, że każdy z tych pakietów zaopatrzony był w ulotkę z godłem Jednej Rosji, rosyjskiej partii władzy. Ładunek pochodził z Brazylii. Sekretarz generalny partii Jewgienij Rawenko obrócił całą sprawę w żart, mówiąc, że jego formacja jest już tak na świecie znana, iż nawet baroni narkotykowi z Ameryki Południowej „zdecydowali się z tego powodu na użycie logotypu partii".

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

Kilkanaście dni przed ujawnieniem kokainy w rosyjskiej ambasadzie w Buenos Aires do portu w Prai, stolicy archipelagu Wysp Zielonego Przylądka, zawinął pływający pod marokańską flagą, ale z rosyjską załogą, statek handlowy. Został zmuszony do zmiany swojej marszruty, bo jeden z członków załogi ciężko się rozchorował. Służby celne tego niewielkiego, znajdujących się 450 km na zachód od wybrzeży Afryki (na wysokości Senegalu) państwa, odkryli w jego ładowniach 9,5 tony kokainy. Zdaniem rosyjskich ekspertów ładunek ten płynął z Wenezueli, która stała się obecnie głównym nadawcą „białego proszku", do Europy. Ich zdaniem reżim Maduro, dla którego jedynym oparciem jest armia, przekazał wojskowym nadzór nad wenezuelskimi służbami celnymi i portami, co w języku realnej polityki oznacza, że teraz wojskowi „ochraniają" kanały przerzutu narkotyków, czerpiąc z tego profity.

> Kilka miesięcy po historii z kokainą w rosyjskiej ambasadzie w Buenos Aires policja w Belgii odkryła na jednym ze statków w porcie w Gent dwie tony kokainy w paczkach. Najciekawsze jest to, że każdy z tych pakietów zaopatrzony był w ulotkę z godłem Jednej Rosji, rosyjskiej partii władzy

Przed tygodniem kolumbijskie służby specjalne poinformowały, że udało się im udaremnić zamach na prezydenta Ivána Duque Márqueza. O jego zorganizowanie oskarża się terrorystów z FARS albo secesyjnej grupy ELN, jednak – jak informują media – intrygującym tropem jest też to, że wśród zatrzymanych są dwaj cudzoziemcy – obywatele Izraela i Rosji. Jak powiedział mediom kolumbijski minister obrony Guillermo Botero, zgładzeniem prezydenta Kolumbii może być zainteresowany rząd w Caracas, który wspiera lewicową partyzantkę, kontrolującą produkcję kolumbijskiej kokainy. A trzeba pamiętać, że 80 proc. jej światowej podaży pochodzi z tego kraju. Obecność rosyjskich „doradców" w grupie zamachowców w opinii Botero nie jest niczym zaskakującym.

Mieszkający obecnie w Hiszpanii były mer Caracas Antonio Ledezma w czasie spotkania z dziennikarzami latem tego roku przestrzegł światową opinię publiczną przed narastającymi dostawami rosyjskiego sprzętu wojskowego dla reżimu w Wenezueli. W jego opinii krajem rządzi grupa ludzi, którzy w istocie zbudowali „kryminalną korporację" kontrolującą handel narkotykami i bronią. Przy czym w jego opinii sytuacja jest znacznie gorsza niźli współpraca z lat 60. ubiegłego wieku między Kubą a ZSRR. Obecnie powstała, w opinii Ledezmy, cała międzynarodowa koalicja, której celem jest dywersja i obalanie sympatyzujących z Zachodem rządów Ameryki Łacińskiej. Rosja zaopatruje reżim Maduro w najnowocześniejszą broń, systemy rakietowe Grad i Smiercz, myśliwce Su-30, wyrzutnie rakietowe Buk i Tor, a mówi się nawet, że w najbliższej przyszłości nawet S-400. Nie ma też wątpliwości, że wenezuelskie służby specjalne blisko kooperują z ich rosyjskimi odpowiednikami.

Wszystko to prowadzić ma do destabilizacji sytuacji wewnętrznej w kolejnych państwach kontynentu, a zawsze w tle pojawiają się kwestie związane z handlem narkotykami i nadużywaniem władzy przez rządzących. Ostatnio taki skandal wybuchł w Argentynie, kiedy okazało się, że poprzednia ekipa podsłuchiwała na masową skalę polityków opozycji i zbierała na nich haki. Były prezydent kraju Mauricio Macri taktycznie wraz z rodziną udał się na nieokreślony czas do Szwajcarii, a ostrze oskarżeń skupia się obecnie na byłej minister do spraw bezpieczeństwa Patricii Bullrich. Co ciekawe, to ona była rozmówczynią Nikołaja Patruszewa w trakcie jego tajemniczej wizyty w Buenos Aires i rozkazała spalić kokainę znalezioną w rosyjskiej ambasadzie. Nie wiadomo tylko, czy niszczone paczki zawierały narkotyk, bo rosyjscy dziennikarze z Centrum Dossier mają co do tego poważne wątpliwości.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Nawet z pięćdziesiątką na karku chętnie szukał w sobie Pinokia. Żywiołowego i niesfornego. W najnowszej ekranizacji książki Collodiego 68-letni Roberto Benigni udowadnia, że dojrzał do roli Geppetta

Zrozumieć Geppetta

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 4d5a6e53a5

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Musiało minąć 18 lat od premiery filmu, w którym obsadził się w roli niesfornej kukiełki (i zarazem jednej z najważniejszych dla Włochów literackich postaci), by widzowie zamiast nadekspresyjnego komika zobaczyli w Roberto Benignim aktora dramatycznego. Kogoś, kto nie jest już Pinokiem. Kto – rezygnując z tak charakterystycznych dla niego scenicznych zachowań – w przejmujący sposób wciela się w starego człowieka. Sponiewieranego życiem biedaka, który nie stracił potrzeby miłości. Gotowego na ojcowską czułość, oddanie i poświęcenie.

Do polskich kin trafia właśnie film Mattea Garrone „Pinokio". Od pierwszych scen oczarowuje stylistyką nawiązującą do ilustracji z najwcześniejszych wydań książki Collodiego. Dzięki postaci stworzonej przez Benigniego zyskuje dodatkowe znaczenia.

Zaklinający rzeczywistość Geppetto – kruchy wobec losu, lecz zarazem niepoddający się – przypomina najgłośniejsze aktorskie i reżyserskie osiągnięcie Benigniego – nagrodzonego w 1999 r. trzema Oscarami (w tym za pierwszoplanową rolę męską i najlepszy nieanglojęzyczny tytuł) za „Życie jest piękne".

W tamtym filmie ojciec próbował chronić swojego synka przed opresją wojny, kreując pozór bezpiecznego mikroświata. Dwie dekady później ojciec, który ma już swoje lata, porzuca wszystko, co znał, by odnaleźć utracone dziecko i sens życia.

Pozbawiony nadekspresyjnej mimiki i ruchów dawnego komika, wyciszony Geppetto przywołuje też skojarzenia z postaciami filmów Felliniego. Zresztą – co Benigni chętnie powtarzał – mistrz włoskiego kina nazywał go Pinokiem. Sam aktor też pielęgnował w sobie przekonanie, że wiele jest w nim z niesfornego, ciekawego świata pajacyka o szczerym sercu.

ŻYCIE BYWA TWÓRCZE

Urodzony 27 października 1952 r. Roberto, zanim zdecydował się zostać komikiem i aktorem, ukończył szkołę dla księgowych, a potem... seminarium duchowne we Florencji. Ostatecznie porzucił rodzinną Toskanię, by bawić ludzi w Rzymie. Zaczynał od występów na ulicy i na scenach awangardowych. Pod koniec lat 70. ub.w. za sprawą braci Bertoluccich (Giuseppe i Bernardo) trafił na filmowe plany. Także w produkcjach Costy-Gavrasa czy Federica Felliniego.

To podczas zdjęć do ostatniego swojego obrazu – „Głosu z księżyca" (1990) Fellini namaścił ponoć Benigniego na „Pinochietto". Stworzyli nawet pierwsze szkice do filmu z Robertem w głównej roli.

Nim jednak Benigni ożywił drewnianą kukiełkę w aktorskiej kinowej opowieści, ćwierć wieku wcześniej zadebiutował jako scenarzysta i reżyser w filmie „Tu mi turbi" (1983). Trzy lata później rozpoczął współpracę z niezależnym amerykańskim twórcą Jimem Jarmuschem, stając się jednym z jego ulubionych aktorów („Poza prawem" czy „Noc na Ziemi").

ŻYCIE BYWA PIĘKNE

Naprawdę głośno zrobiło się jednak wokół Benigniego za sprawą nakręconego w 1997 r. filmu „Życie jest piękne" i gali Oscarów 1999 r. Powtórnie w historii nagrody amerykańscy akademicy wyróżnili wtedy rolę zagraną w języku włoskim. Gdy Sophia Loren (która w 1962 r. odebrała statuetkę za film „Matka i córka") ogłosiła, że aktorskiego Oscara otrzymuje Benigni, ten z radości wskoczył na oparcie fotela, pokonał w ten sposób dwa rzędy, a potem w podskokach dotarł na scenę.

Czy już wtedy myślał, jak bardzo zbliżył się do zrealizowania swojego marzenia? Przeniesienia na ekran opowieści „tak bogatej i głębokiej, że trudno jednoznacznie sformułować jej przesłanie", w której „przygoda i smutek; chęć życia, radość i zniechęcenie; okrucieństwo i bohaterstwo łączą się z wszechobecną miłością".

Nakręcona w 2002 r. ekranizacja „Pinokia" (jedna z najdroższych produkcji w historii włoskiej kinematografii), w której 50-latek zagrał niesfornego chłopca, okazała się kasową klapą. Zwłaszcza w USA. Film dostał tam cztery nominacje do Złotych Malin, a Begnini – statuetkę dla najgorszego aktora.

ŻYCIE TO POWROTY

Od czasu tej porażki Benigni wyreżyserował tylko jedną produkcję – wojenny romans „Tygrys i śnieg" (2005) i zagrał u Jima Jarmuscha („Kawa i papierosy", 2003) oraz Woody ego Allena („Zakochani w Rzymie", 2012).

Dziewięć lat temu pokazał jeszcze rodzimej publiczności, co znaczy zrobić show. Na festiwalu w San Remo, podczas wieczoru z okazji 150. rocznicy zjednoczenia Włoch, wjechał na scenę na białym koniu, a potem porwał widownię płomiennym monologiem.

Przy okazji polskiej premiery filmu o drewnianej kukiełce powtarzał: „Pinokio to ja". Dziś w obrazie Mattea Garrone mówi widzom: „Zrozumiałem też Geppetta".

Fot. Materiały prasowe

Reklama | 37/0920/F

eprasa.pl 4d5a6e53a5

PPK
Ja zostaję!
bo to moje dodatkowe pieniądze
Pracownicze Plany Kapitałowe
PFR
Grupa Polskiego Funduszu Rozwoju
www.mojeppk.pl

3 MIŁOŚCI

To jest inwazja

ROBERT TEKIELI

Hej, co robi ta opaska na twojej nodze? – Zsunęła mi się z głowy. Mniej więcej tak wyglądają rozmowy z zadowolonymi z siebie mieszkańcami dużych miast. Oni naprawdę chcą nas ucywilizować. Oświecić. Zedrzeć kołtun ciemnocie. Ci ludzie wierzą, że Polacy szarżowali z szablami na czołgi. Tak ich wykształcili. Są przekonani, że scena z filmu „Lotna", w której ułan próbuje szablą odrąbać lufę czołgu, to reportaż z pola walki, a nie symboliczny wyraz narodowej apostazji Andrzeja Wajdy. Oni naprawdę są oburzeni prześladowaniami osób LGBT w Polsce.

Nie wszyscy z nich są cynikami i przynajmniej część ma dobrą wolę. Oni szczerze mają nas za moherowych troglodytów. Nie są w stanie dostrzec braku logiki w wywodach swoich idoli. Zostali odcięci od klasycznego wykształcenia. Mają swój oddalony od rzeczywistości świat, są np. święcie przekonani, że istnieją prawa zwierząt. Zwierzę to nie rzecz, ale nie jest osobą. A prawa mogą mieć tylko osoby. Za psa, który pogryzie człowieka, odpowiada właściciel. Obrońcy „praw" zwierząt cofnęli nas do czasów, gdy postawiony przed sądem koń, który kogoś stratował, był skazywany na karę śmierci. A przecież zwierzę nie jest w stanie odróżnić dobra od zła. Kochani, nie ma praw zwierząt, jest troska i odpowiedzialność.

Wykształceni inaczej oburzyliby się, gdyby powiedzieć im, że głoszą marksistowską ideologię. Skąd mają wiedzieć, że w 1884 r. Fryderyk Engels w książce „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa" uznał monogamiczną rodzinę za szkodliwy przeżytek. Nie mają pojęcia, że w 1918 r. bolszewicy zgodnie z opartą na przemyśleniach Engelsa dyrektywą Trockiego w kolejnych zdobywanych rosyjskich miastach ogłaszali dekret o nacjonalizacji i dystrybucji kobiet. Skasowanie takich pojęć jak „moja żona", „mój mąż" komuniści osiągali za pomocą losowania. Kobieta musiała przez kwartał żyć z mężczyzną, który ją wylosował. Do następnego losowania. Obywatele mężczyźni mieli też „prawo korzystać z kobiety nie częściej niż cztery razy w tygodniu i nie dłużej niż przez trzy godziny". Chodziło o młode dziewczyny w wieku od 16 do 25 lat.

I teraz płynnie przechodzimy do czasów współczesnych. Rok temu niemiecka feministka Bini Adamczak w rozmowie o „niesamowitym wydarzeniu w historii ludzkości", czyli o rewolucji październikowej, tak mówiła w „Bez dogmatu": „Nowe prawo dotyczące małżeństwa było najbardziej postępowe na świecie (...) pozwalało na ślub lub rozwód za pomocą zaledwie jednej kartki papieru". Bolszewicy „nie chcieli uczynić mężczyzn i kobiet równymi i dać im pełne uznanie. Chcieli całkowicie znieść system podziału na płeć". Rewolucyjna konsekwencja i kontynuacja od 1884 do 2019 r. Jednak wykształceni inaczej powtarzają za ideologami, że antyrodzinna, neomarksistowska ideologia gender/LGBT nie istnieje. Opaska co rusz osuwa się im z głowy na nogę. Nie poradzisz.

Tyle naszego, że rewolucja zaczyna pożerać własne dzieci. J.K. Rowling, ikona feminizmu, autorka „Harry'ego Pottera", zażarta przeciwniczka brexitu i Donalda Trumpa, opublikowała kryminał, w którym występuje transseksualny seryjny morderca. No ale tak przecież nie może być. Oburzeni pracownicy firmy Avalanche Software nie chcą pracować nad grą o Harrym Potterze z racji „transfobii Rowling". Zatrudnieni w dziale dziecięcym Hachette zagrozili odejściem z pracy, jeżeli wydawnictwo wyda jej nową powieść. Redaktor „Heartbroken", największego na świecie fanklubu Harry'ego Pottera, zachęca do zaprzestania kupowania książek Rowling. Potępili ją Daniel Radcliffe i Emma Watson. A sprawę rozstrzygnął polski portal NaTemat: „Jednym wpisem J.K. Rowling zakwestionowała właśnie cały swój dorobek artystyczny". Rowling powiedziała przecież publicznie, że mianem kobiety można określić jedynie te osoby, które miesiączkują. A wszyscy wiedzą przecież, że „osoby niebinarne i transgenderowi mężczyźni również mają miesiączki".

Od czasów Engelsa wszyscy wiedzą też, że monogamia to skandal. Zatem w erze pandemii w trakcie przygodnych kontaktów seksualnych, kopulując, należy używać „maski zakrywającej nos i usta" i unikać całowania. Oświadczenie o tej treści wydała właśnie dr Theresa Tam, dyrektor ds. zdrowia publicznego w Kanadzie. To nie jest żart. Bestializacja ludzi ma różne oblicza. Czy opaska może się jeszcze bardziej obsunąć?

W sercach polskich dzieci Matkę Ojczyznę zastąpiła Matka Ziemia. Humanizuje się zwierzęta, a ludzi sprowadza się do jednej pożądliwości. Człowiek, któremu można wmówić wszystko, jest skrajnie niebezpieczny.

Cieszę się, że Węgry i Polska tworzą instytut monitorujący naruszenia praw człowieka w Unii Europejskiej. Wreszcie działania instytucjonalne. Ale państwo musi odzyskać dla cywilizacji zachodniej uniwersytet, szkołę i pomóc nieideologom odbić kulturę. Inaczej historia zatoczy koło.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

POPKULTURA

Warte

Dziś chyba najlepiej jest oglądać bajki dla dzieci. Choćby Disneyowski familijny film fantasy „Artemis Fowl". Ta „historia 12-letniego geniusza wywodzącego się z rodziny o długich przestępczych tradycjach" jest dostępna na platformie HBO GO. Jak piszą w reklamówce: „Chłopiec za wszelką cenę próbuje odnaleźć swojego uprowadzonego ojca. Aby spełnić żądania porywacza, Artemis musi przeniknąć do starożytnej podziemnej cywilizacji – niezwykle zaawansowanego świata wróżek – i zdobyć pewien nadzwyczaj potężny i pożądany magiczny przedmiot. Chłopak obmyśla więc przebiegły i niebezpieczny plan działania, który okazuje się na tyle niebezpieczny, że Artemis z czasem zostaje wciągnięty w sam środek groźnej wojny z wszechmocnymi magicznymi istotami". Bajka jest widowiskowa. Zrealizowana została na podstawie popularnej powieści Eoina Colfera pod tym samym tytułem. Twórcą obrazu jest Kenneth Branagh („Morderstwo w Orient Expressie"), wielokrotnie wyróżniany nominacją do Oscara aktor, który od wielu lat zajmuje się również reżyserią. Główną rolę kreuje 16-letni Irlandczyk Ferdia Shaw (to imię męskie, jak się okazuje), ponadto grają: 16-letnia wielkooka Lara McDonnell („Love Rosie", „The Delinquent Season"), amerykański komik Josh Gad („Piękna i Bestia"), 15-letnia Tamara Smart („Fatalna czarownica", „Are You Afraid of the Dark?"), z kamienia ciosany Nonso Anozie (serial „Dracula") oraz zdobywca Złotego Globu Colin Farrell („Pamięć absolutna", „Ondine"). Film nie jest nadzwyczajny, ale można go obejrzeć, choćby po to, by zobaczyć laureatkę Oscara, surową, bondowską M, czyli Judi Dench z przyprawionymi oślo-elfimi uszami.

„Artemis Fowl", reż. Kenneth Branagh, familijny/przygodowy, USA, premiera 12 czerwca 2020

POPKULTURA

Pull & Bear, niezwykle popularna globalna sieciówka dla nastolatków, wypuściła specjalną kolekcję ubrań poświęconą softpornograficznemu serialowi Netflixa „Sex Education". Uwaga widzów tej telewizyjnej serii cały czas jest koncentrowana na pozycjach seksualnych, prezerwatywach, związkach lesbijskich i takim oraz gejowskim seksie, a także na masturbacji. Sceny seksu nastolatków są wulgarne, aborcja jest normalna i dobra, a katolicy to oszołomy lub dziwaki. Na „seksedukacyjnych" ubraniach Pull & Bear umieszczono jedzenie i przedmioty symbolizujące seks i narządy płciowe, a także tęczowe motywy wspierające LGBT.

POPKULTURA

Ruszyły zdjęcia do trzeciego sezonu serialowego hitu TVP opartego na trzytomowej sadze Ałbeny Grabowskiej. Główne bohaterki „Stulecia Winnych" dorastają i naturalną koleją rzeczy grające je aktorki młodego pokolenia: Karolina Bacia i Weronika Humaj zostały zastąpione artystkami dojrzalszymi (Urszula Grabowska i Magdalena Walach). Jednak gdy tylko ta informacja wypłynęła, w internecie rozlała się fala niezadowolenia i niezasłużonego hejtu. Serial jest świetny, choć słabe jak dla mnie było uczynienie pozytywnym bohaterem księdza, który porzucił kapłaństwo, bo nie był w stanie dochować wierności Jezusowi. „Stulecie Winnych" opowiada o najnowszych dziejach Polski z perspektywy zwykłych ludzi. Ta opowieść o kilku pokoleniach rodziny Winnych rozpoczyna się w chwili wybuchu I wojny światowej, a kończy sto lat później.

„Stulecie Winnych", reż. Piotr Trzaskalski, historyczny/obyczajowy, Polska, premiera: najprawdopodobniej początek 2021 r.

Za tydzień o świetnie zrobionym i skrajnie feministycznym filmie Netflixa, którego bohaterką jest nastoletnia siostra słynnego Sherlocka Holmesa Enola Holmes, a teraz jeszcze anegdotka pokazująca, jak działa terror politycznej poprawności. O jego potędze świadczy np. autodafe polskiego oddziału światowego giganta rozrywkowego, jakim jest Disney. Na fanpage'u polskiego oddziału tej firmy jedna z internautek pod wpisem o filmie „Mulan" umieściła komentarz: „Bardzo miło obejrzeć film, w którym nie ma wepchanych na siłę murzynów i lgbt". W odpowiedzi pracownica firmy obsługującej społecznościówki Disney Polska dodała do komentarza emotikon z serduszkiem. Ten lajk kosztował Disneya 50 tys. zł – po zwróceniu uwagi korporacja natychmiast przeprosiła bowiem za to zdarzenie i ukarała się grzywną, przekazując rzeczone 50 tys. na konto Kampanii przeciw Homofobii. Samokrytyka jak za Stalina. Puenta? Biegiem do kin. Kierunek „Mulan"! Spocznij.

Robert Tekieli,
Polskie Radio

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Kino

Adamski poleca

W imię syna

Skazani na Shawshank", „W imię ojca", „Huragan", a ostatnio „Piątka z Central Parku" – produkcje o niesłusznie skazanych stanowią oddzielny podgatunek filmowy. Obraz „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy" może bez wstydu zostać postawiony obok najsłynniejszych filmów o ludziach zmielonych przez system. Porusza, oburza i zostawia nas z poczuciem przynajmniej częściowej sprawiedliwości.

O sprawie Tomasza Komendy, którego niesłusznie skazano na 25 lat więzienia (odsiedział lat 18), czytelnicy zapewne słyszeli. Nie będę więc streszczał akcji „25 lat niewinności..." Jana Holoubka. Bałem się powstania tego filmu tak szybko po opuszczeniu przez Komendę więzienia. Obawiałem się, że dostaniemy naprędce robioną, ckliwą, emocjonalnie szantażującą opowieść zanurzoną w tabloidowym sosie.

Jan Holoubek pokazał w serialu kryminalnym „Rojst", że wie, jak robić solidne kino gatunkowe z odpowiednio skrojonym scenariuszem i realizmem zbudowanego na ekranie świata oraz wpadającymi na dłużej w pamięć aktorskimi kreacjami. Najnowszy film spełnia wszystkie wymogi hollywoodzkiego kina opowiadającego o niewinnych skazańcach. Holoubek miał trudne zadanie. Pokazanie 18 lat z życia tak bardzo skrzywdzonego przez system człowieka jak Tomasz Komenda w dwugodzinnym filmie mogło szeleścić papierem. Jest to produkcja TVN, więc można się było spodziewać telewizyjnej narracji. Holoubek mógł też popaść w pretensjonalną przypowieść z publicystycznymi wtrętami. Debiutujący w fabule reżyser naznaczył jednak film własną wizualną wrażliwością, znaną ze swojego serialu (klaustrofobia, zimne barwy, realizm ulicznego języka), pilnując jednocześnie prawideł gatunku.

Holoubek i scenarzysta Andrzej Gołda skupili się nie tylko na społecznym aspekcie krzywdy takich ludzi jak Komenda, lecz również na dramacie konkretnego człowieka i jego rodziny. Kamera nie schodzi z Tomka Komendy, w którego rozdzierająco i przejmująco wciela się Piotr Trojan. Jego losy odbijają się w oczach jego mamy, bezbłędnie zagranej przez Agatę Kuleszę. To związek tych dwojga ludzi nadaje filmowi jego specyfikę i wynosi go ponad typową więzienną opowieść. Oboje walczą o wolność w imieniu drugiej osoby. To walka w imię matki i syna.

Jest to oczywiście film o więzieniu, jego hermetycznych prawach i przemocy, jaka spotkała człowieka uznanego przez współosadzonych za pedofila i dzieciobójcę. Holoubek nie pudruje tego, co się dzieje za kratami z ludźmi skazanymi za ten rodzaj zbrodni, ale jednocześnie nie epatuje krwią ani przemocą. Choć więzienie jest tylko częścią tej historii, to sporo udaje się twórcom powiedzieć o więziennym kodeksie i mentalności skazańców. Świetny epizod tworzy Jan Frycz, który staje się w pewnym stopniu obrońcą Komendy w celi.

Świat zza krat jest tylko jednym z elementów historii, w której mieści się jeszcze brutalność i skorumpowanie policji, walka „jedynego sprawiedliwego" szeryfa (Dariusz Chojnacki) i portret biednej, ale kochającej się rodziny Komendy. Holoubek tę sporą liczbę wątków dobrze rozgrywa, choć nie unika pewnych potknięć. Obsadzenie w zupełnie nijakiej epizodycznej roli Bartosza Bieleni z „Bożego Ciała" wygląda jak chwyt czysto komercyjny, natomiast ponowne zrobienie z Andrzeja Konopki zdeprawowanego sadysty jest banalne. Od pierwszych sekund, gdy pojawia się na ekranie, wiemy, że „ten facet" zrobi Tomkowi krzywdę. Żal, że polskie kino nie potrafi tego znakomitego charakterystycznego aktora mądrze wykorzystać.

W pewnym momencie miałem wrażenia, że film rozpada się na trzy części i wymknie się Holoubkowi z rąk. Tak się nie dzieje, mimo że wątek ponownego śledztwa odsłaniającego patologię wymiaru sprawiedliwości toczy się w stronę trochę zbyt oddzielnego kina. Debiutujący w fabule reżyser umiejętnie go balansuje, skupiając się na istocie tej opowieści. „25 lat niewinności..." najmocniej ściska emocjonalnie w scenach Tomka z matką. Trojan i Kulesza bez fajerwerków i aktorskich szarż budują przejmującą więź między synem a matką, ratujących się wzajemnie w momentach zwątpienia. Kulesza zasłużyła na festiwalowe laury za drugi plan.

Poruszające jest też finałowe pojawienie się na ekranie samego Komendy, stojącego w miejscu, które kochał. Jego uśmiech podążający za odchodzącym filmowym Tomkiem jest wart więcej niż tuzin scen opowiadających o uczuciach człowieka, który za kratkami stracił najlepsze 18 lat swojej młodości. I tak nikt z nas w pełni nie zrozumie, co taki człowiek czuje. Ten film pozwala nam zajrzeć za kulisy jego dramatu wystarczająco mocno. To bardzo mocny obraz i zostanie z nami na dłużej.

„25 LAT NIEWINNOŚCI. SPRAWA TOMKA KOMENDY"
REŻ. JAN HOLOUBEK, DYSTR. KINO ŚWIAT

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Pięknie opakowany banał

Internet

Upiorne oddziałowe są ważną częścią kina grozy. Nawet jeżeli nie przemierzają złowieszczo szpitalnych korytarzy ze strzykawką w ręku i gwizdem na ustach jak Elle Driver w Tarantinowskim filmie „Kill Bill", to prześladują swoje ofiary w domu niczym Misery Chastain z powieści Stephena Kinga. Krwiożerczych pielęgniarek w popkulturze było wiele, ale tylko jedna była naprawdę przerażająca. Siostra Mildred Ratched z książki Kena Keseya „Lot nad kukułczym gniazdem" (1962) była uosobieniem pasywno-agresywnego zła. Dla beatnika i hipisa Keseya była wyrazem opresyjności amerykańskiego systemu politycznego, który z uśmiechem na ustach wsadza wszystkich wolnomyślicieli w kaftan bezpieczeństwa.

Czech Miloš Forman w swoim filmowym arcydziele z 1975 r. jeszcze szerzej postać zinterpretował, naznaczając nagrodzoną pięcioma Oscarami adaptację swoimi przeżyciami zza żelaznej kurtyny. Jego „Lot nad kukułczym gniazdem" był uniwersalną opowieścią o potrzebie wolności nie tylko od totalitarnego reżimu, lecz także kajdan, które każdy z nas dobrowolnie sobie zakłada. Film Formana zajmuje wysokie miejsce na mojej prywatnej liście 10 filmów wszech czasów. Zagrana fenomenalnie (Oscar za rolę) przez Louise Fletcher siostra Rached to w moim przekonaniu jedna z najbardziej przerażających postaci kina.

Mistrzyni manipulacji, nosząca maskę miłosiernej kobiety, z idealnie skrywaną podskórną nienawiścią i pulsującymi seksualnymi frustracjami „wielka siostra", jak ją nazywają u Keseya, miała w sobie zło nie do końca zdefiniowane. Obnażył je dopiero Randle McMurphy, choć i jego batalia nie dotarła do jej istoty. Wariacja na temat przyczyn zła tkwiących w siostrze Ratched sama w sobie jest fascynująca. Niestety twórcy serialu Netflixa „Ratched" poszli po linii najmniejszego oporu, interpretując siostrę zgodnie z kluczem najbardziej wyświechtanych norm politycznej poprawności.

Rok 1947. Mildred Ratched (Sarah Paulson) przybywa do małego miasteczka w północnej Kalifornii, gdzie zatrudnia się w zakładzie dla umysłowo chorych. Miejsce słynie z nowatorskich i bardzo kontrowersyjnych metod „leczenia", polegających na dokonywaniu tajemniczej jeszcze lobotomii. Ratched jest zabójczo (dosłownie) ambitną pielęgniarką, więc od razu wchodzi na wojenną ścieżkę z siostrą przełożoną o imieniu Betsy (Judy Davis). Na dodatek w zakładzie zostaje zamknięty spokrewniony z Ratched maniakalny morderca Edmund (Finn Wittrock). Mildred cierpi z powodu własnych demonów, przyniesionych z frontów II wojny światowej, gdzie służyła jako pielęgniarka. Punkt wyjścia serialu jest obiecujący. Zaczynamy rozumieć seksualne frustracje siostry, widzimy, jak rodziły się jej zdolności manipulacyjne i powoli wgryzamy się w jej pokręcony świat. Niestety już w pilocie „Ratched" wszystko zostaje sprowadzone na bardzo przewidywalne i znane tory. Skąd znane?

Wcale nie z książki Keseya ani filmu Formana. Są to chwyty zaczerpnięte z serialu „American Horror Story". Autorem „Ratched" jest bowiem współtwórca tej zdumiewającej i częściowo genialnej antologii Ryan Murphy. Wysmakowane zdjęcia, wymyślne kostiumy, zabawa gatunkiem (nawiązania do „Milczenia owiec") oraz paletą barw rodem z kina Wesa Andersona, wystylizowana obrazowa przemoc i niespodziewanie obsadzone gwiazdy w rolach szaleńców i ekscentryków (tutaj zaskoczy was sama Sharon Stone!) – wizualnie „Ratched" zachwyca. Problem w tym, że za pięknym opakowaniem niewiele się kryje.

Owszem, twórcy zgłębiają umysł Mildred, ale robią to tak do bólu politpoprawnie, że każdy entuzjasta powieści Keseya i filmu Formana musi czuć ból zębów jak w scenie z „Maratończyka". Skąd frustracje seksualne, które eksplodowały w finale „Lotu..."? Otóż siostra, według interpretacji twórców, jest lesbijką, której orientacja seksualna została zniszczona przez konserwatywne społeczeństwo. Skąd nienawiść do mężczyzn? Wszystko narodziło się w czasie wojny, gdy Mildred miała fantazję o gwałcie dokonanym przez rannego żołnierza. Jej zbrodnie wynikają więc z ucisku starej patriarchalnej Ameryki. Nie mam problemu z taką interpretacją ideologiczną, skoro sam Kesey był rewolucjonistą i beatnikiem, a Forman dwie dekady po „Locie..." z pornografa Larry'ego Flynta uczynił ikonę walki z konserwatywnym uciskiem. Możliwe, że obaj by „zatwierdzili" nowy przekaz. Dlaczego jednak interpretacja Ryana Murphy'ego jest tak jednowymiarowa i banalna?

Siłą „Lotu nad kukułczym gniazdem" jest jego wielowarstwowość. Siostra Ratched przerażała tym, co miała wypisane na twarzy, gdy znikał uśmiech. W serialu Netflixa niejednoznaczność jest przykryta ideologicznym sosem i prostymi odpowiedziami zanurzonymi w ociekającej krwią strzykawce. Zamiast Ryana Murphy'ego wybieram jednak Randle'a McMurphy'ego, który był najbliższy pokonania siostry. Netflix już teraz zapowiada drugi sezon.

„RATCHED" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Fot. Biblioteka Narodowa

Napad czterech premierów

Żadne państwo nie ma chyba takiej historii. Oto 112 lat temu czterech przyszłych premierów II RP napadło na pociąg. Rosyjski pociąg pełen rubli. Akcją pod Bezdanami 26 września 1908 r. dowodził osobiście Józef Piłsudski

WOJCIECH LADA

Tak naprawdę to, że polski polityk ma za sobą przeszłość zamachowca, nie było w dwudziestoleciu niczym szczególnie zaskakującym. Prezydent Stanisław Wojciechowski przemycał przez zieloną granicę socjalistyczna kontrabandę, z braku pieniędzy jeżdżąc czasem uczepiony pociągu od zewnątrz. Jego następca – Ignacy Mościcki – planował wysadzenie w powietrze generała gubernatora Josifa Hurkę, siebie zresztą również, a wszystko to w trakcie swojego miesiąca miodowego. Na przełomie XIX i XX w. podobne zachowania należały do normalnych, a akcje terrorystyczne mnożyły się z miesiąca na miesiąc, by w 1906 r. osiągnąć zawrotny pułap 1,2 tys. rocznie.

Wiązało się to z działalnością Polskiej Partii Socjalistycznej, a dokładnie mówiąc, jej Frakcji Rewolucyjnej i wchodzącej w jej skład Organizacji Bojowej (OB). Na jej czele stał Piłsudski, a w składzie znaleźli się właśnie jego najbardziej zaufani ludzie, którzy po odzyskaniu niepodległości zajmować będą kluczowe stanowiska w odrodzonym państwie. Wszyscy oni z gracją rewolwerowców posługiwali się bronią, bez problemu potrafili konstruować bomby, brawurowo uciekali z więzień i nie mieli żadnych oporów przy strzelaniu do ścigających ich agentów carskiej policji. Jedyną w tym gronie osobą, która tego nie potrafiła, był paradoksalnie sam Piłsudski. Doskonały organizator, mistrz konspiracji, sterował setkami akcji z dystansu, sam jednak w żadnej jak dotąd nie brał osobiście udziału. Zasady były jednak proste – sam je zresztą ustalał. Kto chciał być szefem organizacji, musiał brać w jej akcjach czynny udział. I właśnie dlatego 26 września 1908 r. przyszły marszałek znalazł się z towarzyszami na niewielkiej stacji Bezdany.

Fot. Biblioteka Narodowa

REWOLWEROWCY ZIUKA

Oczywiście były też bardziej przyziemne przyczyny, dla których Piłsudski postanowił napaść na pociąg. Jak ustalił wcześniejszy zwiad, przewożono nim większą gotówkę pod stosunkowo niewielką eskortą. A gotówka była

w tym właśnie momencie Piłsudskiemu bardzo potrzebna, bo planował rozkręcenie w Galicji działalności nowej organizacji, Związku Walki Czynnej. Zresztą napady – tzw. eksy – tworzyły zawsze finansową podstawę OB. Czasem były to drobne napady na sklepy monopolowe, czasem również efektowne ataki na pociągi. I właśnie jeden z nich, dokonany dwa lata wcześniej przez Józefa Montwiłła-Mireckiego pod Rogowem, stał się podstawą opracowania planu akcji pod Bezdanami.

Już na etapie planowania widać było brak doświadczenia Piłsudskiego. Bojowcy działali zazwyczaj spontanicznie. Czas dzielący decyzję od jej wykonania trwał najwyżej kilka tygodni, często znacznie mniej. Tymczasem Bezdany przygotowywane były przez rok, co jest o tyle dziwne, że ostatecznie były one kopią Rogowa – tym tylko różniącą się od wcześniejszej akcji, że wykonać ją miała mniejsza grupa. Za to bardziej elitarna. Montwiłłowi towarzyszyli szeregowi bojowcy – po prostu kilkudziesięciu robotników z łódzkich fabryk. Tymczasem Piłsudski dobrał sobie zaledwie 17 kompanów, ale istotnie najlepszych. Aleksander Lutze-Birk był chemicznym geniuszem, który od kilku już lat zaopatrywał bojówkę w przemyślnie konstruowane bomby. Edward Gibalski i Józef Kobiałko stanowili najbardziej zabójczy tandem OB, wsławiony dziesiątkami podobnych zamachów. Walery Sławek miał już wówczas twarz przeoraną bliznami powstałymi w wyniku eksplozji bomby podczas zamachu w Milanówku – jednego z wielu, które przeprowadzał. Często wspólnie z Aleksandrem Prystorem – wraz z którym stanowili parę najbliższych współpracowników Piłsudskiego. Wreszcie Tomasz Arciszewski – mistrz brawurowych ucieczek, również z dziesiątkami zamachów na koncie, który doskonale sprawdzał się też w działaniach dywersyjnych, głównie wysadzaniu mostów.

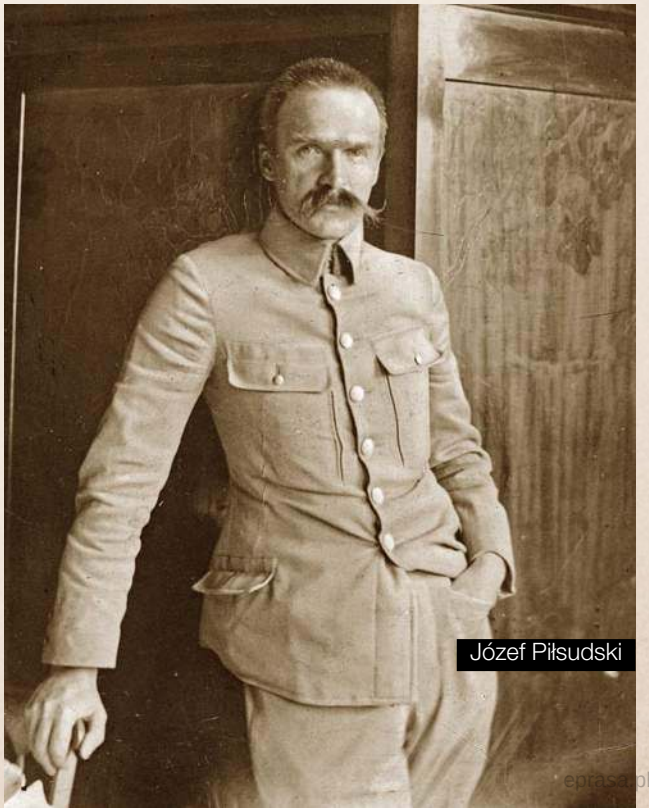
Józef Piłsudski

Fot. NAC

Wszyscy razem stanowili wówczas grupę krewkich zakapiorów, „skłonnych do bitki i wypitki" – jak określał to jeden z ich kolegów z Organizacji – przy których Piłsudski, sporo zresztą starszy, musiał robić wrażenie cokolwiek ociężałego. Także przy kobietach, bo pod Bezdanami znalazły się także dwie panie: Aleksandra Szczerbińska, wkrótce Piłsudska, oraz Janina Prystorowa – one może nie strzelały osobiście, za to od lat dostarczały bojowcom broń i bomby, przewożąc je poutykane w gorsetach, pasach do pończoch czy w sprytnie uszytych schowkach pod sukniami. W takim towarzystwie Piłsudski mógł być pewny, że jeśli nawet plan zawiedzie, cel uda się zrealizować choćby dzięki brawurze towarzyszącego mu oddziału. Tak też się stało.

KOMEDIA POMYŁEK

„Wieczorem 26 września, sześciu ludzi ze Sławkiem na czele, wsiadło do pociągu idącego przez Bezdany. Mieli oni zająć się eskortą wagonu pocztowego, podczas gdy reszta zamachowców dotarła do Bezdan w pojedynkę lub parami, i tam czekała na pociąg. Jeden z nich, Franciszek Gibalski, zabawiał się flirtem z jakąś Żydóweczką, drugi chrapał na ławie, udając pijanego. Piłsudski i Prystor przygotowali petardy. Jerzy Sawicki czekał z bryczką obok stacji. Ja i Prystorowa czekałyśmy na nich w dwóch oddzielnych chatach, wynajętych na letnisko" – opowiadała Szczerbińska. Zapomniała dodać, że było to już drugie podejście do akcji. Pierwotnie miała się ona rozpocząć 19 września, ale wszyscy się pospóźniali i Piłsudski akcję odwołał. „Była to decyzja niesłychanie ryzykowna, bowiem nie było możliwości zawiadomienia o niej grupy warszawskiej zdążającej do Bezdan tym właśnie pociągiem, na który miała zostać dokonana akcja" – oceniał Andrzej Garlicki. Profesor zauważał przy okazji, że grupa ta o mały włos by się zdekonspirowała, bo zgodnie z planem wyskoczyła na peronie i zajęła pozycje, ale z braku umówionego sygnału, pewni, że pomylili stacje, wskoczyli znów do pociągu i te same czynności wykonali na stacji następnej.

Tydzień później wszyscy jednak byli już na miejscu i do momentu pojawienia się pociągu, plan był realizowany sprawnie. Kiedy jednak na stacji już pojawiła się lokomotywa, wszystko znów zaczęło szwankować. Zgodnie z planem jedna grupa miała stłuc szybę w jadącym jeszcze pociągu i wrzucić przez nią bombę do przedziału wojskowej eskorty, druga – zatrzymać pociąg, rozsadzając tory, trzecia wreszcie, zamknąć podróżnych w pomieszczeniu dworca i pilnować, żeby się nie rozchodzili. Tymczasem najpierw nie chciała się stłuc szyba, a kiedy wreszcie pękła, otwór okazał się zbyt mały i bombę trzeba było siłą przeciskać. To sprawiło, że eksplodowała tak blisko biegnących bojowców, że dosłownie porozrzucała ich po peronie. W tym momencie bojowcy mający pilnować cywili stracili orientację w sytuacji i ludzie rozleźli się z ciekawością, przyglądając się rozgrywającym się wydarzeniom. Było zresztą na co patrzeć, bo widok dwóch mężczyzn usiłujących zatrzymać wielką lokomotywę za pomocą pistoletów musiał być dość niecodzienny. Była to grupa, która miała za zadanie rozsadzić tory. Nie rozsadziła, bo przykryli ładunki mokrą ziemią. Zdesperowani zaczęli więc strzelać do pociągu i, o dziwo, okazało się to skuteczne. Kolejarze spanikowali i zatrzymali skład.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Sytuacja wydawała się opanowana. Rosyjscy żołnierze uciekli w las, pasażerowie leżeli na ziemi i bali się poruszyć, nikt już więc nie stawiał oporu. Pojawił się jednak nowy problem. Ktoś mianowicie zanurzył w wodzie lampę acetylenową i sejfów trzeba było poszukiwać w zupełnej ciemności, depcząc po leżących na podłodze ludziach, ślizgając się na szkle i poważnie ryzykując życie, bo w ciemnościach bojowcy mało nie powystrzeliwali się nawzajem. Wiadomo w każdym razie, że Piłsudski prawie zastrzelił Lutze-Birka, a nerwowy Kobiałko – Sławka. Ostatecznie wszyscy przeżyli, ale kłopoty nie skończyły się nawet wtedy, gdy znaleziono w końcu sejfy z gotówką. Jak pisał Pobóg-Malinowski:

„Założono pod zamek pocisk dynamitowy, czterokluskowy (kluska w żargonie bojowców oznaczała laskę dynamitu – przyp. aut.), obliczony na skrzynkę, o której mówiły wywiady. Huk, dym. Pocisk okazał się za silny: rozsadził zupełnie nie tylko zamek, lecz i drzwiczki. Okazało się przy tym, że wewnątrz szafki ukryte są skrzynki drewniane, zapatrzone w równie mocne zamki. Lutze-Birk podniecony i poirytowany niespodziewanymi przeszkodami pędzi z brankardu do wodociągu, by przydźwigać stamtąd siekierę i łom. Rozbija skrzynki, ale wewnątrz są mniejsze skrzynki...".

Ostatecznie pieniądze zrabowano, ale tylko pewną ich część. Do reszty nie zdołano się dostać, bo zabrakło materiałów wybuchowych.

WIELKA UCIECZKA

Mimo groteskowego przebiegu akcja pod Bezdanami okazała się skuteczna. Zrabowano 200 tys. rubli, co było sumą bardzo znaczną. Osiągnięto też duży sukces propagandowy. O napadzie rozpisywały się wszystkie gazety w Imperium Rosyjskim, zazwyczaj znacznie wyolbrzymiając rozmach akcji, liczebność bojowców, a także ilość przejętych pieniędzy. „Skonfiskowana suma, według niepotwierdzonych dotąd pogłosek, sięgać miała miliona czterdziestu tysięcy rubli" – donosił „Kurier Litewski". W czasie gdy dziennikarze i policja gubili się w domysłach, zamachowcy mieli przed sobą zadanie chyba trudniejsze niż sama akcja. Musieli uciec.

Pod tym względem przygotowania były staranne. Już kilka tygodni wcześniej Szczerbińska zamieszkała w okolicy, by dokładnie poznać leśne ścieżki. „Okazało się, że mapy strategiczne rosyjskie były niedokładne. Poprawiłam, gdzie mogłam" – wspominała. Mimo to 20-osobowa grupa ludzi w lesie robiłaby podejrzane wrażenie. Postanowiono więc się rozdzielić. Po ucieczce bryczką z miejsca napadu jedna grupa ruszyła bezpośrednio do Krakowa, druga łodzią spłynęła do Rygi, Piłsudski zaś ze Szczerbińską, Prystorem i Arciszewskim pozostali w Jedlince i po dwóch dniach ruszyli do Kijowa. „Dookoła mówiło się tylko o Bezdanach. Na stacji kręciło się mnóstwo policji i wojska, a co chwila zaczepiano kogoś, by dokonać rewizji. Mieliśmy szczęście, nikt nas nie zaczepiał" – opowiadała Szczerbińska, dodając, że wszyscy mieli przy sobie ampułki z cyjankiem.

W tej sytuacji przewiezienie kilku worków z pieniędzmi byłoby zupełnie niemożliwe i zdawano sobie z tego sprawę już wcześniej. Jeśli wierzyć Szczerbińskiej, większą część

Walery Sławek

Fot. NAC

zrabowanej kwoty zakopano początkowo w lesie. „Część musieliśmy przesłać od razu Centralnemu Komitetowi na łapówki dla urzędników rosyjskich, aby uzyskać zwolnienie pewnych towarzyszy z aresztu" – zaznaczyła. W czasie gdy worki z pieniędzmi spokojnie czekały w ziemi, grupa zbiegów meandrowała po kraju, wielokrotnie zmieniając kierunek ucieczki. Kupowali np. bilety do Charkowa, by w połowie drogi wysiąść i powrócić do Kijowa. Stamtąd Piłsudski udał się bezpośrednio do Galicji, Prystorowie ukryli się gdzieś w głębi Rosji, by dopiero po kilku tygodniach dotrzeć do Krakowa, gdzie czekali już na nich pozostali, którzy dotarli „okólnymi drogami przez Rosję". Sama Szczerbińska wyjechała pod Charków, gdzie ukryła część pieniędzy, następnie do Korosteń, wreszcie przez Kijów, do Lwowa.

Zamachowcy byli więc bezpieczni, ale lwia część gotówki wciąż spoczywała w ziemi, w okolicach Bezdan. A wraz z nadciągającą zimą, ziemia coraz mocniej zamarzała, pokryty zaś śniegiem las znacząco zmieniał swój wygląd i pojawiło się poważne ryzyko utraty łupu.

HALUCYNOGENNA MISJA SZCZERBIŃSKIEJ

Szczerbińska ruszyła po niego dopiero po dwóch miesiącach, przez Suwałki i Wilno. „Tam dowiedziałam się od brata Piłsudskiego, Jana, że – według informacji z policji – na stacji Jaszuny, już przygotowano na mnie zasadzkę, że policja oczekuje powrotu mego" – wspominała. Jeśli to prawda, oznaczałoby to, że policja doskonale zdawała sobie sprawę, kto stoi za napadem. Zazwyczaj bojowcy nie przejmowali się takimi sprawami. Przeciwnie – po napadach wystawiano pokwitowanie na zrabowane pieniądze, na którym przystawiano pieczątkę PPS. Czy zrobiono tak i tym razem? Żaden z uczestników o tym nie wspomina, ale wykluczyć się tego nie da. Tak czy inaczej, Szczerbińską czekało trudne zadanie.

Dotarła najpierw – omijając Jaszuny – do niewielkiego majątku znajomej Piłsudskiego, Anity Mielnikowej, skąd, w towarzystwie jej i jednego z uczestników akcji, Jerzego Sawy-Sawickiego, bryczką udali się na miejsce. „Jechaliśmy

eprasa.pl 4d5a6e53a5

cały dzień. Na miejscu stanęliśmy o zmierzchu. Przywiązawszy konia do drzewa, puściliśmy się ostrożnie w głębie ciemnego lasu. Z trudem znaleźliśmy oznaczone miejsce i zaczęliśmy kopać. Ziemia była zupełnie zamarznięta. Po dwóch godzinach pracy odkopaliśmy tylko dwie trzecie pieniędzy. Pot lał się strumieniami, nie mieliśmy już sił. Sawa-Sawicki zaproponował, żebyśmy wróciły z tym, co mamy do domy, a on prześpi się u znajomego chłopa we wsi, rano wykopie resztę i inną drogą pojedzie do Krakowa. Było to najlepsze wyjście z sytuacji" – opowiadała.

Kłopot w tym, że pieniędzy było naprawdę dużo i stary, zdrożony koń nie był w stanie ciągnąć obciążonej bryczki. Nie było rady, kobiety musiały zejść z wozu i iść pieszo, co zajęło im całą noc. Ryzyko było duże. Dwie samotne, młode kobiety włóczące się w nocy po lesie, a w dodatku z wozem pełnym pieniędzy musiały wzbudzać zrozumiałe zainteresowanie. Ponadto Szczerbińska przyznaje, że gdzieś w połowie drogi z mrozu i zmęczenia doznała halucynacji i gdyby nie pomoc towarzyszki, z pewnością uciekałaby przed hordą wyimaginowanych wilków, zapewne gubiąc przy tym drogę.

Ostatecznie obu paniom udało się dotrzeć rankiem do domu a Szczerbińskiej, po krótkim odpoczynku, zdążyć na pociąg do Galicji. Kiedy wkrótce dotarł na miejsce Sawicki z resztą pieniędzy, awantura bezdańska została zakończona, a pieniądze z akcji zasiliły kasę Związku Walki Czynnej. Większość uczestników akcji już za dziesięć lat zostanie prominentnymi politykami II Rzeczypospolitej, a Walery Sławek, Aleksander Prystor i Tomasz Arciszewski premierami. Piłsudski również, ale to już zupełnie inna historia.

Aleksander Prystor

Fot. NAC

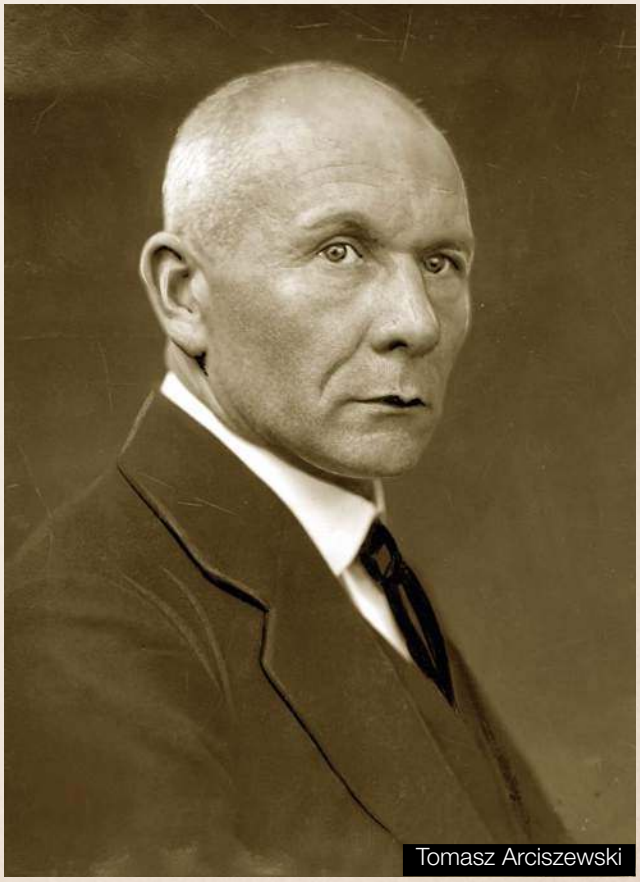
Tomasz Arciszewski

Fot. NAC

REKLAMA

SPÓŁDZIELCZY INSTYTUT NAUKOWY poleca

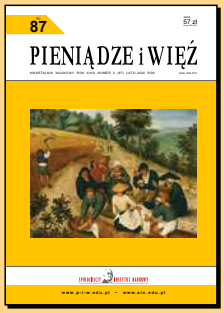

w numerze m.in.:

Jan Komorowski, **Uwarunkowania etyczne w rozwiązywaniu problemów gospodarczych**

Adam Barembruch, Eugeniusz Gostomski, **Konsekwencje niskich stóp procentowych dla wybranych grup interesariuszy: gospodarstw domowych, przedsiębiorstw i banków**

Wojciech Świder, **Polityka monetarna Narodowego Banku Polskiego w pierwszym półroczu 2020 roku w reakcji na kryzys gospodarczy spowodowany pandemią COVID-19**

Eugeniusz Gostomski, Tomasz Nowosielski, **Ewolucja gospodarki portowej w krajach Unii Europejskiej w XXI wieku**

Joanna Ossowska, **Psychologia postaw**

Publikacja, obejmująca syntezę światowej literatury przedmiotu, stanowi próbę podsumowania dotychczasowej wiedzy – tak teoretycznej, jak i empirycznej – dotyczącej zagadnienia postaw. Autorka pokazuje nie tylko wagę konstruktu, jakim jest postawa, ale wskazuje również możliwości jego wykorzystania w życiu, przede wszystkim zaś w badaniach naukowych. Na szczególną uwagę zasługuje imponująca bibliografia.

www.sin.edu.pl **www.p-i-w.edu.pl**

43/0220/P

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Zegar apokalipsy

W Nowym Jorku wielki zegar odmierza czas do katastrofy ekologicznej: pozostało siedem lat i niespełna trzy miesiące. Prowokacja, próba zwrócenia uwagi czy prawda?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Na czas niedawnego nowojorskiego szczytu klimatycznego ONZ (z powodu koronawirusa odbył się w formie zdalnej) słynny i ogromny zegar Metronome z Union Square, który od 1999 r. wskazuje godziny z dokładnością do najdrobniejszych ułamków sekundy, przeprogramowano tak, by odliczał czas do mającej nadejść katastrofy. Stało się to 19 września. Wtedy też pojawiło się hasło „Ziemia ma swój termin".

Chociaż Metronome znowu pokazuje nowojorczykom upływ czasu, raz rozpoczęte odliczanie do katastrofy trwa. Na stronie internetowej pomysłodawców nowego zegara, którymi są nowojorscy artyści Gan Golan i Andrew Boyd, czerwone liczby – niczym licznik bomby – wciąż niepowstrzymanie odmierzają kurczący się czas. Co ma nastąpić, kiedy liczba lat, dni, godzin, minut i sekund osiągnie zero? Czy istotnie koniec świata, a przynajmniej tego świata, jaki znamy?

O 1,5°C ZA DALEKO

Graniczny moment, do którego zmierza odliczanie, to czas, kiedy średnia temperatura na Ziemi wzrośnie o 1,5°C w stosunku do stanu sprzed rewolucji przemysłowej. Według obliczeń berlińskiego instytutu Mercator, zajmującego się zmianami klimatu, które przyjęli pomysłodawcy nowojorskiego zegara, pozostało nam do tej chwili trochę ponad siedem lat. Później zmiany klimatu będą się poważnie odbijać na gospodarce, w tym na produkcji żywności, ale też na bioróżnorodności, czyli zanikaniu części gatunków i siedlisk, będą ponadto skutkować podnoszeniem się poziomu mórz i zalewaniem niżej położonych lądów i wysp.

O ile zalewanie lądów czy ograniczenia produkcji rolnej nie wymagają tłumaczenia, o tyle zaburzenia bioróżnorodności mogą się wydawać wymysłem, przerysowanym zagrożeniem. Pamiętając, że ingerencja w przyrodę ma często skutki donioślejsze, niż wcześniej zakładamy, rozważmy jeden z przykładów. Zmiany mają w silnym stopniu dotknąć okolic biegunów. Z rejonami tymi – i z panującymi tam obecnie warunkami: temperaturą wody i jej chemizmem – związane są nieprzeliczalnie wielkie stada skorupiaków, którymi żywią się niezliczone ryby i liczne walenie. Z kolei pokarmem skorupiaków jest plankton. Zmiany w tamtejszych wodach doprowadziłyby do zaniku planktonu – bo to właśnie określone, aktualne warunki sprawiają, że drobne organizmy są tam tak liczne. W przypadku katastrofy klimatycznej wymrą. Nie ma planktonu, nie ma skorupiaków, nie ma ryb ani wielorybów.

Poza tym plankton to także glony, a morskie glony to obecnie bufor, nie mniej ważny niż lasy całego świata, pochłaniający dwutlenek węgla i produkujący tlen. Jeżeli zabrakłoby morskich, zdolnych do fotosyntezy drobinek, gwałtownie spadłaby produkcja tlenu i skokowo wzrosłoby stężenie dwutlenku węgla w atmosferze.

OPERUJEMY NA UPROSZCZENIACH

Inaczej mówiąc, od przekroczenia krytycznego momentu, wyznaczonego przez średnią temperaturę na Ziemi, świat nie będzie już taki sam. Jaki zatem? Na pewno dużo mniej przyjazny i bardziej taki, jaki kojarzymy z filmów katastroficznych, z tym że katastrofy staną się nie wyjątkiem, lecz regułą. Natężenie niekorzystnych zmian możemy tylko przewidywać.

Obliczenia czasu, jaki nam pozostał, i przyjęte punkty graniczne różnią się: niektórzy mówią, że granicą jest wzrost średniej temperatury ziemskiej o 2°C,

eprasa.pl 4d5a6e53a5

chociaż obecnie raczej się przyjmuje, podobnie jak w Nowym Jorku, że jest to wartość bliższa 1,5°C. Różni się też czas, za jaki ma to nastąpić: za siedem lat, za dziesięć lub kilkadziesiąt. Różnice wynikają z założeń przyjętych do obliczeń: nie wiemy, jak będzie się kształtować emisja gazów cieplarnianych, nie potrafimy przewidzieć erupcji wulkanicznych, które wzmogłyby efekt cieplarniany, ani działania prądów morskich, które mogą zniwelować ocieplanie, ale też je podkręcić. Możemy założyć, jak szybko będą powstawać odnawialne źródła energii (na stronie nowojorskiego zegara jest też zielony licznik pokazujący wzrost udziału odnawialnych źródeł energii w światowym bilansie), możemy też przewidywać poziom zalesień – tam, gdzie są prowadzone, i deforestacji w innych częściach świata. Słowem, możemy przewidywać i prognozować, ale zawsze będzie to obarczone błędem – w dodatku nie wiadomo jak dużym.

Nie wiemy nawet, jaka konkretnie wartość temperatury jest krytyczna (już samo 1,5°C jest wartością zaokrągloną), tym bardziej że mówiąc o wartości średniej, wiemy, że w niektórych rejonach świata wzrost temperatury może być wyższy niż średnia, a więc i skutki bardziej dotkliwe.

CZY TO WSZYSTKO PRAWDA?

Zależy, o co pytamy. Jeżeli o konkretne wyliczenia lub też o to, jaki wpływ na zmiany klimatu ma działalność ludzka, a jaki naturalne procesy (bo klimat zmieniał się zawsze), to, jak już pisałem, trudno mówić o wartościach niewątpliwych. W tym świetle niemożliwe jest wyznaczenie konkretnego terminu katastrofy, od którego zmiany będą tak duże, że zagrożą cywilizacji i ekosystemowi ziemskiemu – przynajmniej w ich dotychczasowym kształcie, do którego jesteśmy przystosowani i w jakim czujemy się najlepiej. Czy będzie to za kilkadziesiąt lat, za dziesięć, czy też za siedem lat i trzy miesiące, tego nie jesteśmy w stanie powiedzieć i w tym rozumieniu nowojorska akcja, tak precyzyjnie, co do sekundy określając czas, który jest wynikiem obliczeń opartych na jakichś danych i założeniach, ma przyciągnąć uwagę, nie zaś wskazać rzeczywistą datę.

Istotą problemu jest co innego: to, czy zdajemy sobie sprawę, że niewątpliwie wywieramy wpływ na naszą planetę. Skala i tempo tego zjawiska są mniej istotne niż to, że ono rzeczywiście zachodzi. Historia Homo sapiens jako gatunku nie jest długa, liczy ok. 200 tys. lat. Cywilizacja to kilka tysięcy lat, gwałtowny rozwój przemysłu, to kilka procent z historii cywilizacji, przy czym o rozwoju globalnym możemy mówić od bardzo niedawna. Jeżeli więc już po tak krótkim okresie, kiedy mamy możliwość działania globalnego, pojawiają się dane, które budzą zaniepokojenie, nie jest to zapowiedzią niczego dobrego.

Kwestia, gdzie znajduje się punkt graniczny (ile trzeba wyemitować zanieczyszczeń, ile wyprodukować plastikowych opakowań), żeby go przekroczyć, jest sprawą do dyskusji. Natomiast to, że taki punkt istnieje, jest niewątpliwe. Całkiem możliwe, że nieodwracalna granica znajduje się dalej w zakresie niektórych czynników, a blisko w zakresie innych. Na przykład gospodarka wodna: jeżeli dodamy do siebie pustynnienie niektórych rejonów, brak mroźnych zim, zanieczyszczenia wód, nieumiejętność ich retencjonowania oraz radzenia sobie z powodziami, wówczas nieodległa w czasie katastrofa w zakresie zasobów wodnych wydaje się raczej pewnikiem niż hipotezą. Nie znaczy to, że od razu staniemy się pustynią, ale czy katastrofą rozłożoną tylko nieco w czasie nie będzie stopniowa utrata powierzchni rolniczych: najpierw w skali hektarów czy kilometrów kwadratowych, a później całych regionów i w końcu państw?

Niewątpliwe jest też to, że skoro wiemy o niebezpieczeństwie, ale nie potrafimy go dokładnie określić, tym bardziej potrzebujemy racjonalnego podejścia do Ziemi i korzystania z jej środowiska. Gospodarowania rozważnego, zgodnego z rozsądkiem, ale i z etyką. W przeciwnym razie pędzimy przed siebie w warunkach ograniczonej widoczności, mimo że ktoś twierdzi, że przed nami jest mur. Pędzimy, mimo że ta prędkość w dużej mierze nie jest koniecznością: rozbuchanie produkcji wynika też po prostu z nadmiernej konsumpcji.

Jeżeli nawet zmiany klimatu, czy też w ogóle przeobrażenia w ekosystemie i środowisku ziemskim, byłyby zależne głównie od czynników naturalnych, wtedy również powinniśmy w maksymalnie możliwy sposób zmniejszyć nasz udział w tych zmianach, zamiast ryzykować, że będziemy języczkiem u wagi. Czy proporcje udziału: „natura – cywilizacja" będą mieć znaczenie w ostatecznym rozrachunku?

WŁAŚCIWE PYTANIE

Pomyślmy też, że ostrzegawcze odliczanie zegara odnosi się do emisji gazów cieplarnianych i wzrostu temperatury. Nie uwzględnia zanieczyszczeń, toksycznych substancji przesączających się do gleby i tonących masowo wraz ze statkami w morzach, nie uwzględnia kłusownictwa, betonowania, grodzenia, osuszania, regulacji i przegradzania rzek, rdzewiejących okrętów atomowych, pożarów gór opon samochodowych ani monstrualnej ilości tworzyw sztucznych i wielkich plastikowych, oceanicznych plam. Jeżeli ktoś jest sceptyczny, niech wybierze się na spacer chociażby po najbliższym lesie, zbierając po drodze wszystkie worki, butelki, opakowania itp., a kiedy skończy mu się miejsce w 120-litrowych workach, niech sobie wyobrazi, że część odpadów już zarosła trawą i przykryła się liśćmi (ale nadal tam jest), część odpłynęła rzeką (i płynie dalej albo zalega w osadzie dennym) i niech uwzględni, że są miejsca na świecie, gdzie ludzi jest znacznie więcej i z różnych przyczyn przykładają oni znacznie mniejszą wagę do ochrony środowiska.

Właściwym pytaniem nie jest więc, kiedy może nastąpić katastrofa, ale czy chcemy dołożyć wszelkich starań, żeby do niej nie dopuścić i chronić nie tylko siebie, ale także piękno i różnorodność otaczającego nas i powierzonego nam świata.

Fot. STRF/STAR MAX/IPX/East News

eprasa.pl 4d5a6e53a5

RADOSŁAW PAZURA AKTOR

Docenić, co się ma

Fot. Podlewski/AKPA

Gdy w pochmurny poranek, słysząc jego pełen energii głos, stwierdzam, że pewnie jest już po porannej kawie, zaskakuje odpowiedzią: – Rozmawiamy w piątek. To dzień, w którym od siedmiu lat towarzyszy mi jedynie smak chleba i wody. Zdecydowałem się na to w prywatnej intencji. I w ważnej dla mnie sprawie.

– Bywa trudno – kontynuuje. – Zwłaszcza gdy tego dnia wypadają zdjęcia albo gramy na wyjeździe po dwa spektakle, ale z mojej świadomości wiary wynika, że są kwestie, w których jedynym, co pozostaje, są „post, modlitwa i jałmużna". Dlatego podjąłem takie postanowienie i, choć pojawiają się przeciwności, jestem przekonany, że jeśli się coś poświęci w imię czegoś i naprawdę się tego chce, ma to zupełnie inny wymiar. Zyskuje głębszy sens.

Jeśli pani pyta, jak po takim piątku przechodzi się (smakowo) do soboty, to – by nie zbanalizować tego, co wcześniej powiedziałem, a pozostać w kontekście tematu rozmowy – powiem, że rzeczywiście następnego dnia wszystko smakuje zdecydowanie intensywniej, pełniej. I ten smak naprawdę cieszy. Myślę też, że mocniej docenia się to, co się ma. Również chleb i wodę, których nie brakuje.

Wdzięczność – poza radością, ciekawością, chęcią relaksu... – towarzyszy mi też, gdy poznaję nowe miejsca.

Od lat podróżujemy rodzinnie. Kiedy wakacyjne wyjazdy były czymś naturalnym, odwiedzaliśmy w ten sposób różne strony świata, chociaż do Jemenu trafiłem sam (przywiozłem stamtąd moim dziewczynom m.in. egzotyczne przyprawy). Dwa lata temu naszym wspólnym odkryciem stała się Tajlandia. Także z jej potrawami.

Z przeszłością, z dzieciństwem kojarzę najmocniej „seromak". Mama robiła takie ciasto, raczej na święta, szczególnie na Boże Narodzenie. Piekła je w brytfannie, na spodzie z herbatników. Połowa była z serem, połowa z makiem. Pamiętam świąteczną atmosferę i ten rarytas. To bardzo miłe wspomnienia.

W mojej dzisiejszej domowej kuchni jestem głównie szczęśliwym degustatorem. Smakuje mi wszystko, co przyrządzi żona. Robi np. wyśmienity pomidorowo-czosnkowy sos do makaronu z krewetkami. Często ją o niego proszę. Za to moim popisowym daniem jest rosół. Sposobem na kulinarny sukces są w tym przypadku odpowiedniej jakości składniki i czas spokojnego gotowania.

Moja córka twierdzi też (a żona jej w tym wtóruje, uśmiech), że nic nie dorówna zrobionej przeze mnie jajecznicy. Ja myślę, że niezwykle ważnym składnikiem tego dania jest to, że – jak już znajdzie się na talerzach, świeżo nałożone z patelni, smakowicie pachnące – siadamy do niego razem.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Shutterstock

Jajecznica „naj"

Wykonanie: Główny sekret to palnik, żywy ogień. Na elektrycznej płycie wychodzi gorzej. Ważne jest nastawienie płomienia – na minimalny. Jajecznica bardzo długo jest rzadka. Najważniejsze, by uchwycić punkt, kiedy masa już się ścięła, ale nie jest sucha.

Najlepiej smakuje na boczku (po jego stopieniu nie odlewam tłuszczu) albo na szynce (podsmażonej wcześniej na maśle). I nakładamy jajecznicę na talerze gorącą!

eprasa.pl 4d5a6e53a5

SŁODKO-SŁONY

Origami z cebulki

ANNA MONICKA

Kiedy od kolegi dostałam w prezencie gliniane naczynie od bentō (Japończycy pakują w te opakowania przekąski) z wizerunkiem ośmiorniczki, żeby nawet osoby nieznające języka wiedziały, co poza makaronem dostały do zjedzenia, włożyłam do środka długopisy i flamastry. Ale po głowie wciąż mi chodziła myśl, żeby jakoś twórczo ideę wykorzystać.

Postanowiłam więc zrewolucjonizować szkolne drugie śniadania. Mam nadzieję, że całej klasy, bo pudełko oraz zawartość zrobiły furorę na dużej przerwie. Pomogły mi w tym jeszcze ręczna malutka szatkownica oraz woskowijka, czyli bawełniana chusteczka nasączona woskiem do pakowania kanapek. Antybakteryjna, bo takie właściwości ma pszczeli wosk, i wielokrotnego użytku. Pierze się ją w letniej wodzie i suszy. Koniec z papierami śniadaniowymi i plastikowymi torebkami.

Japończycy lubią i potrafią wszystko ładnie składać, w końcu to oni wymyślili origami. Pudełko do bentō może więc zaskoczyć – jest nieduże, ale pakowne. Przypomina trochę szkatułkę z biżuterią albo bombonierkę pełną kolorowych pralinek. Mieści się w środku nawet kilka kanapek owiniętych w bawełnę, tyle że malutkich. A w nich ser i moje domowe kiszonki, na przykład z czerwonej cebuli, czosnku, buraczków, kapusty. Furorę robią zwłaszcza te kolorowe, dzieciaki natychmiast wyjadają je mojej córce.

Po co szatkownica? Otóż pokrojone w cieniutkie talarki jabłko zajmuje znacznie mniej miejsca, podobnie jak papryka czy marchewka, i łatwiej je upakować. Warzywa pozwijane jak wstążeczki (w końcu można je także kroić wzdłuż) wyglądają cudnie i znacznie lepiej smakują – tak przynajmniej uważają dzieci. Zajadają je więc i jeszcze się cieszą.

Trzeba wszystko tak poukładać, żeby znalazło się miejsce na drobne owocki (my mamy teraz na płocie czarne pachnące winogrona) i na odrobinę słodyczy. A to galaretkę, a to suszoną morelkę czy śliwkę, a to orzechy.

Gdy moja córka przyniosła kolorowe pudełko z jedzeniem – następnego dnia podobne miało już kilka koleżanek. Była nawet rywalizacja, kto wymyślił bardziej kolorowe i pomysłowe kanapki. Nie muszę chyba dodawać, że wyjadły wszystko, do ostatniego okruszka. A od kilku dni moja córka zamienia się rano w doradcę, który podsuwa mi różne pomysły, co z czym połączyć, żeby było i smacznie, i zdrowo, i pięknie. Nowa rodzinna tradycja.

Fot. archiwum autorki, Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Sarna polna

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Istnieją w naturze gatunki bardzo podobne z wyglądu, różniące się nieco zwyczajami i preferowanymi siedliskami. Ich zasięg często się pokrywa, nieraz mogą się też krzyżować, dając płodne potomstwo. Są to gatunki nazywane bliźniaczymi, które w stosunkowo niedawnej przeszłości oddzieliły się od wspólnego przodka.

Specjacja, czyli powstawanie gatunków na tej drodze, jest niezwykle ciekawa. Pokazuje, że natura – tak jak człowiek dążący do otrzymania np. różnych odmian owiec, krów czy kur o odrębnych cechach i dostosowanych do różnych warunków – jest czasem hodowcą otrzymującym gatunki dostosowane do zróżnicowanych siedlisk.

Przykładami takich gatunków są orlik krzykliwy i orlik grubodzioby. Oba te drapieżne ptaki mają nieco inne wymagania siedliskowe i preferencje łowieckie. Orlik krzykliwy, nieco mniejszy, poluje na mniejszą zdobycz i raczej unika obszarów bagiennych, wybieranych przez orlika grubodziobego. Do rozdzielenia jednej kiedyś populacji orlików doszło podczas zlodowacenia, kiedy powstała populacja wschodnia (dziś orlik grubodzioby) i zachodnia (obecnie orlik krzykliwy). Obecnie, kiedy zlodowacenie ustąpiło, oba gatunki spotkały się znowu i zdarza się, że tworzą pary mieszane.

Niekiedy proces różnicowania zachodzi na naszych oczach. Całkiem niedawno kosy zamieszkujące miasta przestały odlatywać na zimę, podczas gdy kosy leśne wciąż wędrują. Zmiany zachowania mogą się odbijać w morfologii: tak jest np. u słowików. Ponieważ europejskie zimy są coraz łagodniejsze, słowiki nie odlatują już tak daleko, co skutkuje skracaniem się ich skrzydeł.

Niezmiernie ciekawy jest przypadek saren. Od pewnego czasu obserwuje się, że część saren, zamiast przebywać w lesie, wybiera życie w polach. Sarny polne, jak się je nazywa, żyją w większych stadach i bytują na otwartych przestrzeniach, zachowując się jak antylopy ze stepu lub sawanny. Niektórzy naukowcy wskazują, że w ślad za zmianą trybu życia zaistniały już zmiany w budowie: masa saren polnych jest większa niż saren leśnych. Większe są także parostki, czyli poroże samców koziołków.

Czy za pewien czas będziemy mówić o dwóch gatunkach saren w miejsce dotychczasowego jednego? Warto to obserwować.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Stop lewackim ideologiom

www.wojciechreszczynski.pl

Cieszy nominacja prof. Przemysława Czarnka na nowego ministra edukacji narodowej, nauki i szkolnictwa wyższego. To człowiek gruntownie wykształcony o szybkim, precyzyjnym, logicznym rozumowaniu i znajomości nie tylko prawa, lecz i specyfiki DNA polskiej chrześcijańskiej kultury. Co najważniejsze – do rządu wszedł ktoś odważny, kogo nie da się zakrzyczeć i zmusić do kapitulanckich deklaracji, jak choćby tej z czasów jego poprzednika, wicepremiera Jarosława Gowina, co to w obronie gender na uczelniach chciał się „kłaść Rejtanem".

Jest więc szansa powstrzymania lewackiego, neobolszewickiego szaleństwa na polskich uczelniach, przywrócenia mechanizmów demokracji w placówkach nauki, tak aby stały się one miejscem swobodnej wymiany poglądów, wolności dyskusji, a nie dyktatu politycznej poprawności pod patronatem wszechmocnych rektorów i uczelnianej administracji. Przy okazji należałoby powrócić do idei gruntownej lustracji. W przeciwnym wypadku będziemy mieli takie uczelnie jak na Zachodzie, w których studenci z dziekanami i rektorami pełnią funkcję rewolucyjnych hunwejbinów.

Przypomnę, jak 12 lat temu inaugurację 705. roku akademickiego Uniwersytetu La Sapienza w Rzymie miała uświetnić obecność papieża Benedykta XVI.

Z powodu protestu 67 wykładowców i grupy studentów Ojciec Święty został zmuszony odwołać swój wykład na tej jednej z najstarszych w Europie uczelni. Protestujący wystąpili w obronie „świeckości uczelni", przeciw próbie „narzucania wiary", a przecież papieski wykład mówił o europejskiej kulturze, która „jeżeli chce się sama budować w kręgu własnych argumentacji [...] zatroskana o swoją świeckość, wówczas odrywa się od korzeni, z których żyje, i nie staje się bardziej rozumna i czysta, lecz ulega rozkładowi i rozpada się".

Nowy minister powinien dokładnie się zapoznać z przykładami szykan na polskich uczelniach w stosunku do profesorów Ewy Budzyńskiej, Aleksandra Nalaskowskiego i Wojciecha Polaka i wyciągnąć konsekwencje względem do winnych publicznego poniżenia tych naukowców. Zostali zaszczuci zarówno ze strony władz uczelni, jak i środowiska akademickiego za krytykę roszczeń środowisk LGBT. Ale nie tylko.

Prof. Ewa Budzyńska popełniła takie przewiny jak nazwanie małżeństwa, zgodnie z polską konstytucją, związkiem mężczyzny i kobiety i nazwanie „dzieckiem" człowieka w prenatalnej fazie rozwoju. Prof. Aleksander Nalaskowski za mocne, lecz cenzuralne słowa o środowiskach LGBT, wyrażone w krótkim felietonie prasowym, został zawieszony w prawach wykładowcy uczelni. Prof. Wojciecha Polaka uznano za osobę homofobiczną, gdyż wobec osób LGBT użył sformułowania „niemądra tendencja". Okazuje się, że każda krytyka środowisk LGBT czy choćby nazwanie tego ruchu ideologią wywołuje histeryczny protest, żądanie dymisji, potępienia itd.

Jak to zmienić? Co zrobić, aby nasze uniwersytety nie były wylęgarnią kadr nowych bolszewików, którzy po ukończeniu studiów zasilą urzędy i instytucje i będą wychowywać kolejne pokolenia Polaków. Nie można pozwolić, aby 30 lat po upadku komunizmu w Polsce powrócił on na uczelnie ze swoją nową, niebezpieczną mutacją.

Przede wszystkim trzeba przywrócić autentyczną autonomię uczelni, która zagwarantuje wolność, swobodę wypowiedzi i debaty akademickiej. Winno być zagwarantowane prawo do krytyki wszelkich ruchów społecznych, w tym LGBT. Należy też zahamować wszelkie próby narzucania lewicowego, marksistowskiego światopoglądu. Dziś młodzież nie zastanawia się nad genezą ruchów LGBT i ideologii gender. Dlatego uczelnie i wychowawcy akademiccy więcej uwagi powinni poświęcić wciąż popularyzowanym nie tylko na Zachodzie marksistowskim ideologiom i materialistycznym tendencjom.

To marksiści zainfekowali Europę i świat swoimi fobiami, że małżeństwo monogamiczne jest absurdalne i szkodliwe, że jest uciemiężeniem jednej płci przez drugą, że mężczyzna jest burżujem, jak pisał Engels, a kobieta proletariatem. Autorzy „Manifestu komunistycznego" zaciekle negowali istnienie Boga i sens rodziny zbudowanej na chrześcijańskich korzeniach. Lenin szedł jeszcze dalej, negując całkowicie chrześcijańską moralność i etos rodziny. To za jego czasów towarzyszka Aleksandra Kołłontaj wprowadziła rewolucję seksualną, wspólne żony, a seks był dla niej niczym „szklanka wody". Niestety, po stu latach do niektórych polskich szkół zawitała dawna sowiecka, prymitywna, wulgarna seksedukacja, od lat zadomowiona na Zachodzie.

Polska młodzież powinna się przekonać, że ideologia gender jest częścią ideologii marksistowskiej, a więc częścią zbioru poglądów ideologów marksistowskich, dla których źródłem inspiracji byli Luter, Rousseau, Wolter, Hegel, Darwin. Że ideologia gender wraz z ideologią LGBT jest częścią niezrealizowanej jeszcze do końca przez komunistów rewolucji światowej. Walkę klas ma zastąpić walka płci, ma się dokonać zniszczenie rodziny, która broniła się i broni przed komunizmem najdłużej. Współcześni bolszewicy, wywołując rewolucję w sferze obyczajów i moralności (płeć kulturowa), chcą dokończyć dzieła zniszczenia tradycyjnych narodów i społeczeństw.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Ludzka niewdzięczność

Jerzy Jachowicz

Szanowny Panie Mecenasie,

do napisania listu otwartego ośmiela mnie fakt podziwu dla Pana umiejętności. Najlepszą ilustracją Pana kolejnego sukcesu jest zwycięstwo w procesie Mateusza Kijowskiego. Zakładam, że wyłącznie Pana zasługą jest przekonanie Sądu Rejonowego w Pruszkowie, iż nie można Mateusza Kijowskiego skazywać na dolegliwą karę, a tym samym na infamię polityczną.

Jakże trafnie pruszkowski sędzia Albert Parzyszek w uzasadnieniu wyroku, kierując się zapewne przygotowaną przez Pana linią obrony, stwierdził: KOD powołany przez podsądnego „był w pewnym momencie największym spontanicznym, oddolnym społecznym ruchem od czasów Solidarności". Pana wybitny sukces jako obrońcy powinien być ledwo pierwszym krokiem do pełnego triumfu nad wypaczoną, dążącą do zadławienia polskiego wymiaru sprawiedliwości tzw. reformą wdrażaną od kilku lat przez Zjednoczoną Prawicę. Teraz powinien Pan sięgnąć po pełne zwycięstwo i wywalczyć wysokie odszkodowanie dla Mateusza Kijowskiego. Pana umiejętności odwracania losów pozornie z góry przegranych objawiły się w uzyskaniu odszkodowania również w jednym ze słynnych procesów przeciwko byłej posłance PO Beacie Sawickiej. Przypomnę, że siłą swojej argumentacji unicestwił Pan sidła zastawione przez aparat przemocy pisowskiego CBA na niewinną kobietę.

Obserwuję Pana błyskotliwą karierę od początku lat 90., kiedy wyfrunął Pan niczym nieopierzone pisklę z rodzinnego gniazda adwokackiego. Dziś, po latach, Pana sława adwokacka obejmuje nie tylko rogatki Warszawy, lecz przekroczyła rubieże państwowej praworządności, dzięki ciepłym wzajemnym relacjom z Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej w dalekim Luksemburgu.

Jak to dobrze, że broni Pan także obecnego marszałka Senatu prof. Tomasza Grodzkiego. Zakładam, że i w tym przypadku uzyska Pan odszkodowanie dla tego świetnego polityka i medyka. Że potrafi Pan przekonać sąd, iż to sfrustrowani, niewdzięczni pacjenci, zachęceni przez pisowski reżim, rzucili fałszywe oskarżenia pod adresem krystalicznie uczciwego człowieka.

Anonimowy Jurek

CO MNIE WKURZA

Warszawy żal

Katarzyna Łaniewska

Żal mi mojej Warszawy, bohaterskiej, odradzającej się z gruzów. Zasługuje na wspaniałego gospodarza, a taki zdarza się niestety bardzo rzadko.

Sięgam myślą wstecz, prezydent Stefan Starzyński, rok 1939, oblężenie. Prezydent jest ze swoim miastem, z warszawiakami. Nie opuszcza ich w najtrudniejszych momentach. Później, po tzw. wyzwoleniu, byli różni prezydenci miasta stołecznego Warszawy. Niektórzy może i mieli dobre chęci, tylko możliwości nie było. Nie od nich zależało, jak ma się Warszawa odbudowywać. To Bolesław Bierut wyznaczał w Biurze Odbudowy Stolicy, jak ma przebiegać np. trasa W-Z. Takie były czasy. Chociaż jedno z socjalistycznych haseł „Cały naród buduje swoją stolicę" było prawdziwe. Dzięki temu mamy kawałek Warszawy tak pięknej, jaka była przed wojną: Stare Miasto, Nowy Świat i Trakt Królewski i oczywiście Zamek Królewski.

Najnowsze czasy – jedyna prezydentura, która rozkwitła, to ta Lecha Kaczyńskiego. Walczył o to miasto i przewalczył coś, co wydawało się, że nigdy nie powstanie, bo zawsze były dziwne „trudności" – Muzeum Powstania Warszawskiego. Mówi nam ono nie tylko o tych trudnych dniach sierpnia 1944 r., lecz również o prawdziwej historii Polski.

Pamiętne długie rządy w Warszawie pani Gronkiewicz-Waltz. Zamilczę to, bo dużo już o tym napisano i powiedziano. No i teraz najnowszy pan prezydent, na którego trudno mi uwierzyć, że prawdziwi warszawiacy głosowali. To warszawka głosowała – przyjezdna, urzędnicza i usłużna. Na rządzenie takim miastem trzeba kogoś odpowiedzialnego. Pan Trzaskowski olał Warszawę, więc wszystko się sypie. Najpierw kataklizm oczyszczalni Czajka. Teraz mówi, że nie ma pieniędzy na jakiekolwiek obiecane zmiany i inwestycje w mieście. Chce nas ukarać podwyżką za wywóz śmieci. Za parkowanie będziemy też płacić więcej. Nie pojadą obiecane linie tramwajowe. A na dodatek pan prezydent chęci nie ma, by wreszcie porządnie zawiadować miastem.

O przepraszam, jedną rzecz skrupulatnie wykonał. W stolicy pojawiły się ławki „spoczniki", na których usiąść się nie da, ale można się oprzeć. Po co to komu? Podobno w celach zdrowotnych, by kręgosłup odciążyć. I na to poszły miejskie pieniądze! A Warszawa dotychczas nie ma ukończonej obwodnicy. My, warszawiacy, chcemy wyjaśnień od pana prezydenta. To już zaszło za daleko!

eprasa.pl 4d5a6e53a5

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Ten cudny obłęd

Aleksander Nalaskowski

W jednym ze swoich esejów zamieszczonych w „Teologii Politycznej" prof. Jacek Koronacki – matematyk i filozof – odświeża znaczenie pojęcia „obłęd" jako adekwatnie oddającego kształt i drogę współczesnego świata. Jest to jedna z wielu wszak podejmowanych prób nazwania tego, czego świadkami czy mniej lub bardziej świadomymi uczestnikami jesteśmy. Słowa, które niegdyś opisywały takie stany społecznego istnienia, straciły ważność i nośność. Zostały ze znaczeń odarte, są tylko dźwiękami. Dzisiaj niegdysiejszy krzyk Niemena w kultowym (acz mocno grafomańskim) kawałku „Dziwny jest ten świat" już by nikogo nie poruszyły tak jak onegdaj. Ten najbardziej znany polski protest song jest dzisiaj zaledwie eufemizmem, naiwnym utyskiwaniem w kontekście tego, co dookoła nas. Dookoła tutaj i dalej. Może dlatego określenie „obłęd" wydaje się tak bardzo na czasie. Obłęd, czyli odejście od logiki, doświadczeń płynących z pamięci historycznej, przewidywalności i odpowiedzialności za to, co się mówi i robi.

Obłęd to regres myślenia, regres do stanu zwierzęcego. To cofnięcie się do pojmowania czasu wyłącznie jako „teraz"

Obłęd to regres myślenia, regres do stanu zwierzęcego. To cofnięcie się do pojmowania czasu wyłącznie jako „teraz" z niezdolnością wyodrębnienia zeń przeszłości i przyszłości. Tak właśnie mają zwierzęta. Nie ma tu miejsca, aby tę myśl rozwinąć, zatem proszę wierzyć mi na słowo, że tak właśnie jest. Tylko obłędem można tłumaczyć to, że wśród 560 wybrańców narodu, wybrańców mających reprezentować najwyższy stopień odpowiedzialności za losy kraju, znaleźli się Jachira, Grodzki, Scheuring-Wielgus, Pasławska, Śmiszek, Budka. Oni wszyscy – razem i osobno – są wskaźnikiem jakiegoś obłędu właśnie, obłędu wyborców, obłędu własnego. Ci, którzy rozkapryszonego, infantylnego i wulgarnego chłystka nazywają imieniem żeńskim, chociaż wiedzą, że to mężczyzna, też ulegli obłędowi. Tak jak studentki pielęgniarstwa zapowiadające, że z okrucieństwem będą traktować rodzące proliferki. Tylko obłędem można tłumaczyć decyzję władz krakowskiej Alma Mater nakazującą zwracanie się do studentów wybranym przez nich imieniem, nawet jeśli dziewczyna zażąda, aby mówić do niej Zbyszek.

Obłędem jest, że nas to już prawie nie dziwi, że nasze zdziwienie trwa krócej niż mgnienie oka, że już nawet nie ma w nas śladu buntu. Obłędem jest również to, że wydaje się nam, że normalni jesteśmy „my", a obłąkani „oni". Nic z tego – wszyscy jesteśmy „oni"!

Gdy młodzik z PiS ogłaszał piątkę dla zwierząt, to pewnie nie przypuszczał, że wstępuje na ścieżkę, na której końcu jest Spurek. Zapewne też przez myśl mu nie przemknęło, że należałoby zacząć od ludzi, od zakazu rozrywania ludzi na strzępy w brzuchu matki. Obłędem jest to, że z powodu zwierząt, a nie ludzi, mogła się rozpaść koalicja rządząca krajem, że całą tę dobrą zmianę i w gruncie rzeczy Polskę mógł z powodu krów w jednej chwili trafić szlag. Obłędem jest, że stracił stanowisko Ardanowski, najlepszy minister rolnictwa wszech czasów. Sprzeciw wolnego człowieka okazał się tak groźny dla partii, że warto było poświęcić wieś, aby partia wyszła na swoje. Dla tego człowieka mój głęboki i wieczny szacun.

Ten obłęd nie ma żadnych granic. Jest powszechny, globalny i nieuchronny. Jest daleko gorszy niż COVID-19, jest emanacją wszystkich naraz rewolucji mających „wyzwolić" człowieka i go uszczęśliwić raz na zawsze. Co się nie udało Trockiemu od strony Wschodu, to znakomicie wyszło Marcusemu od Zachodu. Nie miejmy złudzeń. Gdy już Białoruś wygoni Łukaszenkę, to Soros pierwszy niezwłocznie pośle tam swoich emisariuszy tęczy, ateizmu i liberalizmu. Zrobi to, zanim szacowne gremia europejskie się zbiorą, aby debatować, jak Białorusinom pomagać. Bo obłęd nie zna stanu sytości, nie zna pojęcia „koniec". Obłęd umiera tylko wraz z człowiekiem i nie ma na niego leku. Nie wiadomo, ile pokoleń musi wymrzeć, aby obłęd wygasł, nie wiadomo, jak wielki musiałby nastąpić kataklizm, aby wyplenić obłęd do cna.

Obłędem jest płciowa celebracja języka. Już nie mogę słuchać dzielenia ludzi na Polki i Polaków (dlaczego nie ma Polaczątek?), na gości i gościnie, na powstańców warszawskich i powstańczynie, na kibiców i kibicki. Chciałoby się wdrapać na jakąś wieżę i zakrzyknąć: „Ludzie, jesteście obłąkani!". Tym samym dając dowód na to, że obłęd i nas dotknął. Im bardziej tego nie widzimy, tym bardziej jesteśmy w niewoli obłędu. I coraz liczniejsi próbują się w nim wygodnie urządzić.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

PRZEZ ŚWIETLIK

Dżemik babuni

Wiktor Świetlik

Lewica niekiedy zarzuca prawicy przesadną fascynację przeszłością. Uważam zresztą, że to jeden z kluczowych argumentów, by nie lewicę, a prawicę popierać. Jakkolwiek by ona mnie drażniła, bo szczerze mówiąc, ta w polskim wydaniu jest momentami irytująca i okropna tylko nieco mniej od amerykańskiej, a ta amerykańska tylko mniej od zachodnioeuropejskiej. Ta ostatnia ma generalnie tę cechę, że już nie istnieje. Jest jak „Dżemik babuni" z supermarketu. Tyle ma wspólnego z babunią, ile i z dżemem.

Niemniej dość szybka kwerenda pozwala dojrzeć, że i lewica potrafi, jak trzeba, korzystać z przeszłości. A dokładnie z wyobrażeń o niej, które są przecież dużo fajniejsze od nudnego rycia podręczników, których się nie przeczytało za młodu.

Tak więc prezydent Wolnego Miasta Gdańska pani Dulkiewicz opowiedziała niemieckim mediom o tym, jak to Polska zamienia się w III Rzeszę. Prawica poprotestowała, Niemcy zapewne się zachwycili. W końcu wiadomo, że III Rzesza w gruncie rzeczy to twór zbydlęciałego słowiaństwa, a Hitler – zgodnie z myślą niemieckiego historyka Sebastiana Haffnera – od Polaków nauczył się antysemityzmu. Inaczej byłby łagodny jak baranek, ba, założył towarzystwo przyjaźni niemiecko-izraelskiej, antycypując powstanie państwa Izrael.

Pani Dulkiewicz w tym samym dniu w sukurs przyszedł nie byle kto, bo pani Katarina Barley, była minister sprawiedliwości Niemiec, co jednak jest stosunkowo ważne dla sprawy. Swoją drogą ponoć wkrótce związek frazeologiczny „lis w kurniku" w ogóle ma zostać zastąpiony sformułowaniem „minister sprawiedliwości". Pani Barley – już jako wiceprzewodnicząca europarlamentu – stwierdziła ni mniej, ni więcej, że „Polskę i Węgry trzeba zagłodzić". W związku tym, że nie stosujemy się do prawa tak interpretowanego, jak interpretują je w hajmacie pani Katariny. Albo jak przynajmniej udają, że je interpretują.

Pani Katarina patrzy w przyszłość i dlatego – jak to Niemcom się zdarzało od tysiąclecia – chce eksterminować Wschód (nasz środkowy). Pani Dulkiewicz, pochodząc z naszego środkowego Wschodu, sama podsuwa argumenty. To też w historii bywało, i to nader często.

Wnioski? Po pierwsze, lewica używa tak samo przeszłości jak prawica, tyle że ją wykoślawia. Po drugie, nasz szlachetny ród od Piasta się wywodzący ma od wieków, oprócz heroizmu, całkiem długą i rozległą tradycję zdrady, podłości, serwilizmu i głupoty. A kandydatów do kontynuacji nie brakuje.

Z życia Kościoła

relacjonuje **Agnieszka Ponikiewska**

1. Zaczął się październik – miesiąc poświęcony modlitwie różańcowej. Rozpoczęły się też różne inicjatywy związane z tą wyjątkową modlitwą. Można się włączyć w rekolekcje różańcowe, męski różaniec, pielgrzymki róż żywego różańca, trwającą od miesięcy modlitwę o ustanie pandemii i oczywiście codzienny różaniec w swojej parafii.

✠ ✠ ✠

2. W ostatnich latach znacznie spadła liczba małżeństw zawieranych w Kościele w Polsce. Podkopywanie wartości rodziny przynosi skutki. W roku 2016 – 136 348 par zawarło sakramentalny związek małżeński, a w roku 2019 – 122 794. Papież Franciszek wzywa Kościół do towarzyszenia narzeczonym i małżeństwom oraz pomocy im w kryzysowych sytuacjach. Rozpad małżeństwa dotyka całej rodziny, a więc także dzieci. To cały czas wyzwanie dla duszpasterzy.

✠ ✠ ✠

3. Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży obchodzi właśnie 30. rocznicę reaktywacji działalności. Jej inicjatorem był św. Jan Paweł II, który jako wikariusz był asystentem KSM i dobrze zdawał sobie sprawę, że młodzieży potrzebna jest solidna formacja duchowa i intelektualna. KSM jest miejscem rozwijania wiary i zdobywania kompetencji, które przydadzą się w dorosłym życiu. W stowarzyszeniu podkreśla się wartość służby Bogu, Kościołowi i ojczyźnie.

✠ ✠ ✠

4. W tym roku świętuje też Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia". Przez 20 lat istnienia dzięki darczyńcom przekazała na stypendia dla zdolnej młodzieży blisko 200 mln zł. Celem fundacji jest propagowanie nauczania św. Jana Pawła II, ale jest ona też konkretnym żywym pomnikiem składającym się z tysięcy ludzi uformowanych z pomocą Fundacji. Obecnie programem stypendialnym objętych jest 2 tys. osób. 11 października świętować będziemy kolejny Dzień Papieski pod hasłem „Totus Tuus". Będzie to okazja, by wspomóc to dzieło.

✠ ✠ ✠

5. Kościół zmienia się na naszych oczach. Wiernych ubywa, zmieniają się ich potrzeby i wymagania. Duchowni muszą odpowiedzieć na te wyzwania. 5 i 6 listopada na zebraniu plenarnym Episkopatu Polski biskupi zajmą się właśnie tą sprawą. Mają też wypracować strategię pracy Kościoła w czasie pandemii.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Dyplomatyczne faux pas

Pani ambasador tańczy, ale figury jakieś fikuśne

Ryszard Makowski

Pani ambasador USA Georgette Mosbacher okazała się osobą niezwykle uczynną i postanowiła zawiadomić nas, tubylców, że nie dość, iż jesteśmy sto lat za Murzynami, jeśli chodzi o LGBT, to jeszcze stoimy po złej stronie historii. To prawda, że nieraz nam kiepsko szło. Przykład: nigdy nie było u nas niewolnictwa.

Pani ambasador jest po stronie opacznie rozumianej nowoczesności. Dla normalnego człowieka nowoczesność kojarzy się z elektryfikacją albo komputerami. Dla całej sfery pseudointelektualistów nowoczesność jest wtedy, kiedy facet uprawia seks z facetem. Stąd może wynikają nieporozumienia. Pragniemy panią ambasador uspokoić, że u nas osobników o dziwacznych orientacjach łóżkowych też jest dostatek, a co więcej, nikt się ich nie czepia. Wprost przeciwnie, to oni mają w kółko pretensje do innych, że ci nie są wystarczająco zboczeni.

W kraju pani ambasador są poważne problemy. Argumentem obciążającym kandydaturę Amy Coney Barrett do Sądu Najwyższego USA jest to, że ma rodzinę. Męża i siedmioro dzieci, w tym dwoje adoptowanych z Haiti. Skandalu dopełnia to, że jest katoliczką i konserwatystką. Trzeba skrzyknąć ambasady w USA, by wystosowały list protestacyjny. A nie, wróć! To protegowana prezydenta Trumpa.

Pani ambasador, my tworzymy demokrację od ponad tysiąca lat. Jak się przyjeżdża z kraju o zdecydowanie krótszej historii, należałoby mieć trochę rezerwy w opiniach. Tym bardziej że teraz, kiedy mamy zniesione wizy do USA, to nie ma tam po co jechać.

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Michał Korsun prezentuje:
Ursula von der Leyen: Herzlich willkommen in Polen!

Wycinki z przeszłości

„Kobieta w Świecie i Domu" z września 1936 r. zamieszcza ogłoszenie naprawdę wymagającej pani spod Sosnowca, która poszukuje „osoby do prowadzenia domu":

„Od 7.X będę potrzebowała młodą, zdrową, uczciwą, poważną w myślach dziewczynę, zarazem z usposobieniem pogodnem, bardzo chętnie z kurem gospodarstwa domowego, która zajęłaby się samodzielnie całem moim gospodarstwem domowym, kuchnią i opieką nad 7-letnim dzieckiem. Dziewczyny bezpośrednio ze wsi nie nadają się, gdyż chodzi mi o bardziej inteligentną osobę, któraby te czynności wykonywała bez musu i z radością, oraz ze znajomością.

Wymagam bezwzględnej uczciwości, czystości, zdrowia, moralnego prowadzenia się i pracowitości, oraz własnej inicjatywy, abym nie była zmuszona przypominać o wykonaniu najmniejszej czynności.

Pragnęłabym uzyskać kobietę-człowieka, której z całym zaufaniem oddałabym w opiekę moją córkę oraz mój dom. Jest nas troje i dziecko. Mieszkanie posiadam czteroizbowe, skanalizowane na I piętrze. Opieka nad małym ogródkiem, którym zarazem zajmuje się mój mąż, jest raczej rozrywką, a nie pracą. Korespondencje proszę kierować pod moim adresem w Redakcji, proszę również o fotografię".

Cóż, dużo to ogłoszenie mówi nam także i o poszukującej pracownika. I chyba byśmy nie rekomendowali zatrudnienia się.

(mk)

Jeszcze jedna jesień

piosenka
(Z cyklu „Moje zbiory jesienne")

Leszek Długosz

Jeszcze jedna jesień na ulice
wkracza miast
Znów podaję Tobie Miła, ten
cieplejszy
Welwetowy płaszcz
– W liści złotej, rudozłotej
chmurze
Akordeon ponad miastem gra
Dym w ogrodach (gasną cichną
róże)
Jesień znowu spójrz, okrąża nas...
Refren: Ach i jesień, no jesień
Cóż ta jesień przyniesie
Ile jeszcze uniesień
W sercach wznieci, roznieci
Wpisze do Księgi Strat?
– Z łezką puści na wiatr?
Ach i jesień, no jesień
– Ileż złota znów miecie?
Cały spadek po lecie
W którym banku umieści
Gdzie ten bank, kto to zna?
– Jaki procent nam da?

Wieczorami w naszej kuchni czajnik trzyma straż
Gra patefon po cichutku, bo z nim romans
Romans cichy ma –
Łka Wertyński, śnią się dawnych wiosen burze
Aleksandrze prowadź, ty znasz szlak
– Wiosny wiosny lata... i już kres podróży
Jesień Miła spójrz – już stoi w drzwiach...
Jesień która już... okrąża nas?
Ach i jesień, no jesień
Cóż ta jesień przyniesie?
Ileż złota znów miecie?
Cały spadek po lecie
– W którym banku umieści
Gdzie ten bank, kto to zna?
Jaki procent nam da?
– Kto to zna?
Cicho sza!

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 4d5a6e53a5

OD A DO ZYBERTOWICZA

A jeśli naród się skończy?

Gdy na początku minionych już niestety wakacji poproszono mnie, bym w Radomiu, pod koniec września w ramach X Tygodnia Społecznego, dał wykład na temat „Kościół – Naród – Państwo: aplikacja nauczania Prymasa do warunków współczesnej Polski", pomyślałem sobie, że to nieporozumienie. Księdzu, który dzwonił, powiedziałem: „Moja znajomość pism prymasa Stefana Wyszyńskiego jest nader skromna". Rozmówca odparł, że to nie musi być wielką przeszkodą, gdyż tu bardziej chodzi o socjologiczny ogląd relacji w trójkącie Kościół – naród – państwo (oczywiście państwo polskie), a nie o analizę samego dzieła ks. Wyszyńskiego. W ramach korepetycji przesłano mi lektury pomocnicze. Wykład wygłosiłem.

Jego mottem uczyniłem spostrzeżenie Michela Onfray, francuskiego filozofa i ateisty: „Nasza judeochrześcijańska cywilizacja jest martwa. Po dwóch tysiącach lat istnienia rozkoszuje się pogardą do samej siebie. Czy choć jeden człowiek Zachodu jest gotów umrzeć za supermarkety, sprzedaż internetową, iPody, konsumpcjonizm idiotów, narcyzm? Albo za hulajnogi dla dorosłych, inną wielką zdobycz naszej cywilizacji?".

Z pism Prymasa zaś uwypukliłem – jako punkt wyjścia do dyskusji – trzy główne motywy. Przypomniałem, że w wygłoszonym we wrześniu 1958 r. kazaniu Prymas uznał, iż „indyferentyzm, który przypływa do Polski z Zachodu, jest przeciwnikiem znacznie bardziej groźnym od komunizmu". Z kolei w roku 1981 Prymas powiedział: „Kościół (...) musi być obecny w sytuacjach trudnych Narodu, choćby uważał, że to nie jest jego zadanie własne, tylko zastępcze. (...) Naród bowiem się nie kończy. Z socjologii politycznej wiemy, że najtrwalszą instytucją w życiu społecznym jest rodzina i naród, dodajmy z naszych doświadczeń – Kościół. Stąd nasze nadzieje, nasza równowaga i spokój". Prymas w roku 1981 powiedział też: „Kościół i Naród są tak mocno ze sobą zrośnięte, że stanowią jakby dwie dłonie wzajemnie się obejmujące". I w czasach komunizmu opresji – tak właśnie było.

Ogromna dynamika procesów społecznych zmieniła relacje między religią, państwami i kulturą narodów

Ale jak jest dziś, w czasach dostatku i indyferentyzmu? Po czyjej stronie leży większa odpowiedzialność za rozluźnienie tego związku?

Ogromna dynamika procesów społecznych zmieniła relacje między religią, państwami i kulturą narodów. Tak bardzo, że nie jest łatwo zdiagnozować naturę obecnego kryzysu. Wysunąłem myśl – sednem kryzysu jest głębokie zatrucie przestrzeni informacyjnej. Powszechność dezinformacji i polaryzacji jako swoistych produktów kulturowych, na bazie których swą potęgę budują takie firmy jak Google i Facebook, powoduje, że coraz trudniej odróżnić dobro od zła, prawdę od fałszu, rzeczy ważne od nieistotnych. Efektem jest umysłowe wywłaszczenie ludzi, czego świetnym wyrazem jest złudne quasi-liberalne hasło „Możesz być, kim chcesz!".

Wszystkie ogniwa trójkąta są w kryzysie: Kościół, naród i państwo (w tym polskie). Globalizacja, a zwłaszcza rewolucja cyfrowa, postawiły pod znakiem zapytania tezę Prymasa, że naród nigdy się nie kończy. Młode pokolenie, zamienione w tzw. cyfrowych tubylców, coraz bardziej traci kontakt z wartościami swoich przodków, a niemała część duchowieństwa bardziej jest zaangażowana w sojusz ołtarza z tronem niż w pracę duszpasterską.

Za Leszkiem Kołakowskim zaproponowałem rozważenie, czy szansą powstrzymania lodowca bylejakości mógłby być powrót do cnót wczesnochrześcijańskich? Takich mianowicie, jak osłabienie przywiązania do ziemskich sukcesów i nagród, jak budowanie w sobie zdolności do poświęceń i bezinteresowności. W związku z tym przypomniałem, że gdy podczas wizyty w Polsce z okazji Światowych Dni Młodzieży papież Franciszek przemieszczał się volkswagenem golfem, wysyłał właśnie sygnał takiego powrotu.

Ale nie mogłem się powstrzymać, by dodać, że gdy potem papież zajmował głos w sprawie migracji oraz zjawisk genderowych, można było odnieść wrażenie, że dla sprostania pasterskim wyzwaniom współczesności poza cnotami chrześcijańskimi niezbędna jest również rozbudowana wyobraźnia socjologiczna. Wyobraźnia, której następcy św. Piotra chyba brakuje.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 4d5a6e53a5

Sieć Przyjaciół

Sieć Przyjaciół zapewnia dostęp
do cyfrowej wersji **tygodnika Sieci**,
magazynu **wSieci Historii**
i artykułów PREMIUM⊕ w **portalu wPolityce.pl**

Jacek Karnowski
Redaktor naczelny tygodnika Sieci

Marzena Nykiel
Redaktor naczelna portalu wPolityce.pl

E-PRENUMERATA SIECI

TERAZ 50% TANIEJ!

NOWOŚĆ!

DOSTĘP DO TREŚCI PREMIUM⊕ W PORTALU wPolityce.pl

KUP TERAZ: **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl 4d5a6e53a5

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE/PL

OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox, **121** dekodery KAON i Horizon

orange — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**